Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 19 (1363) ROK XXVII 12 MAJA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Sloganów dziś nikt nie słucha
■ Wolę się narażać, niż być niekonsekwentnym
■ Dobre maniery, czy coś więcej?
■ Ciuciubabka
■ Bez kompleksów
■ Piąty stan skupienia

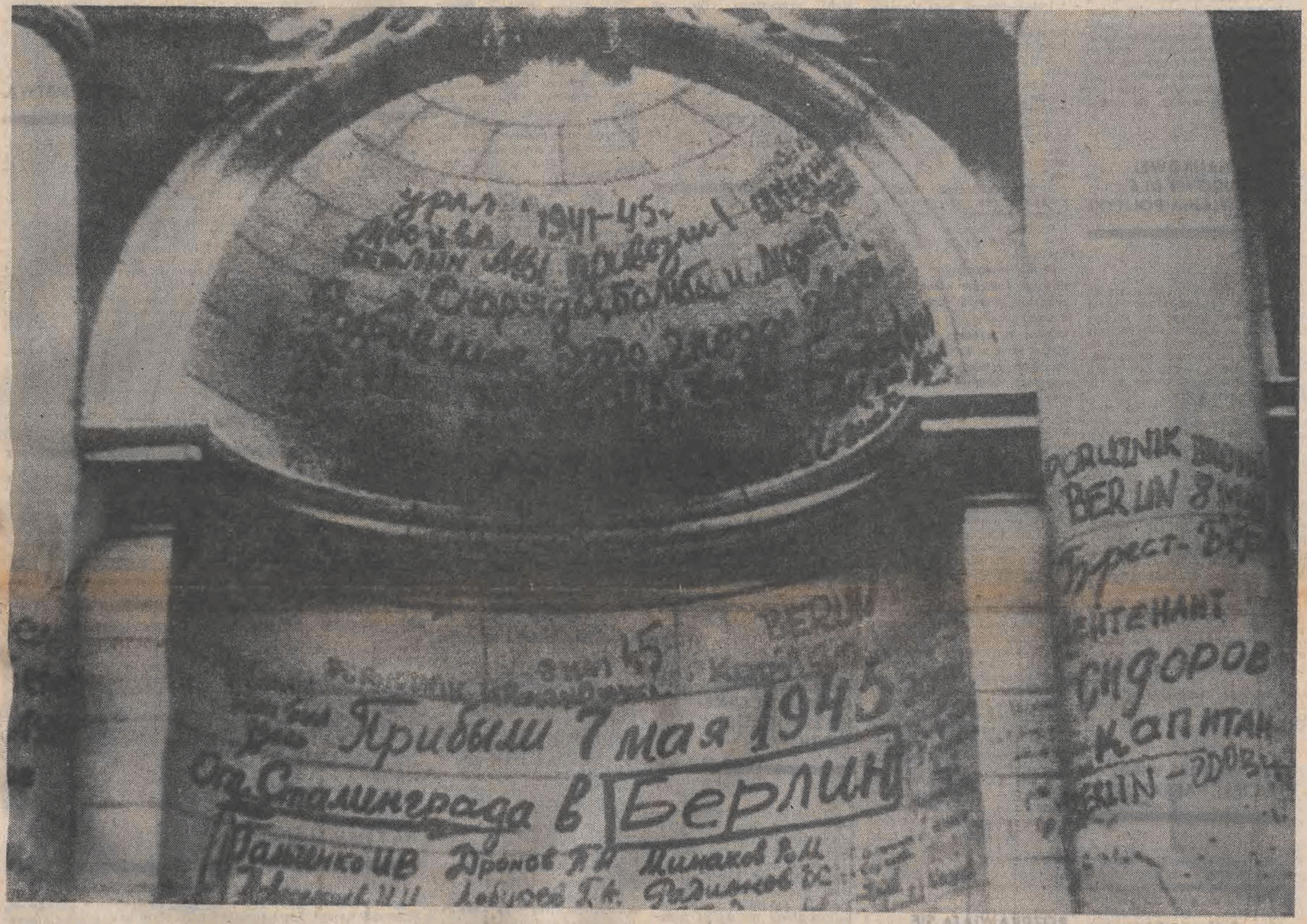

W 1946 roku Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego wydał książkę pt. „LUDZIE PIERWSZEJ ARMII". Książka jest pięknie wydana. Na odwrocie strony tytułowej informacja: „Książka zawiera 362 ilustracje, w tym 225 fotografii, 110 rysunków, 5 fotomontaży, 13 dokumentów, 8 szkiców sytuacyjnych oraz 1 barwny szkic".

Opracowaniem graficznym książki zajmowali się: kpt. Szymon Bojko i mjr Włodzimierz Zakrzewski.

Książkę wydrukowano w Wojskowym Instytucie Geograficznym.

A oto autorzy relacji o ludziach pierwszej armii Wojska Polskiego: Janina Broniewska, Izabela Bychowska, Henryk Holland, st. sierż. Ryszard Fenigsen, ppłk. Adam Korta, por. Bronisław Król, Edward Ochab, Jerzy Putrament, Rol-Bron., mjr T. Jacek Rolicki, Józef Sigalin, ppłk Zenon Welfeld. Zamieszczono też materiały z „Polski Zbrojnej".

Książka ta jest już dziś dokumentem historycznym. Wybieramy z niej relację z bombardowania podkijowskiej stacji Darnica, obok której znajdował się drewniany most nad Dnieprem. 7 kwietnia 1944 roku Niemcy postanowili zniszczyć ten most. Na stacji w Darnicy stał pociąg z 1 Dywizjonem Artylerii Przeciwlotniczej. Polscy artylerzyści wzięli udział w bitwie z niemieckimi samolotami, 5 ich strącając. Ratowali też pod bombami ludzi i wojskowe pociągi.

Autorem relacji z bitwy o most pod Darnicą jest st. sierżant Ryszard Fenigsen.

WIELKANOC 1944

Na stacji Darnica

— Wysoko, siedem kilometrów, jak druty!

— Fotografują, łajdaki! Chłopcy, przyjemny wyraz twarzy!

— Jakby trzecia bateria mogła bić z platformy, to by do nich dostała. A trzydziestka siódemka — szkoda marzyć.

Dwa połyskujące punkciki rozpłynęły się w bladym niebie, przeorawszy je podwójną bruzdą białego dymu. Chłopcy postali jeszcze chwilę z zadartymi do góry głowami i, pobrzękując menażkami, ustawili się w kolejce po kaszę.

— Mówię wam — wyniuchał nas. Wczoraj „Rama" latała, a teraz znowu i zwiadowcy. Już on nam da pieprzu na święta.

— Dziwne by było, gdyby nie dał — powiedział wieczny malkontent, kucharz. — Takie świństwo, dwa dni trzymać dziewięć pociągów na stacji, kiedy front pod nosem. Sami się naprasz**ają na bomby.**

— Linia zapchana — zaoponował ktoś. — Kijów nie przyjmuje.

— Co tam nie przyjmuje! Skandal i draństwo! Tego komendanta stacji to bym postawił pod mur.

— Dosyć, chłopaki, nie żołądkować się. Jutro dają po dwieście gramów wódki i po dwa jajka.

— Walmy do wagonu, kasza wystygnie.

• • •

Wieczorem nastrój w wagonie był świąteczny. Na górnych pryczach śpiewano, pod lampą skupili się przyszywający czyste kołnierzyki i gracze w dwadzieścia jeden. Z sąsiedniego wagonu łączności słychać było harmonię, ktoś wybijał w takt uderzeniami dwóch łyżek o kolana. Bogacki prześliznął się na zewnątrz przed nie odsunięte drzwi i zeskoczył w mroźny spokój nocy. Od północnego zachodu, niewyraźnie, urywanym basem pomrukiwał front. Żółtawy księżyc, przerżnięty na pół czarnym paskiem chmury, wschodził nad Dnieprem.

— Noc w sam raz dla Junkersów — mruknął Bogacki, podchodząc do służbowego wagonu. Odsunął zasłaniający szparę w drzwiach koc, wetknął głowę do wnętrza i spytał dyżurnego plutonowego:

— Jak tam? Spać dziś będziemy?

— Gwarancji nie daję. Telefonista mówił, że dwie setki Ju-88 idą na Kijów; może nas zahaczą, a może nie. Na noc lepiej się nie rozbierać, bo jeszcze się zdarzy, że w gaciach po mrozie będziecie biegali.

Bogacki wyciągnął pudełko z machorką, zapalił: zasłaniając papieros wygiętą w daszek dłonią, poszedł wzdłuż pociągu, w kierunku swego wagonu. Minął obłożone skrzynkami pocisków otwarte platformy pierwszej baterii, na siedzeniach dyżurnego działa drzemali skuleni od chłodu celowniczy. Zadarte luły małokalibrówek połyskiwały oksydowanymi stożkami tłumików.

Wślizgując się do wagonu, spojrzał na stojący na sąsiednim torze transport cystern. „Nieprzyjemne sąsiedztwo w razie czego" — pomyślał.

— Radzę spać, póki dają — rzucił w ciepły rozgwar wagonu.

Służbowy oficer spojrzał na zegarek — była dwunasta. „Bez wątpienia, wróg spróbuje przeszkodzić nam w koncentracji na nowym miejscu.. Kijowski węzeł kolejowy, którego przelotność silnie ucierpiała, jest wąskim gardłem... Tu chodzi nie tylko o Polską Armię, ale i o przerzucenie gwardyjskich ugrupowań Frontu Białoruskiego.... Myślę, że dywizjon nie zawiedzie zaufania..." — wspomniał słowa pułkownika na wczorajszej odprawie...

Nad Kijowem już błyskały na niebie wybuchy zenitówek. Porucznik ogarnął wzrokiem trzeci od końca wagon. — „Lena już pewno śpi" — pomyślał, jednocześnie niespokojnie łowiąc chrapliwe, przerywane warkoty niewidzialnych na

Przegląd prasy

Ciekawy rodzaj refleksji o treści istotnej dla zbiorowej świadomości Polaków zaprezentował w kwietniowym numerze „Kontrastów" socjolog profesor Jan Malanowski, (w wywiadzie „Nieostry portret w czerwieni i bieli", przeprowadzonym przez Janusza Stankiewicza). Profesor dokonuje krytycznej analizy stanu naszej wiedzy o klasie robotniczej — nb. samego siebie, jako zaangażowanego w tę kwestię od wielu lat badacza, nie oszczędzając. Wywiad jest niemal kompletnym katalogiem problemów i kwestii dotąd wystarczająco nie rozpoznanych — za każdą z nich kryje się nie tylko luka w tzw. czystej wiedzy, ale przede wszystkim

BRAK NAUKOWEJ PODBUDOWY DLA UPRAWIANIA POLITYKI

społecznej.

Obaj rozmówcy godzą się co do tego, że sam temat „klasa robotnicza" jest — jak to formułują — *„silnie ideologicznie namaszczony"*, co niezwykle utrudnia samo zdobywanie rzetelnej wiedzy o nim. Po wtóre zaś — zapotrzebowanie na tę wiedzę jest mierne...

„Po co nam — mówi prof. Malanowski — *ta wiedza jest potrzebna? Po to, by trafnie programować politykę społeczną, czy szerzej ujmując, jest to wiedza niezbędna dla planowania społecznego, dla świadomego przekształcania społeczeństwa tak, by powstało społeczeństwo bezklasowe. Skoro tak, to powinniśmy wiedzieć, czy przybliżamy się czy też oddalamy od tego celu? (...)*

Ta wiedza jest bezużyteczna, gdy nic się nie chce robić, gdy pozostawia się wszystko żywiołowemu biegowi rzeczy — niech wszystko leci, a jak będą jakieś zgrzyty, to i tak dadzą one o sobie znać w formie tzw. niezadowolenia klasy robotniczej".

Do tego dochodzi inny problem:

CZY WŁADZE WIEDZĄ JAK JEST NAPRAWDĘ?

Na ogół i rzecznicy władzy, i jej krytycy twierdzą autorytatywnie, że wiedzą — wydaje się bowiem rzeczą niemożliwą, aby władze mogły nie wiedzieć. Ale prof. Malanowski na pytanie czy władze znają prawdę o rzeczywistości i czy chcą ją znać, odpowiada:

„Moim zdaniem czasami nie znają, a nieraz nie chcą znać. Chce się bowiem wiedzieć tylko to, co jest potrzebne do podejmowania decyzji bieżących. Po co więc obarczać siebie nadmiarem wiedzy, z której nie zamierza się zrobić użytku. (..)

Na tym właśnie polega odpowiedzialność władzy, od szczebla gminnego do centralnego — że jej obowiązkiem jest wiedzieć więcej i patrzeć dalej. Jej obowiązkiem jest rozumnie ustalać hierarchię problemów do rozwiązania".

Nie ulega wątpliwości — zdaniem prof. Malanowskiego — że w tzw. kwestii robotniczej nad naukową refleksją biorą górę uprzedzenia, złudzenia i mity oraz propagandowe fikcje. Jest czas najwyższy, by zacząć je przezwyciężać, albowiem w kolejce czekają już następne mity, tym razem są to

MITY GOSPODARCZE

Niemal kompletną listę najpopularniejszych mitów tego rodzaju przedstawili Eugeniusz Gajewski, Wiesław Iwanicki i Ludwik Maźnicki w artykule „O pewnych mitach i mistyfikacjach" w „Nowych Drogach" (nr 4/84).

Lista jest imponująco długa, jak na możliwości i odporność ludzi oraz kraju, poszukującego wyjścia z kryzysu. Samo wyliczenie zajmie sporo miejsca, ale nie mogę go sobie odmówić, i to wcale nie z pobudek masochistycznych, ale ku przestrodze dla czytelników. Któż bowiem z nas nie lubi sobie popolitykować w gronie rodziny lub przyjaciół, snując fantasmagoryjne koncepcje totalnego uzdrowienia Polski, gospodarki, systemu albo w ogóle urządzenia galaktyki? Co więcej — amatorska szarlataneria w tej mierze przenosi się jak zaraza do publicystyki, ba, nawet do działalności naukowej — publikacji, ekspertyz i prognoz. Toteż demistyfikacja wydaje się zabiegiem trudnym, ale niezbędnym, chociaż może być też niebezpieczna dla autorów, tak jak niebezpiecznym zajęciem zawsze było wołanie, że król jest nagi, demaskowanie fałszywych proroków, obalanie totemów i fetyszy.

A oto wspomniana lista mitów:

— Mit braku rąk do pracy (nagle zastąpił poprzednio funkcjonujący mit bezrobocia); podobno „wszyscy zewsząd odchodzą z pracy, w każdej branży — ciekawe, że nikt nie zastanowił się, dokąd ci ludzie idą?

— Mit niezbędnego importu, zwłaszcza tzw. komponentów, których rzekomo brakuje — a jak dobrze poszukać, to prawie zawsze się w kraju coś znajdzie...

— Mit niedostatku przemysłowych środków produkcji dla rolnictwa (więcej traktorów i nawozów — więcej chleba i mięsa); tymczasem istota problemu tkwi w zacofaniu strukturalnym rolnictwa, w niskim poziomie kultury rolnej i w zerowym (mimo wysiłków paru fachowych placówek naukowych), w porównaniu ze światową czołówką postępie biologicznym (nowe odmiany, wyższe cechy genetyczne u zwierząt itp.).

— Mit o wyższości gospodarstw nie uspołecznionych nad PGR-ami (nb. zwyczajne fałszerstwo o podtekście politycznym). *„Prawda jest bowiem taka, że są w Polsce zarówno dobre, jak i złe PGR-y dobre i złe spółdzielnie produkcyjne, oraz dobre i złe gospodarstwa chłopskie oraz, że liczne gospodarstwa chłopskie osiągnęły w produkcji rolnej europejski poziom. Obok nich egzystują także liczne gospodarstwa dziadowskie".* — piszą Gajewski, Iwanicki i Maźnicki. Warto przy tym zapamiętać, że przeciętny pracownik przeciętnego PGR-u potrafi wyżywić więcej współobywateli niż przeciętny chłop indywidualny...

— Mit o kościelnej fundacji rolniczej — szczególnie niebezpieczny, bo skierowany na oczekiwanie gwiazdki z nieba!

Ale szczególnie ostro trzej autorzy

ROZPRAWIAJĄ SIĘ Z MITEM „POLSKIEGO HONGKONGU"

czyli marzeniami o zbawiennym wpływie stref wolnocłowych na uaktywnienie bilansu płatniczego naszej gospodarki. Jest to pomysł jak z bajki: wystarczy wydzielić, np. w zespole portów Szczecin — Świnoujście kawałek terenu wolnego od opłat celnych, ściągnąć w to miejsce zagranicznych inwestorów, otworzyć kabzę i czekać. Jeden z orędowników takiego pomysłu oferuje dochód na początek 500 milionów dolarów, po dziesięciu latach 7,5 miliarda dolarów, a po dwudziestu latach — 15 miliardów. Dla ludzi przygniecionych świadomością blisko trzydziestu miliardów długów i upokarzającymi negocjacjami z wierzycielami takie obiecanki wydają się zbawieniem. W drugiej kolejności rodzi się wątpliwość — dlaczego nasz rząd jest taki głupi, dlaczego się tego pomysłu nie chwyta? Obywatele, nie ma obaw — rząd akurat w tej sprawie umie liczyć. W najlepszym przypadku, gdyby strefę wolnocłową utworzyć w którymś z polskich portów, można liczyć na pewien stały dochód w postaci opłat podatkowych i tranzytowych, na dochód z własnych przedsięwzięć w tej strefie — ale nigdy w miliardowych rozmiarach.

Ale najpierw trzeba byłoby porządnie zainwestować w bazę takiej strefy (magazyny, obiekty handlowe, nowe nabrzeża przeładunkowe, infrastruktura transportowa itp.). Na efektywne zyski przyszłoby długo czekać. Co nie znaczy że powinniśmy ich się wyrzec. Ale z choroby na Hongkong wyleczyć się trzeba na pewno...

Wszystko wskazuje na to, że wyleczyć się będziemy musieli z jednego jeszcze upodobania — ale kuracja będzie przymusowa, a upodobania szkodą... Mam tu na myśli bardzo popularny, lubiany i potrzebny czytelnikom prasy reportaż sądowy, który, oprócz zaspokajania naturalnej u wielu ciekawości wobec spraw bliźnich, spełniał istotne funkcje dydaktyczne — ucząc prawa (z biedą, ale na ogół niezgorzej...) i wywołując przekonanie o nieuchronności kary i nieopłacalności przestępstw (tez nie zawsze.).

Tymczasem Marek Rymuszko na łamach „Prawa i Życia" (nr 18 — 05.05.84) przewiduje

SZYBKĄ ŚMIERĆ REPORTAŻU SĄDOWEGO

w ścisłym związku z nowymi regulacjami prawnymi kwestii dopuszczalności publikowania informacji pochodzących z procesów sądowych. Prawo prasowe w art. 13 nowej ustawy proklamuje takie dwie zasady obowiązujące sprawozdawcę sądowego:

„Po pierwsze nie wolno mu odtąd wypowiadać opinii co do rozstrzygnięcia w postępowaniu sądowym przed wydaniem wyroku pierwszej instancji. Po drugie sformułowano zakaz publikowania w prasie danych i wizerunków osób, przeciw którym toczy się postępowanie przygotowawcze lub sądowe (a co z listami gończymi? — przyp. TS), *jak również danych i wizerunków świadków, pokrzywdzonych i poszkodowanych, chyba że osoby te wyrażą na to zgodę".*

Zdaniem Marka Rymuszki — a nie sposób się z nim nie zgodzić — pierwsza z tych zasad jest paradoksalnym bo przez ustawę sformułowanym, wyrazem

BRAKU ZAUFANIA DO KONSTYTUCYJNEJ NIEZAWISŁOŚCI SĘDZIÓW

„U źródeł takiego unormowania — pisze Rymuszko — *legło przeświadczenie, że dziennikarz poprzez swoją publikację może wywrzeć nacisk na niezawisły sąd (...) I jakkolwiek jest w interesie wszystkich, by sąd mógł wyrokować w atmosferze wolnej od wpływów i sugestii, dobrze wiadomo, że taka idealna sytuacja nie istnieje. (...) Założenie, iż poprzez zainstalowanie reporterowi ocennego kagańca (...) zapewni się skuteczną ochronę niezawisłości sędziowskiej, należy do bardzo, ale to bardzo naiwnych. Powtórzmy bowiem, po raz setny, że marnym sędzią jest ten, kto tak przejmuje się opinią nie znanego mu dziennikarza, że orzeka „pod publikację", nie zaś zgodnie z sędziowskim sumieniem. (...) Należałoby więc powiedzieć inaczej: jeśli sędzia rzeczywiście ugnie się pod opinią sformułowaną w publikacji, to nie ma żadnej gwarancji, iż na wydany przez niego wyrok nie wywrze wpływu ktoś inny (np. znajomy lub przełożony). W takim jednak razie ów sędzia nie powinien być sędzią (...)".*

Podzielam pogląd, że przeciw takiemu rozwiązaniu sprawy przez ustawę winni zaprotestować sami sędziowie. A może warto ich publicznie zapytać, dlaczego tego nie uczynili? Czyżby niezawisłość była dla nich tylko pustym hasłem bez głębokich konsekwencji w praktyce?

W zamian sędziowie wyspecjalizowali się w dziedzinie utrudniania pracy dziennikarzom. Istniejąca uchwała Sądu Najwyższego zakazująca ujawniania wiadomości z postępowania przygotowawczego przed rozpoczęciem rozprawy głównej jest interpretowana jako

ZAKAZ DOSTĘPU DO AKT SPRAWY DLA DZIENNIKARZY

Można wprawdzie prowadzić śledztwo na własną rękę, ale pisanie o sprawie bez dostępu do akt jest po prostu najczęściej niemożliwe, gdy jednocześnie obowiązuje nakaz zawodowego obiektywizmu i staranności. Ponadto coraz liczniej zabrania się nawet robienia notatek na sali sądowej, ba, nawet wyłącza się jawność rozprawy, gdy sąd stwierdzi obecność dziennikarza na sali rozpraw. To już są skandaliczne nadużycia prawa — które zabrania tylko utrwalania przebiegu rozprawy bez zgody sądu za pomocą środków technicznych (magnetofon, kamera filmowa, magnetowid), a ponadto ściśle reguluje zasadę jawności rozpraw i wyłączeń od tej zasady.

W ten oto sposób dojść może do uwiądu i śmierci tak popularnego i potrzebnego reportażu sądowego. Wyrok już zapadł — o jego wykonanie postarają się na pewno gorliwcy, których i w wymiarze sprawiedliwości nie brakuje. Tam też bowiem lubią pracować w warunkach komfortowych, bez kontroli opinii publicznej...

O jaskrawej kpinie z tej ostatniej, i w ogóle o naigrawaniu się z norm prawa pisze w „Tu i Teraz" (nr 18 — 02.05.84) Tadeusz Kucharski przypominając przebieg sprawy z Torunia, podjętej przez telewizyjnych dziennikarzy z programu „Sprawa dla reportera". (W skrócie: kobietę z chorym psychicznie mężem i dwójką dzieci nowy właściciel baraku, w którym mieszkała, wyrzucił do dziewięciometrowej, drewnianej i nieogrzewanej komórki — ostatnio w tej sprawie sąd umorzył warunkowo postępowanie karne przeciw właścicielowi na okres roku próby, uznając, że społeczne niebezpieczeństwo czynu jest nieznaczne...).

Młoda mieszkanka Torunia — nb. ściągnięta do pracy poprzez ogłoszenie jednej z tamtejszych firm (gwarantującej mieszkanie)

STAŁA SIĘ OFIARĄ ZAUFANIA

„Uwierzyła w obietnicę — pisze Kucharski — *której nigdy nie oczekiwała.* (Konkretnie — obietnicę wojewody — przyp. TS). *Uwierzyła w obietnicę człowieka godnego zaufania. A co z tego wyszło? W dniu 1 marca otrzymała — nie od wojewody, lecz z wydziału spraw lokalowych — pismo informujące, że sprawa ujęcia jej na listę przydziału pomieszczeń zastępczych na rok 1984 została rozpatrzona przez społeczną komisję mieszkaniową odmownie".*

Na marginesie tej tragicznej sprawy pojawia się pewna kwestia — nurtująca mnie od dość dawna. Siła sprawcza interwencji dziennikarskich nigdy nie była u nas zbyt wielka — i prawdopodobnie nieprędko będzie. Wiedzą o tym niemal wszyscy koledzy zajmujący się tymi sprawami, wiedzą też, że w podejmowaniu interwencji potrzeba uporu, konsekwencji i siły łamacza lodu. Dlatego dziwię się ciągle ludziom z telewizji, którzy pod pozorem troski o ludzkie sprawy, wywołują najpierw spektakularne skandale, a potem natychmiast porzucają sprawy, zafascynowani nowymi modami i aferami. Jak oni to rozstrzygają we własnych sumieniach? Jak mogą tak nadużywać zaufania zwykłych obywateli do potęgi telewizji?

Niestety, przypuszczam, że pani redaktor Jaworowicz i jej koledzy, ogarnięci głęboko poczuciem wielkości własnej misji, nie potrafią odpowiedzieć na te wątpliwości.

TOMASZ SAS

Minął tydzień

MANIFESTACJE PIERWSZOMAJOWE W CAŁYM KRAJU

zgromadziły ponad osiem milionów obywateli na wiecach, zgromadzeniach i w pochodach. Biuro Polityczne KC PZPR oceniając przebieg manifestacji, stwierdziło, że potwierdziły one wolę umacniania dorobku socjalistycznej Polski i realnych zdobyczy świata pracy, stały się patriotycznym wezwaniem do udziału całego społeczeństwa w wysiłku na rzecz jak najszybszego przezwyciężania kryzysu.

Całkowite fiasko poniosły wezwania, płynące z polskojęzycznych rozgłośni zachodnich do bojkotu święta, organizowania kontrmanifestacji i zamieszek ulicznych. Jedynie w kilku miejscach — w Gdańsku, Warszawie, Częstochowie i Elblągu usiłowano wykorzystać zgromadzenia wiernych w kościołach do zorganizowania antypaństwowych prowokacji. Próby takie podjęto też w Łodzi.

Okazało się, iż faktycznie pierwszomajowe manifestacje były probierzem stosunków Polaków do problemów narodu i państwa i obrazem rzeczywistego układu sił społecznych — lecz całkowicie odwrotnie, niż tego chcieli zachodni mocodawcy podziemia politycznego w naszym kraju.

AGENCJA REUTERA UCIEKŁA SIĘ DO KŁAMSTWA

usiłując własną relację podciągnąć do narzuconego przez antypolską propagandę schematu. Korespondent tej agencji poinformował, że pochód w Warszawie trwał tylko dwie godziny, zaś telewizja wielokrotnie emitowała te same obrazy, stwarzając wrażenie, iż manifestacja jeszcze trwa; pan Donald Forbes wymyślił też rzekomy dziesięciotysięczny kontrpochód w Szczecinie.

Agent Reutera, wezwany do Biura Prasowego Rządu, odmówił skomentowania tych kłamstw i wyjaśnienia źródeł informacji, zasłaniając się praktyką swej agencji i zarządzeniami londyńskiej centrali. Trudno się było zresztą spodziewać, że Donald Forbes, wierny wykonawca ustalonej na Zachodzie polityki „informowania" o Polsce, zechce zdemaskować siebie i swoich mocodawców. Trudno wymagać od przeciwnika, aby nagle postąpił wbrew twardym regułom walki politycznej, którym dotąd podporządkowywał się bez wahania. Nie należało zatem, moim zdaniem, prosić go uprzejmie o wyjaśnienia, tylko wezwać do niezwłocznego sprostowania kłamstwa przez Agencję Reutera i stosownych przeprosin — pod rygorem zamknięcia biura agencji w Polsce i wydalenia jej korespondenta w ciągu 48 godzin poza granice kraju. A tak telewizyjne „przesłuchanie" Donalda Forbesa wypadło bladawo...

MISTRZ KONSTANTY MACKIEWICZ

wspaniały artysta, senior łódzkich malarzy, znany w muzeach i galeriach całego niemal świata udekorowany został nadanym Mu przez Radę Państwa Orderem Sztandaru Pracy I Klasy. Przyłączając się do licznych gratulacji, życzymy naszemu Przyjacielowi, wielkiemu duchem i niezmordowanemu „Kostii", długich lat życia i dzieł równie znakomitych, jak te, którymi dotąd obficie raczył odbiorców i miłośników swej urzekającej, pełnej głębokiego humanizmu, sztuki.

„GAZDÓWKA" W ŚRODKU POLSKI

otwarła swe gościnne podwoje 5 maja w Skierniewicach, w domu państwa Danuty, Moniki i Stanisława (znanego w kraju i poza granicami, wielce oryginalnego i cenionego poety i rzeźbiarza) Romaniaków. Liczni goście ze sfer artystycznych, dyplomatycznych i podhalańskich uczestniczyli — dzięki uprzejmości gospodarzy i ekipy telewizyjnej — w twórczo-kulinarnym happeningu, będącym częścią realizowanego przez Andrzeja Gruna, Piotra Słowikowskiego i Jerzego Woźniaka z łódzkiego ośrodka TV programu o Staszku Romaniaku i jego dziele. W skierniewickiej „Gazdówce", obok mieszkania rodziny Romaniaków i pracowni rzeźbiarza, będzie także artystyczny klub dyskusyjny, szkółka rzeźbiarska i galeria, w programie której niebawem wystawa prac Władysława Hasiora.

NA TANIM JARMARKU

w stołecznej Sali Kongresowej sfinalizowano wreszcie najśmieszniejszą imprezę bieżącego roku, czyli wybory Miss Polonia '84. W tandetnej oprawie słowno-skeczowo-muzycznej wysoce kompetentne jury (artyści, dziennikarze i biznesmeni z firm polonijnych) kierowane przez Franciszka Starowieyskiego z szesnastki finalistek wybrało tę najpiękniejszą (konkretnie: najmniej paskudną) dziewczynę roku, nb. studentkę filozofii UW, co daje nadzieję, że przynajmniej ona do tego nieszczęścia podeszła filozoficznie...

Groźniejsza wydaje się jednak inna informacja z tym związana. Oto — jak donosi „Express Ilustrowany" — w roku przyszłym nie wyklucza się możliwości zorganizowania w Polsce wyborów Miss Europy, a może nawet i świata całego. Może być jeszcze śmieszniej, jeżeli to w ogóle możliwe...

TRYB PRZYSPIESZONY

w postępowaniu przed kolegiami do spraw wykroczeń obowiązuje w województwie miejskim łódzkim od 2 maja br. do końca sierpnia br. Dotyczy on m.in. takich wykroczeń jak: zakłócanie porządku i spokoju publicznego lub spoczynku nocnego, zwoływanie zgromadzeń bez zezwolenia właściwego organu, używanie w miejscu publicznym urządzeń megafonowych bez zezwolenia, umieszczanie w miejscu publicznym, nie wyznaczonym przez właściwy organ, ogłoszeń, plakatów, afiszy, napisów lub rysunków, tamowanie lub utrudnianie ruchu na drodze publicznej, niszczenie roślinności na terenach przeznaczonych do użytku publicznego.

PRYWATNIE INFORMUJĘ

kolegę Jerzego P., autora felietonu pt. „Incydent" w poprzednim (siedemnastym z 28 kwietnia 1984 roku) numerze „Odgłosów", że Vicesekator nadal uparcie uważa, że nie jest wszystko jedno, ile razy drukuje się to samo w jednym numerze gazety, nawet jeśli toto jest umiarkowanie ciekawe. Vicesekator uważa także, iż mamy tu po prostu do czynienia z niechlujstwem i żadne dorabianie gęby oraz zoologiczne epitety nie pomogą. Wiemy coś niecoś o tym, bo samiśmy nie bez winy. Z poważaniem

VICESEKATOR

Poprzez zakręty

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Tydzień temu, w artykule zatytułowanym „*W stronę państwa*", pisałem o koncepcji PPR zmierzającej do przebudowy ustrojowej powojennej Polski. Koncepcja ta została zarysowana w deklaracji PPR z listopada 1943 roku „*O co walczymy?*" a następnie rozwinięta w wypowiedziach Władysława Gomułki. Pełny kształt otrzymała ona w uchwałach I Zjazdu PPR, który odbył się w dniach od 6 do 13 grudnia 1945 roku.

I Zjazd PPR odegrał ważną rolę w pierwszym okresie powojennej Polski. Określił on nie tylko strategię i taktykę Polskiej Partii Robotniczej, ale całego obozu demokratycznego. Określił kierunki reform społecznych, ustalił wytyczne dla Trzyletniego Planu Odbudowy, przyjął Statut PPR oparty na leninowskich zasadach życia partyjnego. I Zjazd PPR zarysował drogę budowy socjalizmu w Polsce.

„*Polska Partia Robotnicza* — stwierdza jedna z rezolucji I Zjazdu PPR — *nawiązując do bohaterskiej walki i ideowych zdobyczy polskiego ruchu robotniczego na przestrzeni 70 lat, przezwyciężyła i odrzuciła błędne koncepcje w ruchu robotniczym i ugruntowała ideologię partii na zasadach utrwalenia niepodległości i bezpieczeństwa Polski oraz oparcia życia narodu i odrodzonego państwa polskiego na podstawach demokracji ludowej.*

Zjazd stwierdza, że Polska Partia Robotnicza jest nową partią klasy robotniczej i mas pracujących w mieście i na wsi, partią, która powstała i wyrosła w walce z hitlerowskim najeźdźcą o wolność i niepodległość Polski, o odrodzenie całego narodu w duchu demokracji".

I Zjazd PPR stanął na stanowisku że „*jednolity front robotników i solidarne współdziałanie Polskiej Partii Robotniczej z Polską Partią Socjalistyczną oraz sojusz robotniczo-chłopski są najlepszą rękojmią unicestwienia reakcji i jej ideologii, osiągnięcia zwycięstwa demokracji w wyborach, jak też zrealizowania uchwał* Zjazdu, prowadzących do *ludowo-demokratycznego rozwoju Polski*".

I Zjazd PPR opowiedział się za „*unarodowieniem wielkiego i średniego przemysłu, kolei i banków*", a jednocześnie stwierdził, że niezbędna jest „*konieczność stworzenia dla inicjatywy prywatnej warunków gwarantujących jej pewność działania i pewność interesów*", uznał spółdzielczość za ważny instrument walki ze spekulacją, a jednocześnie działalności gospodarczej i handlowej. Uznał też, że „*podniesienie wydajności pracy (...) jest najskuteczniejszą i najszybszą drogą do podniesienia realnych zarobków robotniczych*", a także wypowiedział się za koniecznością „*umocnienia sojuszu robotniczo-chłopskiego w konkretnej, codziennej działalności gospodarczej*", wezwał wszystkie organizacje gospodarcze do niesienia niezbędnej pomocy dla wsi.

I Zjazd PPR uznał, że najważniejszym zadaniem gospodarczym jest „*doprowadzenie do końca reformy rolnej i prawidłowa przebudowa struktury rolnej dla unormowania zdrowej indywidualnej gospodarki chłopskiej i całej gospodarki narodowej*".

Opowiedział się też za zacieśnieniem stosunków i współpracy ze Związkiem Radzieckim, zrodzonych w trakcie wspólnej walki z hitleryzmem i braterskiej współpracy na wyzwolonych terenach.

Strategia PPR polegała na konsekwentnym liczeniu się z realnymi warunkami społecznymi, budowaniu takiego programu, który odpowiadałby społecznym oczekiwaniom, a jednocześnie nie zatracał głównego celu oraz konsekwentnego działania na rzecz skupiania wokół tego programu wszystkich sił demokratycznych i postępowych. Ta strategia i wynikająca z jej założeń taktyka przynosiły oczekiwane rezultaty, choć nie było to wówczas łatwe i ginęli ludzie w obronie ludowej rzeczywistości — jak to się wówczas określało, ginęli w obronie władzy ludu pracującego.

Zmieniały się jednak warunki.

POWOJENNY ŚWIAT DZIELIŁ SIĘ CORAZ BARDZIEJ

Narastało zagrożenie, co musiało spowodować, że kraje demokracji ludowej zacieśniały się coraz bardziej wokół Związku Radzieckiego, gwaranta ich bezpieczeństwa, że zacieśniała się współpraca partii komunistycznych na całym świecie. We wrześniu 1947 roku powołano w Szklarskiej Porębie Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych.

Jak wspomina Jan Ptasiński w swojej książce „*Pierwszy z trzech zwrotów, czyli rzecz o Władysławie Gomułce*" pomysł powołania Biura Informacyjnego narodził się u Józefa Stalina. Rozmawiał on na ten temat z Władysławem Gomułką, proponując aby organizacją spotkania delegacji partii komunistycznych i robotniczych zajęła się PPR. Ale wówczas rozmowa toczyła się tylko na temat pisma informacyjnego, w którym poszczególne partie mogłyby dzielić się swymi informacjami i doświadczeniami. Dopiero w Szklarskiej Porębie, kiedy Andriej Żdanow wygłaszał referat okazało się, że chodzi nie tylko o wspólne, międzypartyjne pismo, ale również o Biuro Informacyjne, które zajęłoby się koordynacją i współdziałaniem partii komunistycznych i robotniczych. U wielu narodziły się wówczas wątpliwości, czy Biuro Informacyjne nie jest nowym wcieleniem Międzynarodówki Komunistycznej. Wielu działaczy międzynarodowego ruchu robotniczego było przekonanych, że w powojennej sytuacji, kiedy partie komunistyczne i robotnicze szukają własnych sposobów rozwiązywania narodowych problemów, powstanie organizacji typu Kominternu było niepotrzebne. Byli oni za wymianą doświadczeń i współpracą i uważali, że Biuro Informacyjne tylko takie funkcje może spełniać. Wszakże te funkcje nie mogły być spełniane we właściwy sposób, bowiem inicjator całego zamysłu dążył do podporządkowania sobie międzynarodowego ruchu robotniczego. Józef Stalin, będąc zwolennikiem nadmiernego scentralizowania wszelkich funkcji kierowniczych, a także metod kierowania opartych na centralnym sterowaniu, nie przywiązywał większej uwagi do spraw specyficznych danego ruchu robotniczego, a jedynie do spraw generalnych wspólnych dla wszystkich, skłaniając się ku dogmatyzmowi, choć formalnie mienił się tylko uczniem Włodzimierza Lenina. Kto myślał i postępował inaczej — musiał odejść z piętnem zdrajcy, tak jak to stało się w przypadku Jugosławii.

Był też zwolennikiem tezy o zaostrzającej się walce klasowej w miarę postępu budownictwa socjalistycznego. W styczniu 1933 roku, omawiając wyniki pierwszej pięciolatki na wspólnym posiedzeniu KC i CKK WKP(b) powiedział:

„*Zniesienie klas daje się osiągnąć nie w drodze wygasania walki klasowej, lecz w drodze jej wzmożenia*".

Konsekwencją tej tezy była wzmożona podejrzliwość, szukanie wrogów we własnych szeregach, tłumaczenie wszelkich niepowodzeń i trudności działalnością agenturalną. Zaciążyła ona w sposób ujemny nad rozwojem ruchu robotniczego.

Zmiany, jakie zaszły w drugiej połowie lat 40-tych nie mogły nie wywrzeć wpływu na rozwój polskiego ruchu robotniczego. Tym bardziej, że z inicjatywy PPR ruch ten zbliżał się do zjednoczenia.

„W połowie 1948 r. — czytamy w „Sprawozdaniu z prac Komisji KC PZPR powołanej dla wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej" — *została gwałtownie i w sposób zaskakujący przeprowadzona daleko idąca zmiana w linii politycznej PPR. Istotą tej zmiany — którą poprzedził kryzys w kierownictwie partii — był zwrot o charakterze dogmatyczno-sekciarskim. Wyrażał się on w odejściu od dotychczasowych koncepcji i form stopniowej socjalistycznej przebudowy struktur politycznych i społeczno-gospodarczych oraz dużym, woluntarystycznie założonym przyspieszeniu tempa tej przebudowy, przy znacznym udziale środków przymusu pozaekonomicznego*".

Władysław Gomułka oskarżony został o odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne, a także ci wszyscy, którzy z nim współpracowali, bądź którzy nie byli przekonani do konieczności zmian linii I Zjazdu PPR.

„*Wobec W. Gomułki* — czytamy w cytowanym „Sprawozdaniu" — *wysunięto bardzo daleko idące, w tym sięgające do okresu wojny oskarżenia o tzw. odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne. W ten sposób usprawiedliwiano wobec partii konieczność dokonanych zmian, aby zyskać dla nich poparcie we własnych szeregach oraz części PPS... Dodatkowym uzasadnieniem racji rzeczników nowej linii była traktowana jako ogólna prawidłowość teza o zaostrzającej się, w miarę postępów w budownictwie socjalizmu, walce klasowej. Stanowiła ona następnie uzasadnienie dla ograniczenia zakresu demokracji, stała się w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych jednym z głównych źródeł łamania praworządności*".

Przyjęta na Kongresie Zjednoczeniowym

W GRUDNIU 1948 ROKU

„*Deklaracja Ideowa PZPR*" w znacznym stopniu różni się od deklaracji PPR i postanowień I Zjazdu PPR, chociaż cel strategiczny pozostaje ten sam — zbudowanie w Polsce socjalizmu.

„*Urzeczywistniając władzę ludu pod kierownictwem klasy robotniczej* — stwierdza się w „Deklaracji Ideowej PZPR" — *system władzy demokracji ludowej może i powinien w tej sytuacji historycznej, jak to już wykazało doświadczenie, realizować skutecznie podstawowe funkcje dyktatury proletariatu, które sprowadzają się do likwidacji elementów kapitalistycznych i do zorganizowania gospodarki socjalistycznej*".

Narastające zagrożenie imperialistyczne wymagało przyśpieszenia zarówno przemian społecznych, jak i gospodarczych. Nacisk położono więc na te funkcje dyktatury proletariatu, które mogły temu sprzyjać a więc „dławienie" wszystkiego, co jest lub wydaje się przeciwne przebudowie ustrojowej Polski.

„*W warunkach demokracji ludowej* — czytamy dalej w „Deklaracji Ideowej PZPR" — *klasa robotnicza buduje fundamenty ustroju socjalistycznego w Polsce. Budować fundamenty socjalizmu można tylko w walce klasowej — w walce ze wszystkimi elementami kapitalistycznymi i ich zagranicznymi protektorami...*

Odbiciem nacisku i dążeń tych klas i warstw są fałszywe i antymarksistowskie teorie o „stabilizacji gospodarki trójsektorowej" i o „wygasaniu walki klasowej".

Droga do socjalizmu prowadzi przez dalszą walkę klasową, przez ograniczenie, wypieranie, a wreszcie zniesienie warstw wyzyskujących".

Jeśli chodzi o drogę rozwoju wsi polskiej, to „*Deklaracja Ideowa PZPR*" określała ją jednoznacznie:

„*Trwałe jednak zapewnienie dobrobytu chłopom pracującym i wydatne podniesienie produkcji rolnictwa, oparcie gospodarki rolnej na najnowszych zdobyczach nauki i techniki możliwe jest tylko przez zespołową gospodarkę na wsi, prowadzoną w formie spółdzielczości produkcyjnej. Świadczy o tym najlepiej przykład Związku Radzieckiego. Konkretne formy tej spółdzielczości, dostosowane do naszych warunków, wytworzą i określą sami chłopi polscy, przekonując się w praktyce o wyższości zespołowego gospodarowania w rolnictwie. Państwo ludowe i klasa robotnicza udzielą chłopom wszelkiej pomocy w przebudowie gospodarki rolnej*".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że również w rolnictwie musi zapanować własność społeczna. Ale droga polskiej wsi do tej formy własności jest odmienna niż miało to miejsce w innych krajach oraz długotrwała. Bronisław Syzdek w książce pod tytułem: „*Początki rewolucji socjalistycznej w Polsce*" przypomina, że „*dokumenty PPR z lat 1945—1947 wskazywały, że ze względu na warunki społeczno-ekonomiczne, przywiązanie chłopa do ziemi, stopień jego kultury i świadomości, przebudowa rolnictwa w Polsce będzie dokonywać się powoli i z uwzględnieniem specyfiki rozwoju wsi polskiej*". Kongres Zjednoczeniowy odszedł od tej koncepcji. Wiązało się to zarówno z potrzebą przyśpieszania procesów społecznych, jak i z tezą o nasilającej się walce klasowej.

Z „*Deklaracji Ideowej PZPR*" wyłania się koncepcja państwa, które na plan pierwszy wysuwa funkcje „dławienia", walki z szeroko rozumianym przeciwnikiem klasowym, a dopiero na dalszym planie bierze się pod uwagę funkcje organizacyjne, służebne wobec obywateli. Taka koncepcja państwa miała służyć przyśpieszeniu procesów społecznych i gospodarczych.

Istotnie osiągnięcia pierwszych lat Planu Sześcioletniego były znaczne. Stworzono niemal od podstaw nowe gałęzie przemysłów: okrętowy, maszyn elektrycznych, obrabiarek. Rozbudowano hutnictwo. W 1955 roku globalna produkcja przemysłu była 2,7 raza większa niż w 1949 roku. Do dziś symbolem tamtych czasów — romantyzmu wielkich budów — jest Nowa Huta. A przecież był to czas nie tylko budowy nowych miast, ale i odbudowy starych, zniszczonych przez wojnę: Warszawy, Gdańska, Szczecina, Wrocławia. Był to czas likwidacji analfabetyzmu, szerzenia kultury i nauki, rozwoju oświaty.

NIE MOŻNA PRZESKAKIWAĆ ETAPÓW

rozwoju społecznego bezkarnie. Zbyt szybkie tempo rozwoju społecznego i gospodarczego, jakie założono w Planie Sześcioletnim zrodziło napięcia i sprzeczności. Próbowano je rozwiązać korygując zadania planu w 1953 roku, starając się bardziej respektować prawa rozwoju społecznego. II Zjazd PZPR w marcu 1954 roku, a następnie III Plenum KC PZPR w styczniu 1955 roku stanowiły próby powrotu do leninowskich norm postępowania w partii i społeczeństwie, respektowania praw ekonomicznych, próbę przeciwdziałania naruszaniu praworządności. Nie były to jednak działania konsekwentne. Nie zahamowały narastającego kryzysu. Wybuchł on w październiku 1956 roku.

Jeszcze dwukrotnie w historii Polski Ludowej doszło do ostrych kryzysów: w grudniu 1970 roku i w sierpniu 1980 roku. Z tego ostatniego kryzysu powoli dźwigamy się, choć nie jest to ani będzie łatwe i szybkie. I zawsze przyczyn kryzysów należy szukać w odchodzeniu od zasad socjalizmu, zbyt dowolnym i lekceważącym traktowaniu praw rozwoju społecznego, w rozmijaniu się w rzeczywistością.

VIII Zjazd PZPR odbył się w lutym 1980 roku. W dyskusji przedzjazdowej padły ostre słowa krytyki pod adresem ówczesnego kierownictwa partii. Padło wiele postulatów, które w sierpniu tegoż 1980 roku zostały ponownie powtórzone, ale już w innej scenerii, w atmosferze pełnej napięcia i konfliktów. Tymczasem w uchwale VIII Zjazdu PZPR znalazły się następujące sformułowania:

„*Polityka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej tworzy dobre podstawy dla umacniania jedności moralno-politycznej narodu. Sprzyja o kształtowaniu się ogólnonarodowego państwa socjalistycznego, w którym przewodnią siłę stanowi klasa robotnicza.*

Nie znikły jeszcze w społeczeństwie przeciwieństwa i konflikty o charakterze klasowym. Główny front walki klasowej przebiega w sferze świadomości, przejawia się w postawach politycznych i społecznych. Uwarunkowania te powinny być brane pod uwagę w kształtowaniu teorii i praktyki umacniania jedności narodu".

Nie minęło kilka miesięcy i okazało się, że front walki klasowej przebiega nie tylko w sferze świadomości, a opozycja nie pojawiła się nagle, ale kształtowała się pod kloszem teorii o jedności moralno-politycznej narodu. Okazało się, że za rzeczywistość wzięto własne wyobrażenia i dobre chęci, aby tak było, a było zupełnie inaczej. Teoria o jedności moralno-politycznej narodu pozwoliła na spokojne i dokładne rozbrojenie ideologiczne partii, co fatalnie odbiło się w sierpniu 1980 roku. Ale partia, atakowana i rozdyskutowana wewnętrznie, potrafiła uratować swój marksistowsko-leninowski charakter, czego najlepszym dowodem był IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR i cała pozjazdowa praca KC PZPR. Partia potrafiła przeanalizować popełnione błędy i wyciągnęła z nich właściwe wnioski. Powinny one być przestrzegane w codziennej praktyce. Tylko w taki sposób można w przyszłości uniknąć następnych kryzysów.

Linię IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR zwykło się nazywać linią porozumienia i walki. W deklaracji „*O co walczymy, dokąd zmierzamy*" tak się ją charakteryzuje:

„*Nasz program porozumienia, walki i reform wyraża dążenie do rozwoju nowoczesnego, silnego i demokratycznego państwa, do sprawnej i efektywnej gospodarki. Realizacja tego programu umacnia czołową rolę klasy robotniczej w życiu kraju. Utrwala zasady sprawiedliwości i ludowładztwa. Zapobiega powstawaniu groźnych konfliktów społecznych. Osłabia przeciwników socjalizmu.*

Będziemy współdziałać z każdym, kto pragnie szczerze i uczciwie pracować dla dobra kraju. Ale konsekwentnie, nieustępliwie będziemy walczyć z przeciwnikami socjalizmu — wrogami narodowej sprawy. Każdy, kto zechce nadal jątrzyć i szkodzić, spotka się ze zdecydowanym przeciwdziałaniem.. Polsce potrzeba nade wszystko porozumienia i zespolenia sił społeczeństwa w patriotycznej służbie, we wspólnej pracy".

Deklaracja Krajowej Konferencji Delegatów PZPR

„O CO WALCZYMY, DOKĄD ZMIERZAMY"

rodziła się długo, w żażartych sporach i dyskusjach. Początkowo miała to być deklaracja PZPR. Zrezygnowano z takiej formuły. Sprawę nowej deklaracji PZPR podejmie niewątpliwie X Zjazd partii. Wiele spraw jeszcze wymaga dyskusji, rozważań, analiz. Dziś najpilniejszym zadaniem jest dalsza stabilizacja społeczno-polityczna; przeciwdziałanie poczynaniom przeciwnika ideowego i politycznego, „*przywrócenie gospodarce równowagi i zdolności do harmonijnego rozwoju*".

W historii nic się dwa razy nie powtarza, ale w życiu społecznym i politycznym zdarza się kontynuacja przerwanych niegdyś wątków. Powraca się niejako do korzeni, szuka się inspiracji w odrzuconych inicjatywach i koncepcjach. Są w Deklaracji Krajowej Konferencji Delegatów PZPR wątki i koncepcje, które stanowią twórcze nawiązanie i rozwinięcie myśli zawartych w programie PPR. I nie jest to mechaniczne wiązanie niegdyś przerwanych myśli. Wynika to po prostu z twórczego stosowania nauki marksizmu-leninizmu. To podobieństwo jest tylko wynikiem takiego samego myślenia, konsekwentnego liczenia się z rzeczywistością, budowania programów w oparciu o wyniki rzetelnej analizy rzeczywistości. Przykładem tego może być stosunek do trudnej skomplikowanej sytuacji w rolnictwie.

„*Głównym zadaniem rolnictwa* — czytamy w Deklaracji — *jest rozwiązanie problemu wyżywienia narodu. Aktywna i trwała polityka rolna państwa z każdym rokiem powinny przybliżać nas do samowystarczalności w tej dziedzinie. Partia wespół ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym stoi na straży zasad tej polityki — jednolitej dla całego rolnictwa. Poprawiając warunki życia i pracy mieszkańców wsi, zapewniając im poczucie stabilizacji będziemy rozszerzać możliwości wzrostu produkcji rolnej we wszystkich sektorach rolnictwa, dbać o warunki opłacalnego gospodarowania, o zwiększenie dostaw przemysłowych środków produkcji, o postęp techniczny i agrobiologiczny, o podnoszenie kultury i oświaty rolniczej. Będziemy tworzyć ustawowe, materialne i socjalne warunki poprawy struktury agrarnej. Trwałość zasad polityki rolnej nie zamyka drogi do dobrowolnego, zgodnego z wolą chłopów, powstawania zespołowych, wielkotowarowych form gospodarowania. Partia będzie sprzyjać umacnianiu się państwowych i rozwojowi spółdzielczych gospodarstw rolnych. Powinny one być dźwignią postępu produkcyjnego i społecznego, poprawy warunków życia i pracy na wsi*".

Cele strategiczne pozostają niezmienne — zbudowanie socjalizmu w Polsce. Sposoby osiągnięcia tego celu proponowano już różne. Program zarysowany w Deklaracji „*O co walczymy, dokąd zmierzamy*" stanowi rozwinięcie tezy zawartej w uchwale IX Zjazdu PZPR.

„*Zadania, które dziś stoją przed PZPR, nie mogą być zrealizowane siłami wyłącznie samej partii czy nawet siłami samej tylko klasy robotniczej. Bez oparcia działań na szerokim froncie patriotycznych sił postępu i demokracji — nie można wyprowadzić kraju z kryzysu*".

Nie można też osiągnąć celów strategicznych. Stąd budowanie systemu sojuszy — politycznych i klasowych. „*Sojuszniczy system władzy państwowej* — stwierdza Deklaracja — *nakłada współodpowiedzialność za realizowaną politykę społeczno-gospodarczą na wszystkich jej uczestników*". Ale i szczególna odpowiedzialność partii z racji spełniania przez nią kierowniczej roli w systemie politycznym. Spełniając tę rolę „*partia czuwa nad zgodnością działania państwa z interesami ludzi pracy, zapewnia ogółowi obywateli, zwłaszcza klasie robotniczej, rosnący wpływ na rozwiązywanie problemów kraju i swych środowisk*".

Z zasady tworzenia sojuszy dla realizacji podstawowych celów politycznych i społecznych partia popiera — będąc jednym z sygnatariuszy — PRON, jako płaszczyznę „*współdziałania wszystkich zorganizowanych sił społecznych i obywateli, którzy zgodnie z zasadami Konstytucji budują pomyślność Ojczyzny — Polski Ludowej*". PRON jest bowiem tego rodzaju ruchem, w którym jego uczestnicy nie tracą swojej politycznej tożsamości, nie rozpływają się jako członkowie nowej, nadrzędnej organizacji. Każdy uczestnik PRON nie przestaje jednocześnie być członkiem PZPR, ZSL, SD czy któregoś z chrześcijańskich stowarzyszeń. I znów rodzi się tu analogia do sposobu budowania sojuszy przez PPR, choć nie jest to tylko naśladownictwo, a postępowanie wynikające z realnej oceny rzeczywistości.

Uchwała IX Zjazdu PZPR stwierdza, iż „*podstawowym narzędziem panowania klasy robotniczej jest państwo socjalistycznej demokracji, wobec którego partia pełni rolę kierowniczą*". Jest to państwo, które nie stoi nad swoją klasą, nie ma innych celów, ale które ma służyć ludziom, społeczeństwu. I taka zasada powinna też stać się codzienną praktyką.

Kto może wybierać radnych

Od 6 maja 1984 roku zostały wyłożone spisy wyborców. Wybory zgodnie z „Ordynacją wyborczą" są powszechne. To znaczy, że prawo wybierania radnych mają wszyscy obywatele, którzy ukończyli 18 lat bez względu na płeć, przynależność narodową i rasową, wyznanie, wykształcenie oraz czas zamieszkania w obwodzie głosowania, pochodzenie społeczne, zawód czy stan majątkowy.

Są jednak przypadki, które wyłączają z wyborów niektórych ludzi. Jakie to są przypadki?

Pozbawione prawa do głosowania są osoby, które prawomocnym orzeczeniem sądu zostały całkowicie lub częściowo ubezwłasnowolnione z powodu choroby psychicznej. Nie mają prawa głosowania osoby pozbawione praw publicznych prawomocnym wyrokiem sądu w czasie trwania pozbawienia praw. Nie mają prawa wyborcy osoby, które przebywają w więzieniu odbywając karę pozbawienia wolności albo karę aresztu, również osoby umieszczone w ośrodkach przystosowania społecznego bądź czasowo aresztowane.

Wybory są poza tym równe — każdy głosujący ma prawo do oddania tylko jednego głosu.

Wybory są bezpośrednie — wybiera się bezpośrednio radnych do rad narodowych stopnia podstawowego i rad narodowych wojewódzkich.

Głosować można tylko osobiście.

Nim się jednak przystąpi do głosowania trzeba sprawdzić, czy jest się umieszczonym na liście wyborców. Tu już można wyręczyć się znajomymi, rodziną, sąsiadami. Sprawdzanie list wyborców rozpoczyna się od 6 maja 1984 r., a zakończy się 20 maja. Listy są wyłożone w lokalach obwodowych, o czym wyborcy powinni być powiadomieni za pośrednictwem ogłoszeń.

W łódzkim województwie miejskim spisy wyborców są udostępniane do sprawdzania w dni powszednie w godzinach od 12 do 18, a w niedzielę (6, 13 i 20 maja) w godzinach od 10 do 15. Przy sprawdzaniu spisu wyborców należy mieć dowód osobisty lub inny dowód tożsamości. Spis wyborców uwzględnia nazwisko wyborcy, imię, imię jego ojca, datę urodzenia oraz miejsce zamieszkania. Osoby zameldowane na okres czasowy w danej miejscowości nie są uwidocznione w spisach wyborców tej miejscowości, a tylko w miejscu stałego zameldowania. Należy więc komisji wyborczej przedstawić zaświadczenie z miejsca stałego zameldowania, na podstawie którego wyborca został skreślony z listy wyborców w miejscu swego zamieszkania, a może być wpisany na listę wyborców w miejscu zameldowania czasowego.

Sprawdzanie list wyborców ma na celu wyjaśnienie wszelkich nieporozumień, pomyłek jeszcze przed aktem głosowania. Wyborca stwierdziwszy pomyłki lub inne uchybienia albo wręcz brak swego nazwiska na liście wyborców ma prawo wnieść reklamację. Reklamację wnosi się ustnie do protokołu lub na piśmie do właściwej obwodowej komisji wyborczej, która wyłożyła spis wyborców. Reklamacja musi być rozpatrzona w ciągu trzech dni.

W kalendarzu przedwyborczym mamy więc teraz dwa ważne wydarzenia: zebrania konsultacyjne dla kandydatów na radnych lub zebrania przedwyborcze, na których dyskutuje się sprawy programów lokalnych i sprawdzanie spisów wyborców.

DORADCA

Czas wiosny mówi się o nadchodzących wyborach do rad narodowych, ale odnoszę tzkie wrażenie, że nie wszyscy do końca zdają sobie sprawę z tego, czym różni się obecna ordynacja wyborcza od poprzedniej, jakie nowe obowiązki i zadania stawia przed przyszłymi radnymi ustawa „O systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego" z 20 lipca 1983 roku. Zajmuje się pan naukami politycznymi i kandyduje na radnego. Jest to już chyba wystarczający powód, aby zwrócić się do pana z prośbą o rozmowę.

ZANIM ZOSTANIE SIĘ KANDYDATEM

— Owszem, zajmuję się problematyką systemu politycznego socjalizmu i teorią polityki, ale w drugiej sprawie muszę zaraz sprostować. Nie jestem jeszcze kandydatem na radnego.

— Powiedzmy: kandydatem na kandydata.

— To jest bardziej ścisłe określenie: system wyłaniania kandydatów na kandydatów — jak pani to określiła — w PZPR jest dość skomplikowany. Kandydaci na radnych dopiero wtedy będą mogli się za takich uważać, kiedy Komitet Łódzki PZPR wybierze ich w tajnym głosowaniu. A i to będzie dopiero początek, bo następnie będą musieli stanąć przed przyszłymi wyborcami, aby na zebraniach konsultacyjnych otrzymać niejako ich zgodę na wpisanie na listę kandydatów.

— A jeśli takiej zgody nie będzie, bo wyborcy będą mieli jakieś zastrzeżenia?

— To już dotyczy wszystkich kandydatów, niezależnie od tego, kto ich zgłosił do kolegium wyborczego. Wówczas zgłaszający zastrzeżenia powinien je udokumentować. Poza tym wyborcy muszą w głosowaniu jawnym poprzeć takie zastrzeżenia.

— I to jest nowa praktyka, którą wprowadziła obecna „Ordynacja wyborcza"?

— Tak. Kolegium wyborcze, zebrania konsultacyjne, możliwość zgłoszenia zastrzeżeń wobec kandydata na radnego, jak i konieczność przedstawienia przez niego swego programu — są to wszystko nowe metody, sposoby, które dopiero stają się praktyką. A właściwie staną się praktyką w najbliższych dniach. Nie ma bowiem jeszcze akceptacji KŁ PZPR, nie byłem na zebraniach konsultacyjnych, nie spotykałem się z wyborcami. To wszystko przede mną. Oczywiście, jeśli otrzymam rekomendację mojej partii.

— Możemy jednak rozmawiać o pewnych zjawiskach, które stały się już faktami. Na przykład „Ordynacja wyborcza". Przygotowania do wyborów odbywają się wedle jej postanowień. Spore były dyskusji, kiedy powstał jej projekt, a i później, kiedy została uchwalona. Nie wszyscy przyjęli ją z zadowoleniem. Z różnych powodów zresztą. A co pan sądzi na ten temat?

— Sporo mówiono o tym, jaka powinna być ordynacja wyborcza i uważam, że wiele opinii było wręcz idealistycznych, zupełnie nie liczących się z rzeczywistym stanem stosunków społecznych w Polsce 1984 roku.

TAKA POWINNA BYĆ ORDYNACJA WYBORCZA, JAKIE JEST SPOŁECZEŃSTWO

— Jak by pan określił rzeczywisty stan stosunków społecznych?

— Jeśli pani pozwoli, odpowiem na to pytanie pośrednio. W czasie dyskusji nad projektem ordynacji wyborczej wystąpiłem z następującym poglądem: jeśli ordynacja wyborcza ma służyć wyłonieniu socjalistycznych organów władzy, to odpowiedzmy najpierw na pytanie, jakie siły naszego społeczeństwa dążą świadomie do zbudowania w Polsce socjalizmu?

— Nie jest dla nikogo tajemnicą, że nasze społeczeństwo jest niebywale podzielone.

— To fakt. Dlatego warto rozpatrzyć pewne warianty teoretyczne i zobaczyć, który z nich odpowiada rzeczywistości. Spróbujmy zatem odpowiedzieć **sobie na pytanie, jakie kręgi naszego społeczeństwa opowiadają się za socjalizmem:**

A. — całe społeczeństwo,

B. — cała klasa robotnicza i wszyscy jej sojusznicy,

C. — tylko świadoma część klasy robotniczej i świadoma część jej sojuszników,

D. — tylko partia marksistowsko-leninowska,

E. — tylko najbardziej dojrzała część partii marksistowsko-leninowskiej.

Sądzę, że nie popełnię błędu subiektywizmu, jeśli stwierdzę, że za zbudowaniem socjalizmu w Polsce opowiada się świadoma tej idei część społeczeństwa, a więc najbardziej dojrzała część klasy robotniczej i jej sojuszników.

Tu muszę się zastrzec, że przedstawione rozważania są wstępnym wynikiem, roboczą hipotezą, między innymi prowadzonych pod moim kierunkiem badań naukowych. Badania te będziemy kontynuowali, ale nie sądzę, aby w radykalny sposób zmieniły się ich wyniki.

— Jak się zatem ma „Ordynacja wyborcza" i ustawa „O systemie rad narodowych i samorządzie terytorialnym" do rzeczywistego stanu stosunków społecznych, do wariantu, który pan tu przedstawił?

— Jest zbyt optymistyczna. To znaczy oba dokumenty są zbyt optymistyczne; ich konstrukcja i treść bardziej przystają do wariantu A lub B.

— Należy to tak rozumieć, że zostały jakby przypasowane do innej wizji naszego społeczeństwa?

— Tak. Proszę wziąć pod uwagę sformułowania wstępu do ustawy o radach narodowych i szereg pojęć w jej tekście. Sugerują one, że jesteśmy na etapie rozwiniętego budownictwa socjalizmu. Obecnie trzeba go tylko utrwalać. Tymczasem wiele trzeba dopiero zbudować. I tak na przykład, przy obecnym stanie świadomości społecznej trudno będzie realizować trzy funkcje rady narodowej: organu władzy państwowej, samorządu społecznego i samorządu terytorialnego.

— A w jakich warunkach byłoby to znacznie łatwiejsze?

— Gdyby cała klasa robotnicza i wszyscy jej sojusznicy byli na tyle świadomi, że jako całość dążyliby do zbudowania socjalizmu w Polsce.

— Socjalizm budować trzeba w takich warunkach, jakie mamy, a nie jakich byśmy sobie życzyli. A poza tym takie dokumenty, jak „Ordynacja wyborcza" czy ustawa „O systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego" uchwalane są z myślą o przyszłości. A w przyszłości warunki zmienią się niewątpliwie na korzyść, czyli będą odpowiadały tym, które pan przedstawił.

— Ma pani rację. Ale wybory odbędą się teraz, a nie w przyszłości. Dlatego musimy analizować taką rzeczywistość, jaką mamy, a nie jaką będziemy mieć.

Chciałbym mocno podkreślić, że rzeczywisty stan stosunków społecznych a nie dokumenty są czynnikiem decydującym w pracy rad narodowych. Wcale sobie tego nie obiecuję, że tylko z tego powodu, iż mamy nową „Ordynację wyborczą" i ustawę „O systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego" nowa rada narodowa będzie automatycznie lepiej pracowała od poprzedniej. Nie możemy bowiem zapominać, że wybieramy radnych spośród członków mniej więcej tej samej populacji, spośród której wybieraliśmy do tej pory, a więc wspólny w jakiejś mierze jest dla kandydatów sposób myślenia, nawyki, przyzwyczajenia.

TRZY FUNKCJE I JEDNA SPRZECZNOŚĆ!

— Ale to jest nowa ustawa. Stwarza ona radnym inne warunki pracy, już choćby tylko poprzez te trzy funkcje, jakie teraz rada ma do spełnienia. Wspomniał pan już o nich.

— Tak. I to będzie decydowało, pod warunkiem, że zostaną one konsekwentnie wcielone w życie. Jeśli bowiem tak się nie stanie, to — uważam — że konsekwencje tego mogą być o wiele głębsze i bardziej niebezpieczne dla rozwoju świadomości społecznej, niż dotychczasowe skutki deformacji życia politycznego i społecznego.

Rady narodowe będą musiały spełniać potrójną rolę: po pierwsze — będą przedstawicielskimi organami władzy państwowej, po drugie — organami samorządu terytorialnego. Połączyć te trzy funkcje w jedną dobrze działającą całość jest to zadanie niebywale trudne.

— Na czym polega ta trudność?

— Polega ona na tym, że podjęto próbę nałożenia trzech tak różnych ról na jedno i to samo ciało. Ci sami ludzie będą jednocześnie musieli czuć się przedstawicielami władzy państwowej i samorządu społecznego.

— Czy nie sądzi pan, że jest w tym zawarta sprzeczność?

— Owszem, występują takie opinie, że jest to nie do pogodzenia. Ale tak nie uważam.

— Dlaczego?

— Przy modelowych założeniach ustroju socjalistycznego jest to do pogodzenia. Samorząd społeczny nie musi być czymś przeciwstawnym władzy państwowej.

— A jak ma się do tego samorząd terytorialny?

— Funkcja samorządu terytorialnego polega na realizowaniu tego wszystkiego, co wiąże się z potrzebami i oczekiwaniami lokalnej społeczności. To też nie musi kolidować z ogólnospołecznym interesem.

— Pod warunkiem, że nie popadnie się w partykularyzm.

— Owszem, ale to już będzie zależało od ludzi, których wybierzemy.

DLACZEGO DO TEJ PORY SIĘ NIE UDAWAŁO

— Nim porozmawiamy sobie o ludziach, chciałabym zatrzymać się jeszcze przy społecznej roli i randze rady narodowej. Do pracy rad narodowych przywiązuje się na ogół duże znaczenie. Dyskusja o radach narodowych wybucha przeważnie w okresach napięć społeczno-politycznych. Model polityczny socjalizmu wysoko sytuuje rady narodowe. A przecież nie jesteśmy z ich działania do końca zadowoleni. Ileż to razy mówiliśmy, że „radny jest bezradny". Rady narodowe ogarniał bezwład albo ściślej niedowład. Dlaczego?

— Zainteresowanie radami narodowymi jest spore i to głównie w okresach kryzysowych. Proszę zwrócić uwagę, że i teraz radami narodowymi, a aktualnie zwłaszcza wyborami żyje nasz kraj. Interesują się nimi również i zagraniczne ośrodki antykomunistyczne i wewnętrzna opozycja. Temu zainteresowaniu dają wyraz obce rozgłośnie polskojęzyczne. Gdyby rzeczywiście wybory nie były takie ważne, to by się tak nimi nie interesowano. Ale to tak przy okazji. Pytała mnie pani o powody niedowładu. Jest ich kilka.

Po pierwsze — ustawy o radach narodowych — poczynając od pierwszej z września 1944 roku — nie w pełni odpowiadały konstytucyjnej pozycji rad narodowych w naszym systemie politycznym i nie całkowicie spełniały oczekiwania społeczne.

Po drugie — niekorzystna była relacja między radą narodową jako organem przedstawicielskim a administracją państwową. Wyraźna była supremacja administracji nad organami przedstawicielskimi i działo się to wbrew temu, co mówi o radach narodowych Konstytucja i głosiły same ustawy o radach narodowych.

Po trzecie — rady narodowe miały ograniczone kompetencje, a zwłaszcza ograniczone były możliwości gromadzenia funduszów finansowych i korzystania z nich.

Po czwarte — przyczyny tego stanu tkwiły również w zasadach politycznego kierowania radami narodowymi. Niezbyt fortunnie zakończył się eksperyment podjęty w październiku 1973 roku po I Krajowej Konferencji Partyjnej, kiedy pierwszych sekretarzy komitetów partyjnych zaczęto powoływać na stanowiska przewodniczących rad narodowych. Na IX Zjeździe PZPR przyjęto słuszną zasadę, że partia spełnia swoją kierowniczą i przewodnią rolę poprzez swoich członków pracujących w organizacjach, związkach i właśnie w radach narodowych. Dla właściwego realizowania tej zasady powołuje się zespoły partyjnych radnych. Opracowano już zasady pracy takich zespołów, jest już sporo doświadczeń z poprzedniej kadencji, ale wiele jeszcze musimy się nauczyć.

Po piąte — powodem niedowładu rad narodowych było to, że nie spełniały one do tej pory funkcji samorządu społecznego.

W istocie zapis ten pozostawał jedynie ustawową deklaracją.

Po szóste — decydował o tym skład radnych. Czy zawsze wybieraliśmy do rady narodowej ludzi najbardziej odpowiednich, autentycznych działaczy społecznych i politycznych?

— No i w ten sposób wróciliśmy do sprawy ludzi.

ZADECYDUJĄ LUDZIE, KTÓRYCH WYBIERZEMY

— Powtórzę to, co już powiedziałem, że nie ustawy, dekrety czy uchwały — nawet najlepsze — ale ludzie zadecydują o tym, czy uda się te trudne zamierzenia, jakie stają przed radami narodowymi, konsekwentnie zrealizować. A to, jakich ludzi wybierzemy, będzie zależało tylko od nas.

— Jest pan tego tak bardzo pewien?

— Jeśli potrafimy skorzystać z praw, jakie mamy, jeśli te prawa będziemy znali i umieli się nimi posłużyć, to dlaczego ma być inaczej? Możemy przecież spowodować, aby nie wysunięto kandydata, do którego mamy udokumentowane i uzasadnione zastrzeżenia. Nie jakieś tam widzimisię, ale udokumentowane, które znajdą poparcie innych.

— Mam pytanie trochę... nieszczęsne. Jeśli przejdzie pan wszelkie próby pomyślnie, to będzie pan kandydował do wojewódzkiej rady narodowej z 15-procentowej listy specjalistów. Ta lista budzi sporo — być może nieporozumień — ale też i zastrzeżeń. Czy nie sądzi pan, że może dojść do takiej sytuacji, że w radzie narodowej znajdą się jednocześnie ludzie, którzy pełniąc funkcje wykonawcze, będą się zajmowali niejako kontrolą samych siebie?

— Mnie to nie grozi, gdyż nie pełnię żadnej funkcji w państwowej administracji terenowej.

— Nie pana też miałam na myśli. Zresztą tu nie chodzi o konkretną osobę, a o pewną zasadę.

— Tak też to rozumiem. Otóż jestem za rozgraniczaniem funkcji wykonawczych od ustawodawczych czy uchwałodawczych i kontrolnych. Ale z drugiej strony nie przeceniałbym tej sprawy w wypadku wyborów do rad narodowych. Przede wszystkim jest to tylko 15-procentowa lista i nie wszyscy z tej listy przejdą. Ci, którzy przejdą będą w mniejszości w stosunku do reszty. A poza wszystkim w radzie narodowej niezbędni są ludzie, którzy potrafią sprawy lokalne widzieć w szerszym kontekście, mają doświadczenia i wiedzę w konkretnych sprawach związanych z gospodarką, budownictwem, nauką, oświatą, ochroną zdrowia i tak dalej.

— Specjalistów można przecież zapraszać do pracy w komisjach.

— I tak się niewątpliwie stanie. Ale co innego specjalista zaproszony do pracy w komisji, a co innego radny, który w tej komisji pracuje, bądź wręcz kieruje jej pracą. Inaczej przecież wyborcy będą oceniali pracę radnego, a inaczej kogoś spoza rady, kto tylko do tej pracy został zaproszony.

Tu — myślę — warto byłoby powiedzieć jeszcze o czymś innym. A mianowicie o tym, że praca rady narodowej będzie zależała nie tylko od radnych, ale i od wyborców. Radny musi mieć kontakt ze swoimi wyborcami, którzy też nie mogą być bierni i czekać, że radni sami wszystko zrobią. Ta więź musi być obustronna. Wyborcom zresztą przysługuje prawo do odwołania radnego. Czy i jak potrafią z tego korzystać — pokaże przyszłość.

Sloganów dziś nikt nie słucha

Rozmowa z doc. dr hab. ALFREDEM LUTRZYKOWSKIM — kierownikiem Katedry Nauk Społecznych Akademii Medycznej w Łodzi, kandydatem na radnego Rady Narodowej Miasta Łodzi.

GRAĆ WEDŁUG OBOWIĄZUJĄCYCH REGUŁ

— Rozmawiamy na krótko przed rozpoczęciem spotkań z kandydatami na kandydatów i później z kandydatami na radnych. Jak pan sobie te spotkania wyobraża i czego się pan po nich spodziewa?

— Nie chciałbym zabawiać się we wróżbitę. Ale mogę powiedzieć, czego się spodziewam, albo czego oczekuję. Sądzę, że na tych spotkaniach powinny ujawnić się postawy kandydatów. Bardzo obawiam się standaryzacji poglądów. Dziś sloganów nikt nie będzie słuchał. Nie mogą wszyscy mówić tego samego. To, że mamy podobne cele, nie musi oznaczać, że chcemy je osiągać tymi samymi metodami. Byłbym rad, gdybym mógł stanąć do ostrej walki, nawet pokłócić się, próbować przekonywać ludzi do moich racji.

Kandydat nie powinien podlizywać się wyborcom, a sam kandydatom nie wolno się wzajemnie oszczędzać. Wybory to walka polityczna, to gra, w której obowiązują określone reguły, ale i określone konsekwencje. Nie wolno stosować nieuczciwych chwytów, nie wolno manipulować ludźmi. Musi to być spór, w którym ujawnią się autentyczne postawy i poglądy. Sądzę, że takie spory powinny toczyć się nie tylko na zebraniach, ale na łamach gazet, przed kamerami telewizji. I wcale nie muszę spierać się tylko z przedstawicielami ZSL, SD, „PAX" czy bezpartyjnymi. Z członkami mojej partii też bym się o to i owo pospierał. Rzecz w tym, by spór nie był sztuką dla sztuki, oratoryjnym popisem. Z tego muszą wynikać konstruktywne propozycje.

— A z młodzieżą też by się pan pospierał?

— No, właśnie. O młodzieży mówi się dużo i często niesprawiedliwie. Ja bym młodzieży nie wyłączał ze społeczeństwa, nie wyodrębniał w jakąś specjalną kategorię. Jest taka, jak my wszyscy, tylko może silniej ulega emocjom. Jako wykładowca nauk społecznych nie unikam spraw drażliwych, nie schlebiam słuchaczom i na brak dyskusji nie narzekam. Chętnie spotkałbym się przed wyborami również z młodzieżą i porozmawiał z nią o naszych wspólnych przecież sprawach. Jeśli oczywiście przejdę wszelkie próby i zostanę kandydatem na radnego.

— Studentom przed egzaminem mówi się, aby połamali nogi. co mówi się kandydatowi na kandydata na radnego?

— Nie wiem. Jestem pierwszy raz w takiej roli.

— No, to tylko podziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiała: BOGDA MÁDEJ

Wolę się narażać, niż być niekonsekwentnym

(Rozmowa z posłem na Sejm, dr ZDZISŁAWEM CZESZEJKO-SOCHACKIM — przewodniczącym Sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej)

Panie pośle, pełni pan sporo rozmaitych funkcji społecznych — zacznijmy zatem od ustalenia, kim pan właściwie jest i z czego pan żyje?

— Wykonuję zawód adwokata i z tego się utrzymuję. Można powiedzieć, że prowadzę normalną kancelarię w nienormalnych warunkach — każda minuta jest kradziona, by można wszystkie zajęcia społeczne pogodzić z zawodem. Na dobrą sprawę każde z moich zajęć, potraktowane odrębnie, to jest półtora etatu — Sejm, praca w Zrzeszeniu Prawników Polskich (poseł Czeszejko-Sochacki jest prezesem Zarządu Głównego ZPP — przyp. T.S.), a kancelaria wymaga szczególnej staranności. Dlatego wykorzystuję w pełni swój czas — łącznie z sobotami i niedzielami.

— Czy czuje się pan bardziej politykiem, czy prawnikiem i działaczem społecznym — pytam o to dlatego, że działalność publiczna zabiera panu tyle czasu, iż staje się rodzajem zawodu...

— Nie chciałbym się deklarować w charakterze polityka. Zresztą uważam, że jest to szczególna profesja. Nie zawsze dostrzegaliśmy w przeszłości, że być politykiem to nie tylko wykonywać określone funkcje o charakterze politycznym — to również znajomość zawodu, wiedza fachowa. Myślę, że specjalnemu kształceniu polityków należy poświęcić znacznie więcej uwagi, niż do tej pory.

Ale gdy sam uprawiam politykę, a działalność poselska ma niewątpliwie taki charakter, ciągle we mnie tkwi prawnik. Gdyby spojrzeć na dwa punkty odniesienia — prawo i politykę — to wypadnie stwierdzić, że jedno szalenie pomaga drugiemu. Polityka jest działalnością reagującą na doraźne sytuacje, jest skierowana na badanie ocen społecznych i dostosowywanie do nich decyzji. Prawo ma charakter bardziej stabilizujący; szersze, polityczne spojrzenie jest dla prawników szczególnie użyteczne.

Sądzę, że dla prawnika wyjście poza opłotki ścisłego profesjonalizmu jest niezwykle wartościowe i potrzebne. Natomiast dobrze byłoby, gdyby politycy czuli się bardziej skrępowani regułami prawnymi — bo z tą działalnością wiąże się zbyt dużo tendencji do woluntaryzmu. Intencje mogą być najbardziej szlachetne, ale muszą się mieścić w pewnych normach. Pasjonuję się pozaprofesjonalnie wzajemnym stosunkiem prawa i polityki — myślę, że ich harmonijne łączenie może mieć kapitalne znaczenie dla jednej i drugiej dziedziny, a także życia społecznego.

— Ale nie byłoby dobrze, gdyby nasz parlament składał się w większości z prawników, jak np. amerykański Kongres czy inne ciała przedstawicielskie na Zachodzie?

— W moim przekonaniu każdy organ przedstawicielski musi być reprezentatywny dla społeczeństwa. Ono nie składa się przecież wyłącznie z prawników.

Osobiście jednak jestem zdania, że zbyt mało mamy w Sejmie prawników — zwłaszcza praktyków; natomiast nie należałoby wpadać w drugą skrajność i próbować tworzyć reprezentację wyłącznie prawniczą.

Do tego dodam jeszcze, że będąc prawnikiem marzę o tym, żeby prawo nie było natrętne, nie było wszechobecne, żeby wkraczało wtedy, gdy jest to w życiu społecznym naprawdę konieczne.

— Jako przewodniczący Sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej stał się pan osobą publiczną. Wie pan zapewne, że jest to funkcja obciążona rozmaitymi oczekiwaniami społecznymi — jest pan znany jako „prokurator Gierka i Jaroszewicza". Czy czuje pan presję społeczną z tym związaną?

— Oczywiście tak, choć upływ czasu spowodował, że bardziej racjonalnie i chłodno patrzymy i na tę sprawę. Ale nie jest to sprawa sama w sobie. Nie chodzi o to, byśmy zabawili się w zaaranżowanie jakiegoś postępowania i uszczęśliwili sami siebie, jak grzesznicy przy konfesjonale...

Myślę, że tu tkwi kilka elementów o pierwszorzędnym znaczeniu społecznym. Po pierwsze — konsekwencja, a tę konsekwencję myśmy wykazali. Po drugie — równość wobec prawa, to też zademonstrowaliśmy. Po trzecie — nie może to być spojrzenie doraźne, zawężające kwestię. Ocenę kadr kierowniczych państwa widzieć należy w szerszym horyzoncie spraw społecznych. Jest to przecież kierowanie takimi makroorganizmami społecznymi, które jest z niczym nieporównywalne. I stąd wyprowadzam wniosek czwarty — że jest to sprawa niezwykle ważna dla kultury politycznej. Brak jest u nas bowiem nie tylko praktycznie należytej kultury politycznej, ale i wystarczających działań zmierzających do jej kształtowania. Jeżeli coś w tym zakresie u nas istnieje, to raczej z importu. Na tle naszych wydarzeń ciągle jesteśmy emocjonalni, rozgorączkowani. Powodowani nastrojami chwili, gotowi bylibyśmy skazać kogoś na najcięższe kary, ale gdy przychodzi do realizacji, popadamy w drugą skrajność. Myślę, że tu wyważanie jest konieczne — trzeba przyhamować nadmiar emocjonalności.

— Czy rozmawiał pan o tym z wyborcami w swoim okręgu, w Puławach, czy tłumaczył im pan, że Trybunał Stanu nie zaspokoi tych powszechnych społecznych żądań odwetu?

— Mówiłem o tym nie tylko ze swoimi wyborcami, ale na bardzo wielu spotkaniach w całym kraju, w różnych środowiskach, a poza tym w rozmaitych publikacjach na ten temat. Od samego początku jednoznacznie i konsekwentnie starałem się przedstawić to, co w tej sprawie jest możliwe i realne.

Ze względu na przepisy ustawy i zasady obowiązującego w Polsce prawa Trybunał nie będzie mógł orzekać kar, bo prawo nie działa wstecz. Notabene bez Trybunału rozmaite kary zostały już dawno wyegzekwowane w stosunku do tych ludzi. Praca Trybunału Stanu ma walor moralny, wychowawczy i polityczny. I ten punkt widzenia prezentuję przez cały czas — jestem wierny temu, co postanowiono w ustawie, temu, do czego instytucja odpowiedzialności konstytucyjnej może być wykorzystana. Zdobyć popularność poprzez granie na nastrojach można bardzo łatwo, ale stracić autorytet jeszcze łatwiej. Dlatego nawet narażając się, bo narażałem się na liczne zarzuty i krytykę, wolałem to znosić, niż być niekonsekwentnym.

Najważniejsze w tej sprawie było ustalenie obiektywnego spojrzenia na pewne zjawiska polityczne i ludzi w nich tkwiących. Ale przede wszystkim jest to ogromna lekcja kultury politycznej, dlatego nie wolno nam było niczego zaniedbać. Wszystko powinno się tu dziać przy otwartej kurtynie, na oczach opinii publicznej. Z tego powodu od początku w pełni szanowaliśmy w postępowaniu zasadę kontradyktoryjności — obwinieni, a dziś oskarżeni, mieli pełne szanse do obrony — korzystania z pomocy obrońców, zgłaszania różnych wniosków, składania wyjaśnień.

— Jakie będzie polityczne znaczenie procesu przed Trybunałem Stanu?

— Będzie to pokazanie, że pojawił się w naszych mechanizmach rządzenia pewien stały element gwarancyjny. Nie ma osób wyłączonych spod odpowiedzialności za działalność publiczną w państwie, nie ma osób stojących ponad prawem. Jest to także próba zapobiegania na przyszłość powtórzeniu się podobnych zjawisk. Oczywiście bez idealizowania — nawet najdoskonalsze przepisy nie są w stanie zapobiec ich naruszaniu. Ale ta lekcja musi działać zapobiegawczo — i w tym widzę najważniejszy walor postępowania przed Trybunałem Stanu.

— Panie pośle, zapewne dla pana sprawa ta ma wartość osobistej przygody politycznej — i to takiej, która się zdarza raz na kilka pokoleń...

— Wie pan, mam przeciwstawne uczucia. Z jednej strony chciałbym, żeby takiej sprawy i tego, co ją zrodziło — kryzysu — nie było. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł przeczytać, że to zdarzyło się gdzieś daleko od nas. Ale z drugiej strony, gdy już się to stało i sam znalazłem się w trybach tej sprawy, prawdę mówiąc nie z własnej chęci, stwierdziłem, że jest to kapitalna okazja do poznania mechanizmów państwa, do zrozumienia polityki nie w sposób abstrakcyjny. Prasowe komunikaty z posiedzeń rządu nie ujawniają procesów powstawania decyzji. Sądzę, że poznanie tego wszystkiego, tych rozmaitych opinii, sporów dla kształtowania kultury politycznej może mieć ogromne znaczenie. Nauczyłem się w tej sprawie bardzo wiele...

— Czy wobec tego w przyszłości zechce pan podzielić się tą wiedzą z nami?

— Myślę, że można będzie opublikować po zakończeniu postępowania w tej sprawie nie tylko zbiór dokumentów, bo to jest zrozumiałe i oczywiste, ale i jakieś refleksyjne, własne spojrzenie. Ono będzie miało zapewne charakter nieco subiektywny, ale może prowokować do przemyśleń.

— Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej sporządziła także opinię o doskonaleniu struktury i organizacji zarządzania państwem — rodzaj, powiedzmy, uzupełnienia do znanego „raportu Kubiaka". Ale nie mówmy o tym dokumencie — interesuje mnie, czy pan — jako adwokat, poseł, doktor nauk prawnych i członek partii — ma jakieś własne spojrzenie na przyczyny obecnego kryzysu?

— Jak każdy Polak dorosły i myślący, mam własną opinię. Widzę pewne typowe, charakterystyczne zjawiska, które złożyły się na ten kryzys. Materiał, który gromadziliśmy w komisji, a była to mimo wszystko patologia, pewien wyimek całości, która dawałaby bardziej obiektywny pogląd, pozwala jednak na uogólnienia — także osobiste.

W moim przekonaniu jednym z jaskrawszych objawów tej patologii jest brak konsekwencji. Jeżeli np. przyjmowano plan, bilansując możliwości z potrzebami — to było racjonalne. Ale jeśli w pewnym momencie ten plan był łamany, bo wprowadzano nowe zadania, to nie można się tłumaczyć elastycznością. Oczywiście istnieje pewien margines manewru czy nieprzewidzianych okoliczności. Ale jeżeli taka naturalna korekta przeradza się w szamotaninę między rozmaitymi działaniami, wariantami i naciskami, to właśnie dowód niekonsekwencji.

Gdybym miał wskazać praprzyczynę naszych problemów, to będzie to na pewno niedocenianie, w jakim stopniu planowa działalność ludzka winna dominować w państwie i społeczeństwie. Dodam do tego jedną rzecz — oceniając wszystkie te zamierzenia, inwestycje, postulaty różnych grup nacisku — regionalnych, branżowych czy innych, można je wszystkie uznać za słuszne. Ale nie wolno przekroczyć pewnej bariery możliwości państwa, bo nie tylko nie osiągnie się zamierzonego celu, ale straci to, co zainwestowane.

— Czyli jest to kwestia psychologicznej natury — po prostu siły ludzkiego charakteru...

— Tak. Tu właśnie ujawnia się to, o czym mówiłem na początku naszej rozmowy: różnica między sposobem myślenia polityka i prawnika oraz konieczność harmonijnego łączenia obu tych podejść. Polityk na ogół chce mieć rezultaty natychmiastowe — prawnik dąży raczej do stabilności.

— Panie pośle, posługujemy się ostatnio nader często takim określeniem-wytrychem: „dalsza demokratyzacja". Ale w końcu sprowadza się to do konkretnych instytucji prawno-ustrojowych. Jakież one być powinny?

— Ludowładztwo tym się winno wyrażać, że społeczeństwo ma rosnący udział w rządzeniu państwem. Ale nie może to być wygodny parawan, za którym ukryje się indolencja władzy, asekuranctwo czy wręcz arbitralność. Bo można potworzyć dziesiątki, setki różnego rodzaju superdemokratycznych organów doradczych, opiniodawczych i w rezultacie mieć z nich tylko atrapę. W moim przekonaniu musi to być pogodzone ze sprawnym funkcjonowaniem instytucji państwa. Społeczeństwo można epatować tym, że jest współrządcą państwa. Ale nie może z tego praktycznie wynikać ubezwłasnowolnienie aparatu władzy — on musi być sprawny i odpowiedzialny. Z drugiej strony nie można odebrać społeczeństwu realnych możliwości korygowania, reagowania i ingerowania, przekazywania opinii. Aparat władzy działa w rzeczywistości społecznej, którą musi doskonale znać, nawet przewidywać ludzkie zachowania. Możemy tworzyć doskonałe prawa, ale gdy nie będą dostosowane do społecznych możliwości ich przyswojenia, pozostaną tylko na papierze.

Udział społeczeństwa w rządzeniu państwem musi być o tyle realny, o ile wyraża się w konkretnych formach i postaciach ustanawiania władzy i jej odwoływania, wyrażania swej opinii, wpływu na kształt tej władzy i podejmowane decyzje, na system prawny. Ale nie może być parawanem kryjącym wzajemne rozstrojenie wszystkich elementów demokracji.

— Co sądzi pan o konkretnych propozycjach ulepszania tego systemu, jak np. instytucja strażnika praw obywatelskich?

— Nie lekceważę żadnego poglądu, ale nie jestem też rzecznikiem tego, by wszelkie nowinki z miejsca przekształcać w instytucje prawno-polityczne. Nie można dokonywać bezkarnie przeszczepów. Nasze warunki polityczne, ustrojowe i społeczne są specyficzne, tylko dla nas właściwe. Z ogromną ostrożnością winniśmy rozważać, czy gdzieś funkcjonujące praktyczne rozwiązania ustrojowe, nawet tam bardzo dobrze się sprawdzające, dadzą się przenieść na nasz grunt. Jestem zwolennikiem spokojnej, dokładnej weryfikacji, nawet eksperymentowania z każdą z nowych propozycji ustrojowych. Zbyt często, ulegając wrażeniom, wprowadzamy różne rozwiązania bez sprawdzenia, czy będą miały oparcie społeczne, a potem mamy pretensje do takiej instytucji albo sami do siebie.

— Panie pośle, co zatem dzieje się z projektem przepisów o Trybunale Konstytucyjnym?

— Podzielam pogląd, że jest to niezwykle ważny mechanizm ustrojowy. Prace nad projektem roboczym zbliżają się już ku końcowi. Przeprowadzono wiele analiz, badań, sprawdzono z pozytywnym wynikiem możliwości adaptacji tej instytucji na gruncie polskim.

Ale nie chciałbym, by doszło od razu do pewnej mitologizacji tej instytucji, do przekonania, że wyzwoli ona nas od kłopotów legislacyjnych. To jest przede wszystkim przełamywanie mentalności. Trybunał powinien przyczynić się do kreowania pewnych obyczajów politycznych, nawyków politycznych. Aby nie było z nim tak, jak w pewnym młodym państwie afrykańskim, którego minister sprawiedliwości chwalił się, że właśnie wprowadzili niezwykle postępowy kodeks karny — lecz zapytany o jego praktyczne funkcjonowanie wyznał, że wszystko działa wedle starego porządku plemiennego...

— Sądzę, że Trybunał orzekający o zgodności ustaw z Konstytucją będzie miał raczej znaczenie powściągające...

— Ja bym powiedział, że będzie to mechanizm korygujący, badający w jakim stopniu ustawodawstwo powstające odpowiada systemowi prawnemu państwa. W stosunku do ustaw Sejm będzie musiał rozważać zastrzeżenia Trybunału.

— Czy projektowany obecnie system konsultacji społecznych jako element demokracji bezpośredniej nie będzie sprzeczny z systemem przedstawicielskim?

— Nie. Sądzę, że nie. Byłem i jestem rzecznikiem tego systemu. Uważam wszakże, że gdyby było można stworzyć system konsultacji na drodze praktyki politycznej, byłoby to o wiele bardziej korzystne. Ale nasze doświadczenia nie są w tym względzie pozytywne, dlatego próbujemy sięgać do rozwiązań prawnych.

Prawna regulacja jest pewną słabością systemu, bo powinien on funkcjonować w sposób naturalny, nie wymuszony przez ustawę.

Natomiast co do jego stosunków z systemem przedstawicielskim. Myślę, że nie ma u nas dostatecznej ilości mechanizmów dla kontroli — również procesu powstawania decyzji. Proces dochodzenia do decyzji opiera się o rozpoznawanie rzeczywistości politycznej. Im bardziej zatem organy przedstawicielskie będą uzbrojone w wiedzę społeczną, tym lepiej będą funkcjonować. Dlatego w Sejmie Rada Społeczno-Gospodarcza nie tylko nie stanowi przeszkody, ale w moim przekonaniu znakomicie uzupełnia naszą działalność. Jest to jakaś szansa głębszego rozpoznania przedmiotu, w stosunku do którego ma zapaść decyzja. Dlatego widzę tu współdziałanie — nie przeciwstawność.

— Wyobraźmy sobie, że jestem odpowiedzialnym obywatelem, interesującym się sprawami państwa, ale całą swoją w tej mierze staranność gotów jestem wyładować raz na kilka lat, w akcie wyborczym, głosując z całym przekonaniem na posłów i radnych, do których będę miał zaufanie. W zamian za tę staranność oczekuję, że zdejmą oni z mojej głowy troskę o bieżące sprawy państwa...

— I tu właśnie tkwi wartość mechanizmu konsultacyjnego; bo on pana wciąga, zmusza do współdziałania na bieżąco.

Nie zakładamy, bo byłaby to iluzja, że w konsultacjach będzie brało udział całe społeczeństwo. Ale bez względu na to, jak się będzie kształtował obraz tej grupy konsultujących, to proces ten będzie ludzi wciągał, włączał w powstawanie decyzji. Z tego względu konsultacja jest instrumentem ludowładztwa, udziału w rządzeniu państwem.

— Zastanówmy się jednak, kto będzie na ogół brał udział w tych konsultacjach. Przypuszczam, że będą to jednostki ponadprzeciętnie aktywne — tacy społeczni ekstremiści — mający opinie skrajne, nadto posiadający silną potrzebę ich uzewnętrzniania. Czy zatem efekty konsultacji nie będą skażone pewnym fałszem niereprezentatywności?

— We wszystkich badaniach opinii publicznej trzeba szukać kontaktu z tymi, których aktywność społeczna nie jest duża. Nie jest to proces łatwy, na całym świecie zresztą. U nas tym trudniejszy, że w związku z pewnymi cechami narodowymi jesteśmy bardziej radykalni w poglądach, nadmiernie pobudliwi. Ale szybko następuje spadek tej emocjonalnej aktywności. W sumie jednak poszukiwanie możliwości kontaktu jest bardzo ważne dla funkcjonowania aparatu władzy. Wyobraźmy sobie, że nic z nikim nie konsultujemy — zaczyna się rysować podział między aparatem władzy a obywatelami, co jest paradoksem, bo przecież aparat władzy to też ludzie żyjący w społeczeństwie, więc w mikroskali przeżywający na ogół te same kłopoty co wszyscy. Ale owo wyobcowanie powstaje z braku szerszego dotarcia do opinii.

Oczywiście nie należy tu sobie obiecywać nadmiernych rezultatów. Ale też nie dopuszczałbym do tego, by konsultacje stały się nazbyt masowe — można by postawić tyle pytań, „zakonsultować" społeczeństwo, że zniechęci się do wszystkiego. Konsultacje muszą być wybiórcze — pytający muszą wiedzieć, do kogo i z jaką kwestią się zwracają. Musi też być pewien margines, szansa wpływu na decyzję dla pytanych o zdanie. Zwracanie się z pytaniami do obywateli, gdy ich opinia nie będzie miała na nic żadnego wpływu, byłoby rzeczą nieprzyzwoitą.

— Panie pośle, w różnych środowiskach, przy różnych okazjach mówi się coraz częściej o potrzebie rewizji bądź zmiany naszej Konstytucji...

— Oczywiście wyrażam tu całkowicie osobisty pogląd, a sprowadza się on do następującego stwierdzenia: Konstytucja z 1952 roku w swej części programowej jest prawidłowa. Tu korekta jest zbędna. Natomiast strona normatywna naszej Konstytucji nie zawsze jest dopowiedziana do końca — zmiany w tym względzie wydają się być celowe. Nie należy tego jednak robić po kawałku i co chwila — trzeba dokładnie przemyśleć i zaprogramować zmiany, które miałyby charakter bardziej kompleksowy i mogłyby być dokonane jednorazowo.

W moim odczuciu nie ma dziś takiej potrzeby, by robić to w obecnej, wydłużonej kadencji Sejmu. Sądzę, że nowy Sejm po przyszłych wyborach rozważy tę sprawę. Celowość pewnych zmian rysuje się na tle obecnie prowadzonych prac nad ustawą o Radzie Ministrów i paroma innymi kwestiami. Ale nie jest to na tyle pilne, aby dokonywać tych zmian niejako w marszu. Dla tych prac potrzeba jednak dużego spokoju społecznego — nie można pod wpływem emocji dokonywać przekształceń aktu o tak wyjątkowym znaczeniu.

— Panie pośle, dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: TOMASZ SAS

WIELKANOC 1944

Na stacji Darnica

Dokończenie ze strony 1

nocnym niebie samolotów. Odwrócił głowę, uderzony nagłą jasnością: nad nim, trochę na lewo, jarzyły się różowawo tymiąc, trzy rakiety spadochronowe.

— Przybysz! Walcie do Lubelskiego: alarm cekaemów!

• • •

Kiedy jęk motorów pierwszej trójki nurkowców wyciągnął się w przenikliwy świst bomb, obsługa drugiego i trzeciego działa dopadała właśnie stanowisk. Dowódca plutonu Pojasek oraz Weintraub drugi dalmierzysta, którzy rozpoczął już ogień z drugiego działa, ustąpili miejsca na pół ubranym celowniczym. Platformy plunęły w noc sznurkami świecących pocisków. Przez rwący się rytm szczekania zenitówek, przez trzask wpychanych do magazynów łódek naciskowych i blaszany deszcz gilz, przebił się głos Kononienki:

— Bateria!... do pikujących, pierwsze w lewo, reszta w prawo, krótkimi seriami — ognia!

Z lasu ryknęła rosyjska średniokalibrówka. Od strony parowozu wytrysnął kolorowy wachlarz serii trzynastomilimetrowych cekaemów: Kurczewski i Wróblewski brali na celownik rakiety — obaj krępi, podobni do siebie, jednakowo rozkraczeni przy trójnogach, wpierali dłonie w uchwyty. Z lewej zapłonęły obrzucone fosforówkami dachy wagonów. Nowa konstelacja rakiet wysypała się z niewidzialnego samolotu i zawisła nad stacją; stało się jasno, jak przy zdjęciu z magnezją. Wśród wycia silników warkliwie grzmotnęła pierwsza seria półtonówek. Nad wagonami na mgnienie stanęły słupy piasku i śnieżnego pyłu, zawirowały w powietrzu belki, deski, ciężko opadające kawały blachy. Na chwilę zmiotło różnobarwny pióropusz pocisków cekaemowych: Korzuń wściekle walczył z zasypanym ziemią zamkiem. Korczewskiemu skończyła się taśma — skoczył do opróżnionego kaemu sąsiada, zmieciony z platformy Wróblewski pokusztykał po amunicję.

Na sekundę w przecięciu kresek kalimatora drugiego działa znalazł się wydłużony, rybi profil kadłuba. Szczęknęły korby w rękach Pojaska i Dębniaka — nie zgubić celu! Stuknęły pedały spustowe — czerwone plamki pocisków zamigotały tuż pod skrzydłem — jest! Gubiąc w powietrzu oderwany płat, Junkers stromą spiralą zwalił się w las.

Na tle oświetlonego prostokąta drzwi Bogacki zobaczył głowę chorążego, potem pół ciała. Starając się przekrzyczeć piekielną perkusję bitwy, chorąży wrzasnął w ciemną głąb wagonu:

— Pluton techniczny — po pociski!

Bezwiednie naprężając wszystkie mięśnie, wyskoczyli na piasek. Bogacki zatrzymał się na sekundę, oślepiony jaskrawą iluminacją. Znikło złudzenie bezpieczeństwa, którym darzyły go ściany i dach wagonu; nagle, całą skórą — a zwłaszcza plecami — odczuł wirującą w powietrzu ślepą śmierć. Biegnąc za innymi ku wagonowi amunicyjnemu, zobaczył, jak na czwartym torze z prawa seria wybuchów zmiotła środkowe pulmany sowieckiego transportu z piechotą; dalej, pod lasem nagle zamilkła rosyjska małokalibrówka.

W wagonie amunicyjnym, rozkraczony w wąskim przejściu między skrzyniami, pracował spocony Kruszyna, podając ładunek czekającym pod drzwiami. Płaska, dziesięciosztukowa skrzynka 37-ek nie była ciężka. Bogacki ruszył pędem w stronę pierwszej baterii, przyciskając skrzynkę do karku.

Dopiero przy trzecim kursie, w połowie drogi, gdy zobaczył o dwadzieścia metrów przed sobą, jak krótki błysk rozniósł po torze ogniomistrza Balcera, Przybysza, małego Kalinkę i i dwóch czerwonoarmistów, Bogacki poczuł, że skrzynka ciąży mu niemożliwie. Dobiegł ze zdwojoną szybkością i zrzucił ładunek na platformę drugiego działa, tuż przy nogach rannego Weintrauba. W powrotnej drodze zderzył się z Kruszyną — „nie masz po co lecieć, pociski w wagonie wybuchają" — charknął szef. Bogacki zawahał się chwilę — i z mimowolnym uczuciem ulgi dał nurka pod wagon. Z nieoczekiwaną dla siebie samego zręcznością prześliznął się pod następnym pociągiem, potem pod trzecim i czwartym, przebiegł kilkadziesiąt metrów po jasno oświetlonym piasku, nie wiadomo dlaczego omijając szare płaty śniegu. „Jeżeli nie ma nic do roboty, powinienem się ukryć" — usprawiedliwiał się przed sobą, zsunąwszy się do głębokiego leja. W ślad za nim zwalił się do jamy wysoki czerwonoarmista — nie wypuszczając z ręki rzemienia automatu, przytrzymywał strzęp lewego przedramienia.

Poniżej poziomu rakiet, czarne na ich jaskrawym tle, zawisły rozkraczone sylwetki Junkersów. Werbel wybuchów — w następnej sekundzie nad głową Bogackiego błysnęły podbrzusza samolotów, stromo wychodzących z nurkowania.

Kapral Rogowski skomenderował chwilowe wstrzymanie ognia. Lufa rozpaliła się — na zamianę nie było czasu; poziomy celownik był rozbity odłamkiem. Korba parzyła ręce celowniczego, ochronny lakier płatkami złuszczał się z zamka, pot zalewał oczy amunicyjnych. Ranny w udo, siedząc na tylnym kole, obwiązywał nogę kawałkiem koszuli.

Warkot nad głowami znów przeszedł w jękliwe wycie — pikują! Jeszcze raz zaszczekała seria... Razem z rozświergotanym stadkiem odłamków uderzył w platformę podmuch — i zmiótł działo wraz z ludźmi. Ale stopy ginących celowniczych nie oderwały się od pedałów. I działo, zanim grzmotnęło dwiema tonami żelaza o piasek za wagonem, wysłało w niebo ostatnie dwa pociski.

Trafiony odłamkiem tej samej bomby, padł pod koła wagonu dowódca baterii.

Zgarbiony przy kaemie Wróblewski zobaczył przez koncentryczne pierścienie celownika, jak spod skrzydeł samolotu odrywały się czarne krople bomb. Wparł się w uchwyty, jakby chcąc powstrzymać wibrację kaemu, długą serią zmusił Junkersa do wirażu w lewo — prosto pod pocisk rosyjskiej siedemdziesiątki szóstki. Chwilę jeszcze śledził znaczony czarnym dymem ślad bombowca, jak gdyby dla upewnienia się, że robota nie wymaga poprawki. Obrócił się i raz jeszcze spojrzał na sąsiednią platformę, gdzie dziwacznie przegięte przez trójnóg kaemu, zawisło ciało Kurczewskiego.

• • •

Bogacki leżał w leju, wcisnąwszy się w piasek. Zmarzł tak, że nie mógł skręcić papierosa — zgrabiałe palce rozsypywały machorkę. Skręcił wreszcie i podał rannemu — ale ten odwrócił się twarzą do piasku. Zapalił i chciwie zaciągając się, wyjrzał z leja. Widok był dziko piękny. Na prawo paliły się stłoczone szeregi wagonów, środkowy pociąg wciąż jeszcze rzygał w górę czerwonymi różańcami świecących pocisków. Z lewa, w odległości dwunastu kroków, na bocznym torze pod lasem płonął pociąg z amunicją; w krótkich odstępach wybuchały ciężkie pociski i miny lub małe skrzynki nabojów; kilkakrotnie prysnęła różnokolorowa fontanna rakiet sygnalizacyjnych. W górze wisiało paręset rakiet spadochronowych, niebo nad nimi miało odcień czerwonawo-fioletowy. Od zawieszonego nad głową ciężkiego, krążącego warkotu, co minutę — dwie odrywał się pojęk nurkującej trójki, by po chwili przejść w przejmujący świst i pęknąć serią wybuchów.

Bogackiego ogarnęła nagle wściekłość — na siebie, i na tych drani, co zimno i dokładnie robili swoją potworną robotę.

Chwycił pepeszę rannego i jedną serią, aż do rozpalenia lufy, wypuścił cały bęben w kierunku nurkującego samolotu. Potem odrzucił automat i skoczył w stronę torów. Sadził wielkimi susami, przygięty wpół; nad głową poziomo prały pociski z wybuchającego pociągu amunicyjnego; wirując, padały w piasek dymiące gilzy. Gdy dobiegał do torów, czerwonymi, nakrytymi czarną czapką dymu kłębami płomieni zaczęły wybuchać cysterny. Obiegł je półkolem i wpadł między tory; minął parowóz i rozbite platformy z samochodami i wmieszał się w grupę, która z dymiącego wnętrza wagonu-składu wytaczała żelazne beczki z benzyną.

Przyciskając ręce do wypalonych wytryskiem płonącej benzyny oczu, porucznik Rekuć zwalił się na tor platformy trzeciego działa.

• • •

Ręką w tłustej oliwie rękawicy puszkarz Bartkiewicz gorączkowo szarpnął zagrzęzłą w zamku gorącą, zgniecioną gilzę. Nad jego zgiętymi plecami urywanie dyszał dowódca trzeciego działa: Prędzej... znowu lecą, co się grzebiesz, cholera!...

— Można strzelać! Dawajcie! — Bartkiewicz odskoczył od działa, bezwiednie ściskając w ręku gilzę. Mignęła mu nad głową błyskawicznie zwrócona cienka, czarna lufa, wstrząs pierwszych dwu wystrzałów strącił mu czapkę z głowy. Zeskoczywszy z platformy, Bartkiewicz zobaczył, jak lewoskrzydłowy Junkers trójki zahybotał się, przeszedł jeszcze z pięćdziesiąt metrów, tracąc wysokość, a potem pochylił się gwałtownie i przewalił na prawe skrzydło, zaczepiając po drodze o spadochronową rakietę. Po chwili nad lasem wzniósł się czerwony łachman płomienia.

— Mamy trzeciego! — wrzasnął w ucho Bartkiewiczowi przebiegający obok porucznik z łączności, i trzepnął go po plecach; potem obaj padli w piasek, wsłuchując się w narastającą przenikliwość świstu nowej serii bomb.

Pułkownik, zasmolony i bez czapki, krzyczał coś do Wróblewskiego i Łubskiego; obaj rzucili się do parowozu — po chwili pociąg szarpnął i zaczął powoli oddalać się od niebezpiecznego sąsiedztwa cystern. Bogacki odwrócił się w stronę parowozu — i oślepiony nagłym blaskiem, upadł na wznak. Poczuł nieznośny ciężar na nogach, brzuchu, piersiach i pełno piasku w ustach i nosie. Wygrzebał się z trudem i o mało nie stoczył się do wyrwanego u jego stóp leja. „Mam szczęście, że tu piasek" — przeleciało mu przez myśl. Spojrzał w kierunku parowozu i widok wydał mu się zupełnie groteskowy. W odległości stu metrów, na trzecim torze z prawa, na tle rudego słupa piasku, pięćdziesięciotonowy pulman bezszelestnie gramolił się na przewrócony wagon drugiego toru. Potem oba zwaliły się na lewo do olbrzymiego leja, wyrwa — wężowo skręcone w powietrzu szyny zabarykadowały tor wyciągającego eszelon parowozu. Wszystko to trwało trzy-cztery sekundy, ale Bogackiemu wydawało się zwolnionym filmem. W tej chwili dopiero uświadomił sobie, na czym polegała groteskowość widoku: film był niemy. Ani wybuchu, ani trzasku gniecionych wagonów — nic prócz jednostajnego dzwonienia. Zrozumiał, że jest głuchy. I wszystko od tej chwili wydało mu się dużo mniej straszne — jakby go już to nie dotyczyło.

Otrząsnął się, wypluł i wysypał piasek i podbiegł do wysokiego podchorążego, który, stojąc nad lejem, przywoływał go ręką. We dwójkę z trudem wygrzebali półnagiego szofera z trzeciej baterii, przywalonego dwoma trupami i maszyną. Miał zgniecione kolano; położyli go na szynelu podchorążego i ponieśli przez tory w kierunku lasu. Jęczał tylko wtedy, gdy kładli go na ziemi, by dać odpocząć omdlałym rękom, lub by przeczekać na lecącą nową kolejkę nurkowców. „Zamarzam, chłopcy, zdechnę do rana" — skarżył się, gdy go kładli na podłodze w przepełnionym na pół rozbitym przystacyjnym punkcie opatrunkowym. Zostawili mu płaszcz i pobiegli z powrotem.

Trzecie działo i jakiś cekaem przy parowozie posyłały jeszcze ostatnie serie w ślad za uciekającym warkotem silników. Płonęły wagony i cysterny. W górze, powoli opadając, dopalały się dymiące rakiety. Pod lasem prał snopami ognia pociąg amunicyjny.

Rano Bogacki wrócił na stację z szosy, dokąd znoszono rannych — kijowskie autobusy kursowały od trzeciej nad ranem między Darnicą a szpitalami, położonymi na prawym brzegu Dniepru. Między torami roił się wymachujący łopatami tłum bab — brygady pogotowia zasypywały leje, naprawiały tor. Bogacki usiadł na piasku, oparłszy się plecami o koło platformy i rozejrzał się: gdzieniegdzie tliły się jeszcze belki i podkłady, dymiły wagony z prasowanym sianem; pod ospowatą od odłamków pompą leżały nie uprzątnięte jeszcze ciała. Przejął go poranny przymrozek — był bez płaszcza. Czuł się podle: język był kawałkiem brezentu, w skroniach boleśnie stukało, mdlił zapach spalenizny; — ale pocieszało go, że jednak lepiej już słyszy, przynajmniej lewym uchem. „Widocznie jeden bębenek jest cały" — stwierdził. Wywrócił kieszenie, wysypał na dłoń okruchy tytoniu i skręcił w kawałku gazety. Zaciągnął się gorzkim pyłem machorkowym i spróbował się wsłuchać w rozmowę kolejarzy, którzy po drugiej stronie platformy układali zerwane szyny.

— Wy, chłopcy, uważajcie — tu jeszcze będą zegarowe wybuchać.

— Cholera, ile to narodu przez jedną godzinę wytłukli...

— Baba rano pobiegła samoloty oglądać — powiada, że w dwóch się fryce spalili, a z jednego wyskoczyli — leżą koło szosy. Mundury mieli dobre — tylko się porwały. Jeden jest z krzyżami, widocznie ichni „as" — i tu mu kreska przyszła.

—Nu i Polak! Na wot tiebie! Żeby nie oni, nie odciągnęlibyśmy transportów z czołgami. Podobno z jednej zenitki jeszcze w powietrzu strzelali.

— Im się gorzej dostało...

Z lewa, niedaleko pompy, Bogacki zobaczył przygarbioną figurę w długim płaszczu. Wczorajszy oficer dyżurny beznadziejnie grzebał między zgliszczami trzeciego wagonu.

— Pierwsza SDAPL! Zbiór-ka! Brać łopaty, kto znajdzie! — wołał ktoś, biegnący po drugiej stronie rozbitego pociągu.

Zza stosu belek i z wnętrza ocalałych na sąsiednim torze wagonów z sianem zaczęli wyłazić bladzi od niewyspania żołnierze

RYSZARD FENIGSEN

Dobre maniery czy coś więcej?

Kultura polityczna — określenie, którym posługujemy się dość często ostatnimi czasy i przy różnych okazjach — należy do licznej w naszym życiu publicznym grupy pojęć właściwie niedefiniowalnych. To znaczy można spróbować jakiegoś określenia możliwego do przyjęcia na gruncie naukowym, albowiem jednym z postulatów ogólnej metodologii jest — w każdym przypadku „otwierania" nowej dyscypliny lub drobnego choćby poletka badawczego — przede wszystkim zdefiniowanie przedmiotu zainteresowania. Mogę się założyć, że takie definicje powstaną niebawem (jeżeli dotąd nie powstały) albowiem politolodzy zapewne zechcą sprostać społecznemu zainteresowaniu kwestią kultury politycznej. Życząc powodzenia wszystkim chętnym do definiowania, chciałbym przestrzec jednak — nie tyle przed gigantycznymi trudnościami merytorycznymi, ile przed koniecznością znalezienia odpowiedzi na kwestię: po co...?

Można roboczo — co nie znaczy: prowizorycznie — ustalić pogląd, że kultura polityczna jest częścią składową — ujmując rzecz najogólniej, jak tylko można — życia publicznego. Ale jaką częścią? Gdyby to rzeczone życie publiczne przyrównać do struktury mechanicznej, do jakiejś maszyny, powiedzmy, to okaże się, że kultura polityczna nie jest żadną jej częścią składową, porównywalną czy współdziałającą z innymi; nie jest także źródłem energii, paliwem dla tej maszyny — tę rolę spełniają interesy grup i jednostek. Kultura polityczna byłaby zatem czymś w rodzaju smarowidła w łożyskach i przekładniach naszej maszyny. A zatem czynnik zmniejszający tarcie, ochronny, zapobiegający jednocześnie przegrzewaniu się elementów maszyny, więc także chłodziwo-stabilizator.

Ba, gdybyż tak było w rzeczywistości! Tymczasem można sobie wyobrazić (co więcej — obejrzeć...) systemy funkcjonujące „na sucho" a wręcz „na ostro", bez kropli owego smaru, jakim jest „kultura polityczna", a ściślej: to, co w naszym śródziemnomorskim kręgu cywilizacyjnym nazywamy kulturą polityczną. I nie muszą to być wyłącznie jakieś paranoiczne, totalitarne dyktatury w rodzaju Trzeciej Rzeszy, czy polpotowskiej Kambodży (jeśli już trzymać się przykładów skrajnych) — wystarczy wyobrazić sobie jakąś porządną monarchię absolutną, gdzie wola władcy jest prawem, religią i w ogóle sposobem życia; zresztą może to być równie dobrze republika lub jakiś inny ustrój, funkcjonujący w sposób umiarkowany i racjonalny, acz bez tych elementów demokracji, które my, europocentryści, uważamy za niezbędne. Na żądanie służę konkretnymi przykładami...

Tak więc kultura polityczna jawi się jako pojęcie niekoniecznie — to raz. Po drugie zaś — nie istnieje obiektywnie, tylko jako pewien ukształtowany historycznie i politycznie stereotyp, do którego przyrównujemy owe „smarowidła" w realnie istniejących organizmach narodowo-państwowych. A zatem kultura polityczna podlega ocenie, wartościowaniu wedle ustalonego obok rzeczywistości wzorca; wzorca, który w naszych warunkach ulepiony został z elementów ogólnej teorii demokracji wedle Arystotelesa, Monteskiusza i klasyków marksizmu, z doktryn liberalnych i norm ustrojowych współcześnie obowiązujących w wielu państwach, a także z uogólniających obserwacji naszych zachowań stadnych.

Trudno zatem kulturę polityczną zmierzyć czy zważyć, co więcej: nie można żadną miarą orzec, czy wzorzec jest prawidłowy, skoro stworzyliśmy go tylko z własnej intuicji i ograniczonej praktyki. Zapewne inaczej ów stereotyp skonstruuje Latynos, Afrykańczyk czy obywatel cywilizacji orientalnej (jeżeli w ogóle uzna, że jest mu to potrzebne...), inaczej też będzie wartościował znane mu realnie istniejące systemy polityczne.

Silny partykularyzm pojęcia „kultura polityczna" winien zatem skłaniać co najmniej do ostrożnego posługiwania się nim, jeżeli nie wręcz do zastąpienia czymś bardziej uniwersalnym, a jednocześnie precyzyjniejszym.

Żadną miarą nie oznacza to jednak, że zgłaszając te wszystkie wątpliwości, chciałbym odstraszyć kogokolwiek od zajmowania się problemem kultury politycznej. Nie oznacza to też, że odrzucenie tak niepewnego systemu wartościowania jest dla mnie równoznaczne z usprawiedliwieniem doktryn i reżimów niedemokratycznych. Pozostaje wszakże inny aspekt, jedynie godny, aby rozpatrywać w nim sens dziejów (jak pisze Mirosław Żuławski w swej „Ucieczce do Afryki") — aspekt moralny...

Padło tu już kilkakrotnie słowo: demokracja. Wydaje się, że w naszych warunkach, w polskich realiach współczesnych, demokracja — jako pojęcie oznaczające system organizacji społeczeństwa, system sprawowania władzy — winna niejako „konsumować" kulturę polityczną. W innym przypadku staniemy przed koniecznością sprostania paradoksowi definicyjnemu, który można by nazwać „niemocą Chmielowskiego" — od nazwiska księdza Benedykta Chmielowskiego, który w swej osiemnastowiecznej „encyklopedii" — „Nowe Ateny" dał słynną, po wielekroć cytowaną definicję konia, który „yaki jest, każdy widzi...".

Otóż będziemy potrafili nazwać każdy z pojedynczych objawów kultury politycznej — od najprostszych umiejętności demokratycznego kierowania zebraniem do powszechnej świadomości tego, co naprawdę oznacza słowo praworządność, do umiejętności racjonalnego dyskutowania o sprawach publicznych. Ale poza enumeratywne wyliczenie, co jest objawem kultury politycznej, a co nie jest, nie wyjdziemy. Nasza zdolność do syntezy zatrzyma się na prostym określeniu, że jest to zespół norm (ale jakich? — moralnych? prawnych?, a może reguł pragmatycznych?) służących ocenie działań politycznych.

Poza tym szermowanie pojęciem kultury politycznej w publicystyce o treściach postulatywnych, w rodzaju: „musimy się uczyć kultury politycznej", albo „kultura polityczna społeczeństwa jest niska", służyć może tylko odwracaniu uwagi od rzeczywistego problemu, jakim jest uruchamianie mechanizmów demokratycznych. Nie ma innego sposobu nauki, jak poprzez dobry przykład i eksperyment. Wcale nie jest przesądzone, że zniesienie wszelkich barier demokratyzacji doprowadzi automatycznie do anarchii — istota sprawy leży bowiem w wyborze celu działania, programie, w woli jego realizacji, w konsekwencji i odpowiedzialności. Demokracja sama w sobie celem być nie może — natomiast może i musi nim być lepsze, skuteczniejsze zaspokajanie interesów społecznych.

Dróg jest tu sporo, ale wydaje się — w świetle naszych dotychczasowych doświadczeń, że najlepszą jest uruchamianie kolejnych mechanizmów ludowładztwa w dziedzinie politycznej i gospodarczej (samorządność!). Ludowładztwa w wyborze celów i kontroli państwa... Kultury politycznej, czyli sposobów skutecznego, zbiorowego postępowania i odpowiedzialności, nie można nauczyć się z podręcznika savoir-vivre'u — tylko w działaniu.

TOMASZ SAS

Ciuciubabka

ROMAN KUBIAK

Zwykliśmy sądzić, że przedsiębiorstwo zagraniczne to sam szczyt doskonałości. Świetna organizacja pracy, dyscyplina, wydajność, efektywność — słowem to wszystko, czego brakuje rodzimej gospodarce. O Kowalskim, który znalazł zatrudnienie w takiej firmie, mówi się jak o szczęściarzu trzymającym za nogi samego Boga.

BYŁEM W ZAGRANICZNYM PRZEDSIĘBIORSTWIE

ulokowanym na skraju podmiejskiego lasu. Rozmawiałem z polskim kierownictwem, widziałem pomieszczenia produkcyjne i zaplecze socjalne. Dwa największe wydziały świeciły pustką. Tylko w szwalni cztery kobiety pochylone nad maszynami szyły robocze ubrania.

Wyszedłem z gościnnej firmy natchniony menedżerskimi programami rozwoju, zapewnieniami o świetlanej przyszłości i znośnej teraźniejszości. Krótko mówiąc — prawie wszystko gra.

Gdy znalazłem się za bramą, w miejscu niewidocznym dla ciekawskich oczu, podszedł do mnie człowiek.

— *Niech pan nie daje się puszczać w kanał — powiedział. — Oni zaraz po pana przyjeździe wywieźli robotników do domu, żeby nie mogli powiedzieć prawdy.*

— Jest pan pewien, że z tego właśnie powodu — zapytałem zaskoczony obrotem sytuacji. — A może wyjechali w innym celu?

— *Za długo tutaj pracuję i za dużo widziałem* — zdecydowanym tonem odparł tajemniczy informator.

Szukam potwierdzenia zarzutu. Jadę do filii przedsiębiorstwa, odległej od budynku głównego o 1,5 kilometra. Robotników już nie ma. Przed paroma minutami zostali odprawieni do domu i odjechali mikrobusem.

Jest 9.45. Druga godzina „dniówki" w zagranicznym przedsiębiorstwie. Ustalam kierunek, w którym odjechała osobowa Nysa i ruszam jej tropem. Mam szczęście. Ale to co wydarzyło się później oraz komu zawdzięczam pomoc, a kto utrudniał moją pracę, muszę zachować w tajemnicy. Dałem słowo!

Przedsiębiorstwo Zagraniczne w Polsce „Kam-Gil" założono przed niespełna rokiem. Rozszyfrujmy nazwę. „Kam" i „Gil" to skróty pochodzące od nazwisk właścicieli firmy. M. Kammin jest zachodnioniemieckim biznesmenem, posiadaczem stoczni jachtowej i galwanizerni pracującej dla potrzeb Opla i Mercedesa. Drugim udziałowcem jest pani G. Gill, żona profesora medycyny z RFN. Profesor Gill znany jest w naszym kraju z działalności naukowej i charytatywnej. Od wielu lat współfinansuje i dostarcza do polskich szpitali transporty medykamentów i skomplikowanej aparatury diagnostyczno-zabiegowej. Ostatni transport darów dla szpitali w Poznaniu i Warszawie — osobiście przekazany przez prof. Gilla — miał wartość 21 milionów marek.

Bliskie kontakty z Polską sprawiły, że Niemcy doskonale poznali skalę potrzeb i źródła niedorozwoju naszej ekonomiki. A ponieważ w latach osiemdziesiątych stworzono prawne podstawy do napływu i rozwoju obcego kapitału w PRL, toteż skorzystali z okazji, zarejestrowali firmę, mianowali pełnomocnika i przeszli od deklaracji do czynów.

Ale czy tylko biznes był motorem inicjatywy?

Ci, którzy znają osobiście M. Kammina powiedzą, że jest on człowiekiem sentymentalnym, że pozostaje pod urokiem polskiej wsi. Kammin ma w Polsce wielu przyjaciół i chociaż jest przemysłowcem na tyle zamożnym, iż mógłby spędzać urlopy na Majorce czy w Monte Carlo, to jednak nosi się z zamiarem wybudowania letniskowego domku gdzieś pod lasem, na skraju polskiej wsi. Tam właśnie chce odetchnąć od zgiełku miast i nerwowej codzienności. Bo Niemiec pragnie słuchać kumkania żab i ptasich treli. Jego współpracownicy opowiadają, jak podczas podróży po naszym kraju, Kammin nagle zatrzymywał samochód, by skosztować jabłko zerwane wprost z drzewa w chłopskim sadzie. Twierdził przy tym, że owoców o takim smaku i zapachu w jego ojczyźnie już nie ma.

Prawdopodobnie te cechy charakteru właściciela firmy rzutowały na wstępne decyzje i dalsze losy przedsiębiorstwa. Tam, gdzie romantyzm idzie w parze z interesem, wcześniej czy później musi nastąpić sprzeczność celów wraz z pełną konsekwencją tego faktu.

Kapitaliści wiedzą, że dużych pieniędzy w Polsce nie zarobią. Wiedzą, że natrafią na specyficzne trudności i ograniczenia. A mimo to podejmują ryzyko zainwestowania znacznych sum w wątpliwy biznes. Filantropia czy pretekst do częstszego przebywania w naszym kraju?

Właściciele, nie zważając na poziom dochodów, skłaniają się ku stabilizacji produkcji. Interesują ich długoterminowe umowy z uspołecznionym przemysłem, a nawet zamówienia rządowe. Nie wiedzą jeszcze, że nawet w Polsce działa konkurencja — a może tylko zawiść — i wszelka skłonność do ustępstw odczytywana jest jako oznaka słabości. Niepowodzenia i błędne decyzje kierownictwa będą w sposób bezpardonowy wykorzystywane w zakulisowych rozgrywkach o układy i dochody. Wytworzy się nieprzychylna postawa wobec firmy i równie nieznośna atmosfera w niej samej. Ale po kolei.

NAJPIERW WYDZIERŻAWIONO DWA BUDYNKI,

które poprzednio przeznaczone były na wylęgarnię kurcząt i hodowlę brojlerów, a ostatnio, wynikiem zachodnich restrykcji, czekały na nowe przeznaczenie. Brojlernia, na domiar złego, obciążona jest nie spłaconymi kredytami bankowymi, więc inicjatywa zagranicznego przedsiębiorstwa w samą porę poratowała jej właściciela. W prace adaptacyjne firma zaangażowała kilka milionów złotych. Przy okazji wyszła na jaw konieczność gruntownego remontowania obiektów. Wyposażono je w nowe instalacje ogrzewcze i elektryczne, zainstalowano maszyny i urządzenia. Już po upływie kilku tygodni podjęto produkcję. Co prawda warunki pracy były, delikatnie mówiąc, prowizoryczne, ale ludzie mieli zapał i wierzyli w rychłą poprawę.

Przyjęto trzy kierunki produkcji: konfekcję, tworzywa sztuczne i ceramikę. Szwalnia dostarcza na rynek i bezpośrednio do kooperantów, robocze ubrania i ochronne rękawice. Dział tworzyw produkuje spoilery i nadkola do samochodów ze znakiem FSO. Trwają przygotowania do zawarcia umowy ze stocznią jachtową, na wytwarzanie kadłubów jachtu „Conrad 600". Na polskie jednostki pływające czekają odbiorcy w Szwecji, Norwegii, Holandii i Austrii. Rysuje się szansa produkcji łodzi motorowych dla RFN. Ale na razie trudno zdobyć dobry surowiec. Zakłady w Krośnie oferują żywice z tzw. wsadem dewizowym lecz w zamian za nią „Kam-Gil" ma sprowadzać do Krosna wałki grafitowe z drugiego obszaru płatniczego. Kompletne zestawy urządzeń i nowoczesne narzędzia do wytwarzania elementów poliuretanowych zamawia się u producentów w Republice Federalnej Niemiec.

Zakład ceramiki opiera się na surowcach krajowych. Gipsu jest na rynku pod dostatkiem, a jego wytwórcy wręcz zabiegają o pozyskanie nowych odbiorców. Nic też dziwnego, że zakład ceramiki rozwijał się w imponującym tempie. Z dnia na dzień rosła produkcja gipsowych wazonów i ram do luster. Rosło też zatrudnienie. Wieść gminna o tym, że „zagraniczniacy" dają dobrze zarobić, błyskawicznie obiegła okolicę. Zgłaszało się wielu chętnych do podjęcia — jak sądzono — intratnego zajęcia. Większość musiała odejść z kwitkiem, bowiem przedsiębiorstwo zagraniczne nie może rekrutować załogi w sposób dowolny. Ustawowo nie wolno zatrudniać na przykład: wysoko kwalifikowanych fachowców z sektora uspołecznionego, pracowników produkcyjnych z przemysłu bawełnianego i odzieżowego, uczniów bezpośrednio po szkole zawodowej. Korzystano z ofert chałupników, kobiet na urlopach wychowawczych i przyuczano do prac ludzi o innych zawodach.

LUDZI NIE ZRAŻAŁY WARUNKI PRACY

Chcieli zarobić dużo — znacznie więcej niż dotychczas. Pieniądze rekompensowały wszystkie trudy i niedogodności. Za 20—25 tysięcy złotych miesięcznie godzili się pracować na zaimprowizowanych stanowiskach (dwie skrzynki i deska), myć ręce w beczce, nosić wilgotne ubiory. Takie były początki.

Dobry start zwiastuje nadciągające kłopoty. Raczkująca firma już przyciąga zainteresowanie nieprzychylnych jej osób i instytucji. Dyrekcja twierdzi, że zasadniczym powodem wielu dziwnych, a ciekawych, wypadków z niedalekiej przeszłości i teraźniejszości jest batalia o budynek główny przedsiębiorstwa. Ten sam obiekt, który do niedawna straszył pustką, a obecnie stanowi wymarzone miejsce na uruchomienie w jego wnętrzu każdego niemal rodzaju produkcji. Była wylęgarnia kurcząt stała się łakomym kąskiem dla amatorów dużego zysku. Umowa dzierżawna wygasa za dwa lata, ale już dziś — jak sądzi dyrekcja — wielu osobom zmiana lokatora byłaby na rękę. Na liście zainteresowanych nowym przeznaczeniem budynku są między innymi jego właściciele i pewna — znana z nazwy — łódzka firma polonijna.

Niespodziewanie kwestionuje się zasadność przemysłowego wykorzystania tego hodowlanego obiektu. Argument iście zaskakujący, bo krajowa statystyka odnotowuje kilkaset niszczejących kurników i tuczarni, które raczej nie mają szans na celowe ich przeznaczenie. Dochodzi do pierwszych nieporozumień i zadrażnień w najbliższym gronie. Spory toczą się o drobiazgi, ale atmosfera zagęszcza się.

Po kilku miesiącach dynamicznej prosperity coś jakby zgrzytnęło i pękło. Następują pierwsze zmiany personalne. Kierownictwo z trudem radzi sobie z chimerycznym rynkiem i zaopatrzeniem. Nie wiadomo jeszcze czy skończył się popyt na gipsowe wazony, czy animatorzy zbytu błądzą po niewłaściwych rejonach kraju i pukają do niewłaściwych drzwi. Faktem jest, że pierwsze kilkadziesiąt tysięcy sztuk estetycznej ceramiki poszło jak woda, a obecnie trudno znaleźć nabywcę pojedynczego egzemplarza. Trzy tysiące sztuk gipsowych wyrobów cierpliwie czeka na swój dalszy los w magazynach zakładu.

A MOGŁO BYĆ INACZEJ

Tylko, że w grudniu, gdy handel składał przedświąteczne zamówienia, ktoś spartaczył robotę — nie uregulował zaległych rachunków z transportem i przewoźnik odmówił dalszej współpracy. Ktoś nie dopilnował terminowego zakupu koksu i produkcja o wartości kilkuset tysięcy złotych nie doszła do skutku. Zatrzymano wytwórnię, bo w temperaturze 5 stopni Celsjusza ludziom sztywniały palce, gips parował, a z sufitu kapała woda. Później, kiedy węgiel się znalazł, robotnicy chcieli „nadgonić" produkcję, lecz było za późno. Brakowało zamówień na gipsowe cudeńka.

Jak na ironię „nawalali" kooperanci. Żerańska FSO najpierw bez zastrzeżeń przyjmuje ofertę dostaw spoilerów z „Kam-Gila". Akceptuje przy tym bezbłędny i skrupulatny rachunek kosztów produkcji. Później jednak „zapomina" przelać na rachunek firmy pokaźną sumę za dostarczone już wyroby. Monitowany dłużnik reaguje w sposób taki, że zgłasza reklamację ostatniej partii dostaw. Producenci Poloneza grają na zwłokę — co zresztą wychodzi na jaw dopiero w Warszawie — tymczasem firmie nie starcza środków na wypłatę miesięcznych poborów. Ludzie rozumieją kłopoty kierownictwa i przystają na propozycję przyjęcia zaliczki i późniejszego wyrównania długu. Dziś powiadają, że w grudniu taka sytuacja była jeszcze do przyjęcia, ale teraz nie zgodzą się na żadne obietnice. Forsa na stół i nie ma sprawy!

Inny odbiorca zwraca fakturę i również nie uiszcza zapłaty w wyznaczonym terminie. Powód? Przesyłka zakupionych w „Kam—Gilu" ubrań roboczych nie zawiera 1000 sztuk, lecz 999. Znowu nieporozumienie. Kolejna strata czasu i kolejne finansowe kłopoty. Coraz częściej dostawcy żądają przedpłat na swoje wyroby. Niektórzy odmawiają współpracy z firmą polonijną. W podtekście decyzji tkwi lęk przed posądzeniem o dwuznaczny cel takiej współpracy lub przykre doświadczenie z przeszłości.

Bariery piętrzą się w niepokojącym tempie. Rosną koszty reprezentacyjne, bowiem wiadomo, że urzędnicy i handlowcy rozmawiają z polonusami chętniej dopiero po wręczeniu im stosownego załącznika w postaci najnowszego wyrobu firmy. Doszło do tego, że pogubiono się w rachowaniu „reklamówek", opuszczających magazyn tylnym wyjściem. Nadwątlony budżet poprawiają transakcje wymienne — surowiec za potrzebne wszystkim robocze ubrania.

Ale i to niewiele pomaga. Jedno uchybienie w terminach dostaw czy płatności zamyka drzwi do niedawnych kooperantów. „Nawalanki" zdarzają się, w niektórych instytucjach pytają już za progiem: — *Czy nie jest pan przypadkiem z „Kam—Gila"?* Jeśli tak, to biada zaopatrzeniowcowi i próżne jego starania. Dlaczego tak się stało? Kto i dlaczego zrywał z trudem nawiązywane kontakty? Niekompetencja czy świadome działanie?

W lutym 1984 roku los zakładu ceramiki jest już praktycznie przesądzony. Analiza czasu pracy w tym dziale wykazuje poważny przerost zatrudnienia. Fundusz płac pochłania zbyt dużą część dochodu. Mimo to nikt nie odważy się na drastyczne pociągnięcia. W marcu kierownik zakładu ceramiki wycofuje z produkcji, będące jego własnością, urządzenia. W bezpośrednim sąsiedztwie „Kam—Gila" powstaje konkurencyjna wytwórnia gipsowych odlewów. Dyrekcja firmy dla „świętego spokoju" przekazuje prywatnej inicjatywie wcześniej wynegocjowany kontrakt na produkcję opraw do zegarów. Nic jednak nie jest w stanie złagodzić napięcia między zainteresowanymi stronami. Padają obustronne zarzuty.

W unieruchomionym zakładzie ceramiki pracownicy są rozgoryczeni. Jeszcze w marcu ludzie oczekują redukcji etatów w tym dziale. Dyrekcja dementuje. W kwietniu, tuż po wyjeździe Niemców, dziesięciu osobom wręczono wymówienia. Jednemu ze zwolnionych, ze względu na trudną sytuację rodzinną, zaproponowano wprawdzie pracę na innym stanowisku, ale pozostali czują się oszukani. Najboleśniej przeżyły redukcję dwie kobiety, choć jak zapewniano mnie w dyrekcji, robotnicy przyjęli ową decyzję ze zrozumieniem i pogodą ducha.

Młodą dziewczynę zawiodły nerwy jeszcze tego samego dnia. Tylko przezorności jej rodziny należy zawdzięczać, że nie doszło do tragedii.

Druga kobieta, przewidując nadchodzącą redukcję, postarała się o inną posadę, lecz po zapewnieniach, że zwolnień nie będzie, odstąpiła od finalizowania swych działań. Co dalej — nie wie. Na razie jest bezrobotna.

Dyrekcja wyjaśnia, że z tą trudną decyzją czekano do przyjazdu właścicieli. Kammin musiał niestety ją podjąć, chociaż do ostatniej chwili szukał innego rozwiązania. Zobowiązał też kierownictwo przedsiębiorstwa do ponownego zatrudnienia zwolnionych pracowników, zaraz po przygotowaniu nowej produkcji. Ludzie nie chcą wierzyć, że to już koniec. Obwiniają zarząd o nieudolność w organizowaniu pracy i marketingu. Dyrekcja broni się i umiejętnie zbija zarzuty.

Szczerze mówiąc, od pewnego momentu zacząłem gubić się w plątaninie skarg, różnorakich interpretacji tych samych faktów i zwyczajnych pomówień. Straciłem orientację, które zdarzenia wynikły z obiektywnych przesłanek, a które wyreżyserowała nieudolność czy pazerność inspiratorów. Z jednej strony zwykły interes, z drugiej namiętność i czyny powodowane emocjami. Każdy chce, bym przyjmował wyłącznie jego ocenę. Oceny są krańcowo sprzeczne. A wszystko to odbywa się w warunkach niemalże konspiracyjnych. Rozmówcy pragną być anonimowi, to znowu unikają odpowiedzi. W takiej sytuacji nietrudno stracić zaufanie do słowa mówionego. Trzeba bazować na dokumentach. Ale to nie wystarcza dla wypracowania obiektywnej oceny.

Bo przecież ktoś zakłada, że uwierzę w „numer" z wywożeniem robotników, dla zakamuflowania czegoś tam. Tymczasem prawda jest inna i do tego banalnie prosta — brak opału i zatrzymanie produkcji. Ktoś złośliwie wypuszcza powietrze z wszystkich czterech kół zaparkowanego samochodu. Duże świństwa i małe świństewka. Trwa ciuciubabka w „Kam-Gilu".

A TUŻ OBOK ZWYCZAJNE PARADOKSY

Firma, która szyje odzież roboczą nie wyposaża w nią własnych pracowników. Szewc bez butów chodzi... Czyżby powodem były tylko pieniądze? Chyba nie, bo dyrekcja honoruje rachunki za przejazd taksówką z miejsca zamieszkania pracownika do miejsca zatrudnienia. Dodać trzeba, że są to odległości znaczne, więc i koszty niebagatelne.

Co stoi na przeszkodzie realizacji najprostszych działań? Przecież w ferworze walki nie wolno zapominać o sprawach tylko na pozór drobnych, a już na pewno nie wolno zapominać o ludziach. Jeden fakt jest oczywisty. W takiej atmosferze nie można pracować.

Okoliczni chłopi mówią, że „u Niemca" źle się dzieje, bo jego robotnicy coraz rzadziej zachodzą do chałup w poszukiwaniu wódki.

RYSZARD KLIMCZAK

Piąty stan skupienia

Czy był znajomym, kolegą, czy kimś bliższym? Jak rozeszły się nasze drogi przed dwudziestoma dziewięcioma laty? Całkiem zwyczajnie czy może stanęło coś między nami i czy to „coś" mogło mieć dla nas obu istotne znaczenie? Opuszczaliśmy to miejsce — dla mnie rodzinne, dla niego miejsce wygnania — chyłkiem, bez pożegnania i każdy podążył w swoją stronę? Czy może uścisnęliśmy przyjazne dłonie z nadzieją rychłego spotkania? Rozgrodził nasze chłopackie losy mur nieufności. Może wrogość? Może wyminęliśmy się jak przechodnie zmierzający w przeciwnych kierunkach, obrzucając się przelotnym obojętnym spojrzeniem, nieciekawi siebie i swoich spraw? Obcy.

Te myśli zmąciły spontaniczną radość Piotra wybuchłą na widok Tomasza, gdy powodowany nie kontrolowanym odruchem zatrzymał się przed nim z wyciągniętą do powitania ręką.

— Co za spotkanie! — zawołał.

Stali wpatrzeni w siebie z dłonią w dłoń. Uśmiech, który jeszcze przed chwilą krasił całą szeroką twarz Piotra, przekształcił się teraz, pod wpływem buzujących w mózgu pytań w ten charakterystyczny śmiech, w którym przeplatają się raz to zadowolenie i szczerość, raz to zakłopotanie i wątpliwości, lub zawstydzenie z powodu okazania braku powściągliwości i kontroli nad emocjami.

— Zabieram cię z sobą — powiedział Piotr.

— Tylko bez wykrętów — dodał, gdy Tomasz gestem mogącym uchodzić za wyrażenie odmowy usiłował nie przyjąć zaproszenia. — Musisz poznać moją rodzinę, zobaczyć dom. — Chwycił Tomasza pod ramię i poprowadził ulicą.

Tomasz uśmiechnął się. Zrozumiał. Konieczność samopochwały, bo jeszcze nie pora na inne wynurzenia.

Zatrzymali się przed okazałymi drzwiami na pierwszym piętrze. Na melodyjny dźwięk dzwonka pojawiła się w progu przystojna brunetka. Jej uprzejmy uśmiech i gościnny gest zapraszał do obszernego holu. Wyrężyserowana swoboda wyciągniętej do powitania małej dłoni, jak należało się domyślać — pani domu i nieme pytanie w spojrzeniu skierowanym dyskretnie w stronę męża poprzedziły nieomal szeptem wyrażone słowa: — Proszę do salonu.

Tu nastąpiła prezentacja. Uśmiechy. W nieco spłoszonych oczach Piotra małżonka odgaduje prośbę; bądź miła dla gościa, a jego usta wypowiadają sakramentalną formułę: — Przyjaciel zielonych lat — moja żona. Po słowie przyjaciel następuje interwał wahania. Przyjaciel? Kolega?

— Siadajmy — Piotr wskazał fotele skupione przy niskim stoliku. — Ileż to minęło lat? Jesteś przejazdem czy zabawisz dłużej w naszym mieście? — I nie czekając na odpowiedź zaproponował: — Możesz zatrzymać się u nas jak długo zechcesz. Niczym nie będziesz skrępowany. Pokój gościnny do dyspozycji. Mam nadzieję, że będzie ci u nas wygodnie. Zupełna swoboda.

— Jak sądzę — zmieniła temat pani domu — spotkaliście się przypadkiem?

— Całkiem nieoczekiwanie. Czysty przypadek, — wyjaśnił natychmiast Piotr.

Zostali sami. Pani domu opuściła salon, każda bowiem taktowna kobieta wie, kiedy dyskretnie pozbawić damskiego towarzystwa męskie grono, jeśli panowie mają sobie coś do powiedzenia przy spotkaniu po wielu latach. Zresztą zapowiedziała rychły powrót, aby nie było wątpliwości, że jest jej miła wizyta gościa.

Na stoliku pojawiły się kanapki, jakieś ciasteczka, talerzyki, kieliszki, przyniesione przez gosposię. Piotr otworzył butelkę.

— Bułgarski, wiesz — zachęcał Piotr — kupiłem na statku. Całą skrzynkę. Płynęliśmy trasą Gdynia-Helsinki-Leningrad. Teraz „Orbis" organizuje bardziej atrakcyjne wycieczki. Ale i tamta, wiesz, była interesująca. Handlowo, wiesz, — roześmiał się — także wyszedłem na swoje. Puble trzeba było na coś wydać. Koniak, wiesz, wyśmienity. Gruziński z pięcioma gwiazdkami, ale już się skończył. Ten też wyborny, nie? Albo papierosy. Wziąłem kilka kartonów. — Piotr podskoczył do serwantki. Wyjął karton Camelii. — Amerykańskie, wiesz. Nie kapuję, jak oni to kalkulują. Kilka rubli za cały karton. Zabawnie tanio, wiesz? Nie na handel, o nie. Dla siebie. Chociaż, wiesz, sam nie palę. Rzadko. Żona... tak. Znajomi. Zawsze ktoś się trafi i przyjemnie czymś takim potraktować.

Rzucił karton na stylową wersalkę. Paczki papierosów rozsypały się na całej jego powierzchni.

— Podróże kształcą — roześmiał się — niewykształconych, a ja mam przyjemność. Pieniędzmi jednak też nie lubię szastać bezmyślnie, bez pożytku. Nie rozrzucam obok siebie, ani za siebie, choćby miały wpadać w najpiękniejsze morza lub w tę sławną fontannę. Jak jej tam?

— Di Trevi.

— O, o właśnie. Najwyżej, ha, ha, ha, przed siebie. Byle z pożytkiem. Pieniądze muszą przynosić pieniądze. Z Leningradu przywiozłem trochę pamiątek. Wiesz jakie tanie tam złoto? Co to dla nich. Pokopią, pokopią i mają. Dużo, tyle że niskiej próby. Ale wiesz, dwunastka czy czternastka to dla amatorów. Ja takiego nie biorę. Podoba ci się to kunsztowne cacuszko z platyny? — Wyciągnął z malachitowego puzderka naszyjnik wysadzany diamentami. — Wiesz, celnicy mają swoje sposoby. Ale na nich też jest sposób. Tamci nawet nie węszą z bardzo. Najgorzej nasi. A z naszymi można... przecież dogadać. Mówią po polsku. Wystarczy dwie paczki Cameli.

Tomasz z rostargnieniem przysłuchiwał się nieprzerwanemu strumieniowi informacji Piotra. Nagle odkrył, że z tej zasypującej jego świadomość lawiny słów docierał tylko jeden natrętny, nużący wykrzyknik: wiesz. Zaczęło go to bawić. Przypominał sobie jak przed laty, podczas wykładu teorii kredytu, pieniądza i koniunktur rysował na kartce papieru kreseczki po każdym wtręcie profesora: właśnie, oczywiście. Nakreślił kiedyś w ciągu jednej godziny prelekcji kilkadziesiąt takich kresek. Teraz miał ochotę robić to samo.

Przypatrywał się Piotrowi w milczeniu. Chwilami przenosił spojrzenie na ściany, wodząc oczyma po obrazach, rozwieszonych w gustownej kompozycji. Axentowicz, Wyczółkowski, Kossak...

— E, tam... — lekceważącym machnięciem ręki zareagował Piotr spostrzegłszy zainteresowanie Tomasza. — Nędzne resztki galerii teścia. Przed wojną, wiesz, lokował w to grubą forsę. Co cenniejsze kąski zjadła okupacja. Żarłoczna, cholera. Stary, wiesz, był internowany na Węgrzech. A teściowa upłynniała za bezcen najlepsze płótna. Marna lokata, wiesz. Potem, wiesz, brat żony ożenił się pierwszy. Rozumiesz. Nam już pozostały tylko same wybierki, ogryzki. Co strzeliło do głowy teściowi kupować te malunki? Mecenas sztuki, psia mać.

Piotr wydął wzgardliwie wargi. — Horrendalną forsę utopił w chimerze. No bo co? Ramy — żeby choć były ze srebra. Trochę nasyconego olejem płótna? Aż śmiech bierze. A tyle ludzi daje się nabierać na całkiem nieokreślone wartości. Paranoja. I teść. Lekarz. Facet z pozoru rzeczowy, rozważny. Snob? Nie. Chyba nie. Zwariowany miłośnik. Naprawdę to on jednak niczego nie kochał oprócz swego zawodu. Bzdura, nie? Za tę forsę, wiesz, mógłby mieć brylanty, złoto, ziemię. Ziemi nie spalisz. Złoto weźmiesz w walizkę. A obrazy? Co ja z tego mam? Nawet sprawiedliwie nie podzielisz. Bo jak? Rozetniesz na pół. No to — zdrowie! Chluśniem, co? Wiele nie piję. Ale z tobą... niecodzienny gość. Ha, ha, ha. Ta tabliczka przy bramie? Były adiunkt Akademii Medycznej we Wrocławiu. Dobre, co? Po prawdzie lepiej by brzmiała nazwa Oxford lub Sorbona. Ale adiunkt, tutaj, i tak robi swoje. Wystarczy. Dobre, nie? Zauważyłeś. Jesteś z pewnością spostrzegawczy.

Tomasz czuł, że jeszcze trochę tych lukratywnych wywnętrzeń, a Piotr pęknie i zmieni temat swych zwierzeń.

— Istotnie — ciągnął Piotr — pracowałem naukowo. Na dłużej — to nonsens. Dawny tytuł służy teraz za przynętę. Pacjenci to lubią. W gruncie rzeczy jestem dobrym rzemieślnikiem. I nikim innym nie chcę być. Wiesz, że nigdy nie miałem ciągot do wzniosłych badań. Naukowiec... żeby chodzić w podartych kapciach. Ty mnie znasz. Nie będę się przed tobą zgrywał. Moją ideą jest być bezideowym. Jak dotąd źle na tym nie wychodzę. Moja idea nie przegrała. Humanizm... socjalizm... Puknij się w głowę... może ci się otworzy, jak Sezam. Humanizm sprowadza się do tego, kto kogo mocniej walnie w pysk. I dobrze, że humaniory są. Jest kogo w mordę walić. Przez te rozprawy o humanizmie robicie z ludzi kaleki. Życie, wiesz stary, życie... A propos. Jest tu u nas bardzo ważny facet. Powiadam ci, wszechmocny niemal. Nie myśl... siedzi u mnie w kieszeni. Wiesz, pije, żre i rzyga, ale co chcę mogę przez niego załatwić. Niby największy w herarchii powiatowej piramidy. Gdy sobie popije, gada... aż uszy więdną. Szkoda, że go nie możesz posłuchać. Zresztą ciebie nie zna. Przed tobą by się zgrywał, bo ty masz taką pryncypialną gębę, że każdy będzie się przed tobą zgrywał. Nawet jeśli będzie wiedział, że nie musi się ciebie obawiać. Ty byś mu zresztą nie zakneblował jadaczki. Ha, ha, ha. Zacząłbyś go zaraz uświadamiać. A może już nie?

Tomasz nudził się. Wypili.

— Myślisz, że ja nie byłem w partii? Byłem. Kiedy mi to było potrzebne. Karierowicz? Oczywiście. Czy to coś złego? Przecież uczą, że każdy jest kowalem swego losu. Zobacz jaką mam krzepę. Łapy kowalskie. Przyjęli mnie z otwartymi ramionami. Tata — kułak, a syn... ha, ha, ha, z fasonem, co? I to wówczas, gdy ta wasza walka klasowa dochodziła do zenitu obskurantyzmu. Ja zaś chciałem dostać się na wydział lekarski uniwerku. Raz już oblałem egzamin na medycynę. W porę, przed następnym egzaminem pojawiła się pewna cizia z ministerstwa. Jestem przystojny. Podobałem się jej, wiesz. Przepuściłem z nią harmonię czerwońców. Miała mocną głowę i lubiła te rzeczy. I umiała. W łóżku — artystka. Co tam, szatan. Stałem się jej protegowanym. Pierwszy na liście przyjętych, bez egzaminu, z listy. Równa babka. Poradziła mi abym przyjął asystenturę. Wiesz, jak to było... No cóż. Znasz mnie. Nie, nie będę się przed tobą zgrywał. Orłem, wiesz, nie byłem. Naukową karierę, krótko po studiach, powiesiłem na straganie uniwersyteckiego targowiska. Przeniosłem się tutaj i wżeniłem w dobrze usytuowaną i ustosunkowaną patrycjuszowską rodzinę, z pokoleniowymi miejscowymi tradycjami. Człowieku, jak to ułatwiło mi strat i otworzyło rozległe perspektywy. Od razu nie byłem obcy. Znalazłem się w klanie. Miało to kolosalne znaczenie. Robię pieniądze, wiesz, i wydaję je z pożytkiem. To nie znaczy, że jestem kutwą. Używam życia. Wiesz, to tylko coś warte. Zarabiać i wydawać na własne przyjemności. Epikurejska dewiza. Tak się w naszych warunkach urządzam, aby przy minimum wysiłku uzyskać maksimum korzyści. Tak. Być może. W twoich oczach, owszem, mogło tak wyglądać, że kiedyś, gdzieś zaangażowałem się po czyjejś stronie. Otóż musisz wiedzieć, że nigdy się po niczyjej stronie nie angażowałem. Nigdy nie miałem ambicji zostać bohaterem. Taka jest prawda. Było mi to obce i wstrętne. Nie chcę na sobie popełniać gwałtu. Moja natura broni mnie, bym nie został bankrutem. Szczęście mnie, wiesz, nie opuszcza, fortuna sprzyja. Któryś tam zmysł każe mi — znasz ten mechanizm — sprzedawać akcje, gdy lecą w dół, kupować, gdy zwyżkują. Ta historia z AK? Banalna. Wstąpiłem do AK, bo chciałem zaimponować jednej dziewczynie. Podobała mi się. Ale ona była zwariowaną patriotką i uwielbiała tylko konspiratorów. Taka była moda na urzeczenie podziemiem. Z mitem żołnierza Ruchu Oporu łatwiej było wejść do łóżka. Wiesz, taka psychosomatyczna aberracja. Gdy powstała Warszawa, poszedłem do lasu. Byłem wszystkiego trzy dni. Opuściłem oddział, bo już wtedy byli bankrutami. A ja wcale nie miałem ochoty nadstawiać łba za bankrutów. Skoro sam do nich poszedłem, na ochotnika, uważałem, że mogę odejść kiedy chcę, z własnej woli. Oni, wiesz, nie mogli tego zrozumieć, ani nie chcieli się z tym pogodzić. Wydawało im się, że jestem ich własnością. Przedmiotem. Wiesz do czego byli zdolni? Ograbili mnie, zabrali wszystko co miałem, bo mniej byłem według nich wart niż mój pistolet, buty i mundur. Koledzy, niech ich... Obrzucili mnie wyzwiskami, nazwali dezerterem. Nienawidzili mnie. Wiesz za co? Że miałem odwagę ich opuścić. Zabrali pistolet, buty, ubranie. W gaciach pomaszerowałem do domu. Pozazdrościli mi odwagi. Że ja potrafię a oni nie potrafią zrzucić uwierające kark jarzmo ustanowionych przez siebie norm i ocen. Ale rzeczywistość z nich zakpiła. Oni wrócili do domów pobici, z etykietką zaplutych karłów. Ja — jak heros. Choć wcale o to nie zabiegałem. Ot, drobne tylko kłamstewko. Legenda była niewymyślna. Szablon. Oddział rozbity... ja w gaciach... uciekłem spod hitlerowskich luf. Dziewczyna, wiesz, mitomanka, kochała mnie czulej, gorącej, współczującą namiętnością. Z fascynacją bez opamiętania. Zapewniam cię, nie marnowałem czasu.

Piotr na chwilę zamilkł i nagle wyrzucił z siebie ze złym błaskiem w oczach:

— A ten skurwiel, wiesz, żarł u mnie, chlał i rzygał do woli, a teraz nie chce załatwić mi głupiej sprawy. Obiecał półetacik. Wiesz jak jest. Tu ćwierćetacik, tam półetacik, trochę fikcyjnie, trochę prawdziwie i grosz leci. Pewnie go ktoś podkręcił albo podwyższył stawkę. Drożyzna się. Fucha przeszła koło nosa. Wiesz, łasy na babki. Mam przyjaciela, wiesz, też lekarz. Chcieli go wziąć do wojska. Niby na dwa lata. Oho, tak się mówi. Co to znaczy, rozumiesz? Wszystkie dochody z prywatnej praktyki, półetaciki, ćwierćetaciki — arrivederci. Ale Grzegorz ma przystojną żonę. Rasowa babka. Mówię ci. Młodsza o dziesięć lat. Albo nawet piętnaście. Grzegorz zatrany napędza do chaty forsę. Zaspokaja wszystkie kaprysy żony. Ona się nudzi. Trochę, co prawda, życiowy niedorajda. Babka lubi te rzeczy. Może z innymi dla przygody, dlaczego nie mogłaby podłożyć się dla sprawy? Podsunąłem jej taką myśl kiedyś, ha, ha, ha, gdy byliśmy sami i w dobrym nastroju. Za skuteczną protekcję... dlaczegoż by nie? Poznałem ją, wiesz, z tym bonzą. Jak się skończyło, nie wiem. Faktem jest, że Grzegorza wyreklamowali. On znów robi forsę, a ona się puszcza. Ja z tej placówki jeszcze nie zrezygnowałem. Wyżej do tego mandaryna żonę. Może się dogadamy i spuści z tonu. Ty. A ty byś nie pomógł? Słyszałem, że masz wpływy. Funkcjonujesz w układach. No co? To się rozumie. Nie za darmo.

Tomasz uniósł się z fotela. Spojrzał na zegarek.

— Już wychodzisz? — zaprotestował Piotr. — Zaczekaj. Jeszcze chwila. Wypijemy. No to trudno. Do widzenia. — podjął dłoń Tomasza wyciągniętą do pożegnania.

Świeże czyste powietrze wentylowało mózg. Siadł na ławce na skwerku przed teatrem. Sięgnął do kieszeni po miejscową gazetę. Była jak wszystkie powiatówki, ani szczególnie ciekawa, ani wyjątkowo nudna. Przerzucał stronę po stronie bez zainteresowania. Na ostatniej kolumnie krótka notatka skupiła jego uwagę. Przeczytał ją do końca. Potem drugi i trzeci raz.

„Gorące podziękowanie za uratowanie życia i serdeczne Bóg zapłać za troskliwą opiekę w ciężkiej chorobie składa Doktorowi Piotrowi wdzięczny pacjent, Apoloniusz wraz z rodziną":

Odłożył gazetę. Wolnym krokiem podążył do hotelu.

Kronika kulturalna

JUBILEUSZ 65-lecia działalności obchodzi jedna z najstarszych placówek upowszechniania kultury ZDK przy zakładach im. Obrońców Pokoju. Powstała w 1919 r. jako świetlica zakładowa przy fabryce K. Scheiblera i L. Grohmana. W r. 1928 przekształciła się w Klub Fabryczny, zlokalizowany w budynku przy ul. Przędzalnianej 68, gdzie placówka mieści się do dziś. Po II wojnie światowej w 1945 r. wznowiła działalność już jako Zakładowy Dom Kultury. Działalność kulturalną i wychowawczą prowadzi nie tylko dla siedmiotysięcznej załogi „Uniontexu" i ich rodzin, lecz także na rzecz szeroko rozumianego środowiska. W niektórych, szczególnie atrakcyjnych imprezach uczestniczą tu mieszkańcy nawet bardzo odległych dzielnic Łodzi.

Do stałych, amatorskich zespołów, działających w ZDK i znanych wielu mieszkańcom Łodzi należą m.in.: Zespół Pieśni i Tańca Folkloru Łódzkiego „Uniontex", Zakładowa Orkiestra Dęta, Kapela z Przędzalnianej — kontynuujące tradycje kulturalne dawnej, robotniczej Łodzi. Najmłodsi znajdują zajęcie w Zespole Rytmiki „Przedszkolak" i w Dziecięcym Zespole Estradowym „Sezamki". Ponadto działa w ZDK amatorski klub filmowy „Pryzmat" oraz dyskusyjny klub filmowy „Fa-Ka-Der", grupa literacka robotników piszących, grupa teatralna „Igrek", pracownie plastyczne dla dzieci i dorosłych, pracownia tkaniny artystycznej.

W pomieszczeniach ZDK prowadzone są również kursy nauki języków obcych, tańca towarzyskiego, ostatnio również modnego aerobicu. Oczywiście odbywają się tu również imprezy okolicznościowe i rozrywkowe, ponadto działa przy ZDK biblioteka, kawiarnia oraz stała galeria artystyczna „Księży Młyn".

Imprezy, jakie zaplanowano dla uczczenia jubileuszu placówki służyć będą dalszej aktywizacji i integracji twórców, działaczy i odbiorców kultury, skupionych wokół ZDK oraz popularyzacji dotychczasowego dorobku. Pierwsza z nich, związana także z obchodami Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy odbyła się 3 maja br. Impreza zamykająca jubileuszowe obchody połączona będzie z koncertem z okazji Dnia Włókniarza i odbędzie się w kwietniu przyszłego roku.

PAMIĄTKI patriotyczne w medalierstwie polskim — to temat wystawy, czynnej od 3 maja w Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi. Swoje bogate zbiory prezentuje tu osiemnastu zbieraczy — członków PTAiN. Wystawę oglądać można codziennie w gmachu Muzeum przy Placu Wolności 14.

ODZIEŻ i projekty autorstwa Mirosławy Szerypo-Bryszewskiej będzie można oglądać na wystawie w Centralnym Muzeum Włókiennictwa w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 282. Ekspozycja otwarta zostanie w najbliższy czwartek, tj. 10 maja o godz. 13.

PREMIERA monodramu Władysława Orłowskiego pt. „Kaskader" odbyła się w Ośrodku Informacji i Kultury w Sofii. Wykonawczynią była młoda aktorka bułgarska Ina Grozdanowa. Licznie zgromadzona publiczność oklaskiwała gorąco aktorkę, jak również obecnego na spektaklu autora.

KONKURS na ekslibris z okazji 40-lecia powrotu Ziem Zachodnich i Północnych do macierzy ogłasza Złotoryjski Ośrodek Kultury. W konkursie mogą wziąć udział graficy profesjonalni oraz amatorzy. Chętni do uczestnictwa w konkursie muszą nadesłać jedną lub więcej prac, w formacie nie większym niż B-6, wykonanych dowolną techniką. Każdy egzemplarz w trzech sygnowanych, autorskich odbitkach. Mogą to być prace nowe lub też prezentowane poprzednio na wystawach i w innych konkursach, wykonane po 1944 roku. Konkurs obejmuje ekslibrisy wykonane dla instytucji kulturalno-wychowawczych, bibliotek, szkół, ognisk artystycznych, organizacji i stowarzyszeń itp. instytucji znajdujących się na terenach, które powróciły do Polski w 1945 r.

Przy ocenie nie będą brane pod uwagę ekslibrisy o treści okolicznościowej (np. Ex libris 40-lecia powrotu Złotoryi do Polski). Wszystkie prace mają być przeznaczone dla konkretnej z wyżej wymienionych instytucji.

Na odwrocie każdej pracy należy zwykłym ołówkiem wypisać imię i nazwisko autora, rok powstania i technikę wykonania ekslibrisu, w oddzielnej kopercie natomiast — spis prac z pełnym brzmieniem tekstów umieszczonych na znakach oraz dokładny adres autora.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w grudniu br. Przewidziane nagrody: I w wysokości 15 tys. zł, dwie po 10 tys. i trzy po 8 tys. zł oraz wyróżnienia i inne nagrody fundowane i specjalne.

Bliższych informacji udziela Złotoryjski Ośrodek Kultury 59-500 Złotoryja, Plac Reymonta nr 6, województwo legnickie, telefony 565, 374. Pod tym adresem również należy nadsyłać prace — w nieprzekraczalnym terminie do 30 października br. w kopertach opatrzonych hasłem „EKSLIBRISY 40-LECIA".

U źródeł nowoczesnej grafiki francuskiej 2

ANDRZEJ GRUN

Często zdumiewa nas, jak wielką rolę odgrywał zwykły przypadek w najróżniejszych odkryciach i wynalazkach. Napisana pod tym kątem historia wynalazków i odkryć byłaby nie tylko fascynującą lekturą, ale i ciekawym przyczynkiem do studiów nad wyobraźnią ludzką i źródłami jej inspiracji.

Alojzy Senefelder, syn miernego aktora monachijskiego teatru królewskiego, urodził się przypadkiem w Pradze, w 1771 roku. Najpierw zamierzał zostać prawnikiem i rozpoczął studia na uniwersytecie w Ingolstadt. Musiał je niebawem przerwać. Po śmierci ojca liczna rodzina Senefelderów znalazła się w trudnej sytuacji materialnej. Alojzy, najstarszy z rodzeństwa, obarczony został obowiązkami żywiciela. Chcąc połączyć domniemane powołanie z pożytecznym, przyłącza się do wędrownej trupy aktorskiej, z którą objeżdża przez dwa lata miasta i miasteczka niemieckie. Ale upragnione sukces i sława wydają się jeździć zupełnie innymi drogami, niż te, po których tłuką się wozy wędrownego teatru. Senefelder porzuca scenę, zamieszkuje w Monachium i postanawia zarabiać na życie literaturą. Ale sztuki, które pisze, nie przynoszą ani uznania, ani pieniędzy. Dochodzi więc do wniosku, że przynieść je może tylko słowo drukowane. Lecz wydawcy nie bardzo kwapią się inwestować w nader mierną literaturę, a ubogi grafoman nie jest w stanie pokryć kosztów wydania swych dzieł. Wpada zatem na pomysł drukowania samemu własnych utworów. Naturalną koleją rzeczy zaczyna interesować się drukarstwem.

I tu przypadek goni przypadek, a szczęśliwy zbieg okoliczności wydaje się być naturalnym darem losu. Towarzyszy temu upór, wyobraźnia i niepoślednia inteligencja. I zainteresowanie, które przeradza się w autentyczną pasję twórczą. Pasję odkrywcy!

Techniki metalowe, którymi początkowo interesuje się Senefelder, nie sprawdzają się w tego rodzaju przedsięwzięciach. Płyty metalowe — jak na jego kieszeń — są drogie. Próby wielokrotnego ich użycia, przez szlifowanie, pracochłonne i wymagające dużego wysiłku fizycznego. Szukając różnych materiałów do szlifowania płyt metalowych, w którymś tam momencie używa, występującego powszechnie w okolicach Monachium, łupku wapiennego. Zauważa, że kostki wapienne, używane do szlifowania metalu, same zyskują bardzo gładką powierzchnię, a pocierane o siebie wzajemnie są łatwe w obróbce. Rodzi się pomysł zastąpienia płyt metalowych — kamiennymi. Tak właśnie zostaje znaleziony kamień litograficzny. I to od razu w najlepszym gatunku. Wapienie bawarskie do dziś uważane są za jedne z najlepszych. Bogate pokłady wapienia i liczne kamieniołomy, w których wydobywano wapienny łupek od lat, dla zupełnie zresztą innych celów, zapewniły łatwo dostępny i tani surowiec.

Wszystkie dotychczasowe techniki graficzne, wklęsłodruki i płaskodruki, opierały się na jednej wspólnej zasadzie — na zróżnicowaniu płaszczyzny matrycy, na reliefowym ukształtowaniu jej powierzchni. To, że w jednym wypadku farba drukarska była „wyciągana" z rowków i płaszczyzn wklęsłych, a w innym pokrywano farbą tylko płaszczyzny wypukłe, było właściwie jedynie sprawą rozgrywki technicznej. Zasada pozostawała ta sama: zróżnicowanie poziomu powierzchni. I nic dziwnego w fakcie, że Senefelder początkowo poszedł tą samą drogą — zaczął trawić powierzchnię kamienia, usiłując uzyskac reliet. Z punktu widzenia aktualnej praktyki i teorii — miał rację.

Senefelder używał tłustej, przez siebie spreparowanej farby, z domieszką żywicy i wosku, dla pokrywania tych płaszczyzn, które nie miały ulec wytrawieniu. Kiedyś tam zauważył, że powierzchnie, na które działał kwasem, nie przyjmują owej farby. Natomiast na płaszczyznach nie trawionych, farba owa znakomicie kryje płaszczyznę kamienia. Stąd był już krok do zrozumienia, że powierzchnia wytrawiona może nie przyjmować farby drukarskiej, może być na nią uodporniona; zaś powierzchnie nie trawione, mogą być powierzchniami drukującymi. Obyło się bez różnicy poziomów! Cała dalsza praca Alojzego Senefeldera, choć nie była łatwa wcale i trwała ponad trzy lata, polegała już tylko na znalezieniu odpowiednich materiałów, receptur i opracowaniu właściwej technologii.

Litografia (greckie — lithos — kamień, grapho — rysuję) została wynaleziona.

W 1799 roku Senefelder otwiera w Monachium, przy poparciu ministra oświaty Steinera, pierwszą pracownię litograficzną, mając w kieszeni patent króla Bawarii na 15 lat wyłącznej eksploatacji wynalazku. W ciągu następnych lat Senefelder doskonali swoją technikę. Preparuje odpowiedni tusz i kredki litograficzne, konstruuje prasę do odbijania, wreszcie w 1821, wydaje w Monachium dzieło „Dokładny podręcznik wszystkich rodzajów i sposobów drukowania z kamienia" („Vollständiges Lehrbuch der Steindruckerey").

Pierwszymi drukami Senefeldera były teksty pisane i nuty, zaś pierwszymi rysunkami — rysunki kostiumów. Wobec ogromnego zainteresowania litografią w Niemczech, Senefelder porzuca literackie ambicje z niewątpliwą korzyścią i dla literatury, i dla swojego wynalazku.

Z Niemiec litografia szybko rozprzestrzeniła się po Europie. Napoleoński generał Leyeune, powracając spod Austerlitz, zapoznaje się z nową techniką Senefeldera i praktykuje u niego w pracowni. W Paryżu, razem z księciem Montpensier, bratem późniejszego króla Ludwika Filipa, wykonuje pierwsze litografie. Zabawny sposób „rysowania na kamieniu" staje się niebawem obowiązującą modą na salonach arystokracji. W 1816 roku hrabia de Lasteyrie zakłada pierwszą w Paryżu pracownię litograficzną. W 1819 roku, w Madrycie, Goya zapoznaje się z nową techniką i wykonuje potem, w Bordeaux, całą serię rysunków na kamieniu. Na litografię zwrócili uwagę Gavarni, Delacroix, Daumier, Gericault, H. i K. Vernetowie, Charlet, Gros i inni. To Francuzi właśnie, jak ktoś zauważył, „zrobili z wynalazku niemieckiego sztukę francuską".

Jako ciekawostkę przytoczę tu, za profesorem Andrzejem Jurkiewiczem (1907—1967), znakomitym grafikiem i nauczycielem warsztatu, autorem świetnego „Podręcznika metod grafiki artystycznej", którego pierwsze wydanie ukazało sie tuż przed II wojną i należy dziś do białych kruków zaś drugie (w opracowaniu i uzupełnieniu Romana Artymowskiego) w 1975 w „Arkadach", że pierwszy warsztat litograficzny w Polsce powstał w 1818 roku, w Warszawie. Założył go lekarz, Jan Siestrzyński, autor pierwszego i przez długie lata jedynego podręcznika „O litografii" (1929). Podejmując pracę pedagogiczną w Instytucie Głuchoniemych, Siestrzyński postanowił zorganizować tamże pracownię litografii, z którą to nowością zetknął się w czasie studiów medycznych w Wiedniu, a którą dobrze poznał ucząc się później w Monachium u znakomitego fachowca Franza Weishaupta. Z różnych personalnych i merytorycznych powodów — Siestrzyński był także autorem własnej, nowatorskiej wobec innych, fonetycznej metody nauczania — pracownia litograficzna powstaje ostatecznie nie w Instytucie Głuchoniemych, a za prywatną protekcją Aleksandra Chodkiewicza, w jego własnym domu. Pierwszym, odbitym z kamienia drukiem, był list Chodkiewicza do ministra spraw wewnętrznych Mostowskiego w sprawie Jana Siestrzyńskiego — litografa

Siestrzyński, którego „miłość Ojczyzny, a przywiązanie do tego, co ludzkości użytecznym, gnało (...) po obcych krajach i zrobiło na koniec nauczycielem głuchoniemych i litografem", zniechęcony trudnościami, wstępuje do wojska jako lekarz i umiera niebawem, bodaj że na tyfus. W założonej przez niego pracowni litograficznej, jednym z pierwszych artystów, który zaczął rysować na kamieniu, był Jan Feliks Piwarski.

Wynalezienie druku płaskiego ponownie uaktualniło problem druku wielobarwnego, grafiki kolorowej. Drzeworyt barwny (camaieu, chiaroscuro) był znany niemal od początku. W Biblii z 1460 roku, drukowanej (być może) przez Schöffera, znajdujemy już dwukolorowe inicjały. Jednakże drzeworyt barwny wymagał określonej stylizacji i narzucał pewne rygory, które szybko przerodziły się w manierę.

Poszukiwania w obrębie druków wklęsłych, mimo osiągnięć Francuzów i Holendrów (Le Sueur, Lastmann, Schenk, Seghers) nie przynosiły spodziewanych rezultatów i nie mogły w pełni zadowolić, zwłaszcza, gdy szło o reprodukcje i repliki graficzne.

W 1710 roku Niemiec z Frankfurtu, pracujący w Paryżu J. C. Le Blon, ustala zasady druku barwnego, które są aktualne po dziś dzień i stosowane we wszystkich nowoczesnych sposobach druku maszynowego i ręcznego. Ustala je teoretycznie. W praktyce bowiem (aczkolwiek osiągnął bardzo ciekawe rezultaty odbijając barwne portrety kardynała Fleury i króla Jerzego II wg obrazów van Dycka) brak mu było możliwości technicznych. Akwaforta, akwatinta, miękki werniks, niezwykle trudne w druku barwnym, nie przynosiły na koniec pożądanego efektu.

Le Blon swoją zasadę tłumaczył następująco: „Różnie łączone trzy kolory zasadnicze dają wszelkie możliwe odcienie barwne, wprost tyle tonów, ile powstaje na palecie najbardziej umiejętnego malarza; drukując nie można ich jednak kłaść tak, jak się je kładzie pędzlem na płótnie, lecz oddzielnie jeden za drugim. Trzeba zatem używać ich w taki sposób, żeby pierwszy przebijał przez drugi, a ten z kolei przez następny, gdyż prześwietlenie zastępuje tu czynność pędzla. Kolory zasadnicze muszą być rozdzielone każdy na inną płytę. Dla wykonania odbitki kolorowej trzeba więc trzech płyt, pierwsza do koloru niebieskiego, druga do żółtego i trzecia do czerwonego; silne światła i biel daje papier. Niejednokrotnie używa się jeszcze czwartej płyty, przy pomocy której wykonuje się czarne partie rysunku".

Wszystkie wymogi teorii postawionej przez Le Blona spełniała litografia. Druk płaski.

Nad barwną litografią pracowali już Senefelder i Raucourt. We Francji przede wszystkim Godefroy Engelmann, który też nadał tej technice nazwę — dziś już zupełnie niemal zapomnianą — chromolitografii. Bardzo szybko zdobyła sobie ona szaloną popularność jako sposób reprodukcji i niemal równie szybko wyrodziła się w tzw. oleodruk. Ten przesławny oleodruk, który często był istnym popisem wirtuozerii technicznej (drukowano nieraz reprodukcje z 45—50 kamieni), ale też ewidentnym zaprzeczeniem jakiegokolwiek artyzmu.

Ostatnia dekada XIX wieku to pojawienie się w praktyce nowych technik drukarskich, a także powolne odchodzenie drzeworytu i litografii. Ich funkcje usługowe skończyły się. Ale właśnie w XIX wieku, we Francji, grafika odradza się ponownie, w innym nurcie, jako odrębna, samodzielna i pełnoprawna dyscyplina sztuki, wzbogacona jeszcze o nowe techniki.

* * *

Przyczynili się do tego przede wszystkim impresjoniści. Bonnard, Toulouse-Lautrec, Vuillard, Renoir — pospołu z marchandem i wydawcą Vollardem — odkryli na nowo litografię, w tym także litografię barwną. Również impresjoniści wnieśli nowe światło, nową przestrzeń, nowe tematy i nowy nastrój do akwaforty — Manet, Renoir, Degas, Sisley Mery Cassat, Pisarro.

Niepoślednią rolę odegrał tu wspomniany Amboise Vollard, handlarz obrazów i wydawca, który był inspiratorem wielu poczynań współczesnych mu artystów w dziedzinie grafiki. „Całe życie lubiłem sztychy. Zaledwie osiedliłem się na Laffitte, to jest około roku 1895, największym moim pragnieniem było wydawanie sztychów, ale sztychów malarzy! Grafik to nazwa, której nadużywamy, określając nią zawodowych sztycharzy, którzy wcale nie byli malarzami. Ja chciałem zamawiać sztychy u artystów, lecz nie grafików zawodu. To, co mogło być ryzykowną próbą, stało się wielkim sukcesem artystycznym. Bo dzięki temu Bonnard, Cézanne, Toulouse-Loutrec, Maurice Denis, Redon, Renoir, Sisley, Vuillard wykonali na próbę piękne sztychy, dziś tak bardzo poszukiwane".

Gauguin i Vallotton powracają do starej formy drzeworytu na desce ciętej wzdłuż słojów.

Byłoby nieścisłością, gdybyśmy, mówiąc o osiągnięciach impresjonistów w dziedzinie grafiki i ich zasługi dla grafiki, pominęli ich poprzedników. Całą plejadę XIX-wiecznych malarzy, którzy sięgnęli do tej formy wypowiedzi, traktując ją jako samodzielną i odrębną dziedzinę twórczości. To właśnie ci peintre-graveurzy zaczęli zmieniać oblicze grafiki: Gericault, który zajmował się litografią, Delacroix ilustrujący „Fausta" w technice litografii, pejzażysta Huet, Gavarni, wyjątkowy Charles Meryon, który z racji swego daltonizmu nie mógł zostać malarzem, za to został jednym z wielkich akwaforcistów francuskich, urzekający autor niezwykle nastrojowych, romantycznych pejzaży Paryża, także Honoré Daumier, zajmujący niepoślednie miejsce w sztuce francuskiej, Braquemond, Corot, Fantin-Latour i inni.

Także trzeba pamiętać i o tych, którzy będąc innych zawodów, również walczyli o nowy kształt grafiki: poeta Charles Baudelaire, pisarze Theophile Gautier i Jules de Goncourt, wydawca Alfred Cadart...

Hamburką do Gdańska

Wyjaśnijmy na początku, co to jest hamburka? Jest to łódź dziś już w Polsce mało używana. Ma ona 4 metry długości. Napędza się ją dwoma wiosłami. Wiosła te są osadzone w dulkach. Wioślarz natomiast siedzi w ruchomym wózku, który porusza się po szynach. Wózek ten wprawia się w ruch nogami, które są przysznurowane do skośnie ustawionego podnóżka.

Teraz wyjaśnić należy, kto płynął hamburką do Gdańska? Płynął Wojciech Giełżyński, który całą tę podróż — niemal od źródeł Wisły do jej ujścia do Bałtyku, opisał dokładnie, uzupełniając dygresjami w książce pt. „Moja prywatna Vistuliada".

„...na hamburce — wyjaśnia Wojciech Giełżyński — **płynie się do przodu, ku przyszłości, jak trzeba, lecz jednak ze wzrokiem utkwionym do tyłu, zwróconym w przeszłość, ku źródłom, stale patrząc na przebytą drogę. Taka sytuacja jest zarazem słuszna ideologicznie i adekwatna do mego zmysłu reporterskiego, jest wręcz sytuacją metaforyczną...**"

Wojciech Giełżyński ruszył na Wisłę, aby opisać ją przed rozpoczęciem realizacji „Programu Wisła". Zamysł piękny, ale ruszył w zły czas. Start nastąpił 18 czerwca 1980 roku a koniec podróży Wisłą miał miejsce w połowie lipca 1980 roku. Wydarzenia sierpniowe tego roku, kryzys, jaki mamy do tej pory, spowodowały zwłokę w realizacji „Programu Wisła". Jak długo ta zwłoka potrwa — nikt tego nie jest dziś w stanie powiedzieć.

Zgodnie z cytowanym powyżej filozoficznym nieomal założeniem podróży Wojciecha Giełżyńskiego po Wiśle jest ona powolnym posuwaniem się do przodu ze stałym oglądaniem się do tyłu, ku źródłom, ku bliższej i dalszej przeszłości. Bo przecież nie ma ani teraźniejszości bez przeszłości, ani przyszłości bez teraźniejszości i przeszłości. Tak więc książka Wojciecha Giełżyńskiego ma trzy warstwy:

— pierwszą, którą stanowi reporterska relacja z podróży hamburką noszącą imię „Michał",

— drugą — opisem tego, czym jest dziś Wisła i czym ma się stać w przyszłości,

— trzecią, będącą ciągłym powracaniem w przeszłość.

Sama podróż po Wiśle jest bez wątpienia ciekawa, bo mało kto wpadł na taki pomysł, a jeszcze mniej go zrealizowało. Można więc płynąć Wisłą, nocując na biwakach, zatrzymując się w różnych miejscowościach położonych nad tą rzeką, przeżywać najprzeróżniejsze przygody. I takie zdarzyły się Wojciechowi Giełżyńskiemu. Spotkał wielu różnych ludzi, odbył z nimi ciekawe rozmowy. Wszystko to skrupulatnie opisał. Ale gdyby na tym poprzestał, napisałby książeczkę może i ciekawą, lecz wątłą w swej istocie. Wojciech Giełżyński jest wytrawnym reporterem, żeby tego nie wiedział i nie rozumiał.

Jest więc w jego książce cała bogata i przerażająca wiedza o Wiśle jako centralnym ściekiu wszelkich zanieczyszczeń, jako o groźbie ekologicznej wiszącej nad nami, a o której jakoś sobie, w całej naszej beztrosce, zdajemy się nie wiedzieć.

Oto charakterystyczny cytat: „**Sumienni naukowcy obliczyli, że w 1977 roku Wisłą spłynęło (w przekroju Kiełmarka) 39 miliardów i 95 milionów ton wody. A oto główne rozpuszczone w niej ingrediencje:**

Chlorki — 2 423 890 ton
Siarczany — 2 408 252 tony
Substancje rozpuszczone — 14 777 910 ton
Substancje organiczne — 183 746 ton
Zawiesiny — 1 251 040 ton
Azot amonowy — 23 457 ton
Azot azotanowy — 54 733 tony
Fosfory ogółem — 4 581 ton
Fenole lotne — 273 tony
Detergenty amonowe — 3 127 ton
Ołów — 1 329 ton
Cynk — 1 720 ton
Miedź — 430 ton
Kadm — 140 ton
Rtęć — 50 ton

Bałtyk długo wytrzymywał te podarki. Ale jego odporność załamuje się. Bałtyk gnije".

Wystarczy? A to było w 1977 roku. Siedem lat temu. Przez te 7 lat nic się pod tym względem nie zmieniło. Pogorszyło się raczej. Oto akurat w „Życiu Literackim" (nr 12 z 18 marca 1984 roku) Andrzej Pawlik zadaje bardzo istotne pytanie: „Kiedy braknie wody do picia?" On też przytacza anegdotyczną wprawdzie, ale ponura tę anegdota, definicję wody płynącej w Wiśle pod Krakowem. „...jest to ciecz bezbarwna i bezwonna, wrząca w temperaturze 100 stopni i krzepnąca w temperaturze niższej niż 0 stopni. Czy Wisła zamarza? Jeśli nie, to nie ma w niej wody!" Ale Wisła nie zamarza na długich fragmentach również dlatego, że ze Śląska wtłacza się do niej **„od 250 do 400 tysięcy ton słonych wód w ciągu doby".** Są to wody wydobywane z kopalń. I nie są to przecież wszystkie substancje, jakie Śląsk posyła do Wisły. **„Cały zaś obszar śląsko-krakowsko-bielski, przy zajmowaniu 4 z ułamkiem procenta powierzchni kraju** — pisze w „ŻL" Andrzej Pawlik — **grupuje już 16 procent całej populacji, wytwarza 25 procent krajowej produkcji globalnej, pobiera 17 proc. krajowego zużycia wody, a oddaje rzekom 30 procent, czyli jedną trzecią część wszystkich ścieków nie czyszczonych".** Jest to swoisty aneks napisany do książki Wojciecha Giełżyńskiego. A życie pisze dalej nowe aneksy. Pełne trucizny i zagrażające naszemu środowisku. Książka Wojciecha Giełżyńskiego jest ostrzeżeniem. Czy wystarczającym?

W trzeciej swej warstwie wraca ona do przeszłości. Mamy więc legendy, wiadomości o przeszłości mijanych miast, o dawnej żegludze Wisłą, o biskupach, zakonnikach, rycerzach, szlachcie, kupcach, flisakach i retmanach, o Krzyżakach, Austriakach, Rosjanach, Prusakach i słynnych Polakach. Są tam rozważania o sporcie i innych osobliwościach przeszłego i teraźniejszego życia. Jest też piękny fragment o znaczeniu rumu dla rozwoju imperium brytyjskiego oraz węgrzyna dla upadku Polski.

Ale, co ja wam będę opowiadał. Przeczytajcie to sami.

LUCJAN BOGUSZ

Wojciech Giełżyński, Moja prywatna Vistuliada, Iskry, Warszawa 1983, str. 352, cena: 140,—

Bez kompleksów...

z KRZYSZTOFEM SKUDZIŃSKIM rozmawia BOHDAN GADOMSKI.

Młodzi reżyserzy filmowi czekający na swoje debiuty latami zaczynają coraz częściej dochodzić do głosu. KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI, absolwent Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi (z 1976 roku) czekał na swój pierwszy film 7 lat, kierując w międzyczasie sprawami literackimi Zespołu Filmowego „Anex", wydając książkę „Rekolekcje dla głuchoniemych" (Wydawnictwo Literackie, Kraków), pisząc scenariusze filmowe.

Niedawno TVP pokazała jego film „UFO", a 30 marca br. reżyser zakończył zdjęcia do Teatru Sensacji „Kontekst". Przygotowuje swój pierwszy film kinowy i kolejny spektakl telewizyjny.

— Urodził się pan w 1947 roku, a po dyplomie reżyserskim w 1976 roku na swoje wejście do filmu, TV, czekał bardzo długo. Debiut w zawodzie reżysera w wieku 37 lat to prawidłowość czy spóźnione odkrycie jeszcze jednego twórcy filmowego, któremu po drodze pouciekały pomysły, pasja i najlepsze lata?

— Oprócz nielicznych wyjątków debiut polskiego reżysera jest u nas znacznie późniejszy aniżeli na świecie. W związku z czym nie mam pretensji o zbyt późny debiut, ponieważ uwarunkowany on jest zawsze pewnymi administracyjnymi wymogami kinematografii i dla człowieka, który poważnie myśli o pracy w filmie ten moment debiutu jest mniej ważny. Istotny jest punkt stratu — odskocznia do drogi twórczej, którą planuje lub powinien planować w sposób perspektywiczny. Ponieważ nasza kinematografia nie jest duża (produkuje ok. 30 filmów rocznie), trudno więc wyobrazić sobie, aby mecenas w sposób lekkomyślny mógł ofiarować pieniądze młodym ludziom. W wyniku struktury szkoleniowej powstaje dysproporcja między liczbą młodych reżyserów „wyszkolonych" a możliwościami kinematografii. Tak się złożyło, że lata 1981—82 stały się latami, kiedy to młodzież wyraźniej zaznaczyła swoje miejsce w kinematografii. Stało się to dzięki powołaniu Telewizyjnego Studia Młodych im. A. Munka oraz Studia im. K. Irzykowskiego. Stworzenie tych możliwości organizacyjnych zaowocowało już kilkoma udanymi próbami wejścia do zawodu. To po pierwsze. Po drugie — tak się stało, iż począwszy od roku 1982 pewni reżyserzy zamilkli. A więc automatycznie wytworzyła się luka, która stworzyła możliwość wypowiedzenia się nowym ludziom. Kategoria wiekowa staje się mniej ważna, natomiast rzeczą ważniejszą jest, że ktoś nowy znalazł możliwość do wypowiedzenia się.

— Dlaczego wybrał pan studia reżyserskie?

— Zaczynałem jako prozaik, jednakże sytuacja wydawnicza jest taka, iż między powstaniem utworu literackiego, a jego opublikowaniem istnieje przeciętnie czteroletni okres czasu. W moim przypadku stwierdziłem, że duch literacki moich wypowiedzi starzeje się zbyt szybko, aby kontynuować ten literacki proceder — tworzenie prozy, która będzie docierała do czytelnika ciągle z czteroletnim opóźnieniem. Skonstatowałem, że dla wyrażenia mojej osobowości bardziej doskonały jest duch sztuki filmowej. Kino jest sztuką, gdzie coś się dzieje bardziej na gorąco w sensie tworzenia i odbioru, w czym czuję się lepiej.

— Do studiów reżyserskich przygotowywał się pan już na wydziale matematyki w Toruniu, na polonistyce czy na filozofii?

— Moje studia były formą szukania dziedziny, w której mogę się najlepiej wypowiedzieć, to że skończyłem na reżyserii, jest wyrazem pewnego automatyzmu psychologicznego, który prowadzi człowieka w to jedyne, słuszne miejsce.

— W międzyczasie pracował pan w tartaku oraz jako konduktor międzynarodowych wagonów sypialnych?

— To były krótkie przygody, które pozwoliły na zderzenie mojej dość abstrakcyjnej umysłowości ze światem konkretów.

— „Rekolekcje dla głuchoniemych" to opowiadania oparte na obserwacjach i doświadczeniach z „robotniczego" okresu twórcy?

— Są to opowiadania, które „wyrzuciłem" z siebie rozliczając się ze swoim dzieciństwem, spędzonym w małym miasteczku. Napisanie tej książki przyszło mi bardzo łatwo i jest to swego rodzaju literatura spontaniczna, która jak gdyby kończy ten mój etap życia związany z egzotyką prowincji.

— Nie myśli pan o pisaniu następnych książek?

— Napisałem jeszcze powieść pt. „W zawieszeniu" o postawach młodych ludzi i sposobach szukania własnej tożsamości, którą jednak chciałbym wzbogacić i jako utwór rozszerzony o szerszych perspektywach filozoficzno-moralnych zaproponować w przyszłości wydawcy.

— Teraz wchodzi pan w swój wyuczony zawód reżysera. Jakie doświadczenia z tych pierwszych kroków w filmie i TV?

— Nawiązując do mojego filmu „UFO", który powstał w okresie trudnym politycznie uważam, że zastosowana w nim formuła humoru jest w jakiś sposób mało drastyczna. Teatr TV „Kontekst" jest bardziej zgodny z duchem czasu, ponieważ uważam, że w środku lat 80 należy realizować utwory czy to filmowe, czy telewizyjne bardziej odzwierciedlające światopogląd artysty. Obecnie nasza psychika jest na tyle inna niż przed dwoma laty, iż widz odczuwa jedynie utwory podejmujące wyraźną problematykę moralno-ideologiczną. Konkretnie rzecz biorąc, uważam, że filmy trzeba robić w oparciu o znaczące i poważne scenariusze. Obsadzać należy w sposób bardziej odpowiedzialny, tzn. ostrożnie postępować z „naturszczykami", a bardziej korzystać z doświadczonych aktorów. Doświadczeniem technicznym jest to, że wiem teraz, iż należy przygotować się na heroiczny wysiłek przy tworzeniu filmu, teatru TV, ponieważ rozpadająca się struktura kinematografii i telewizji nie gwarantuje podstawowych luksusów koniecznych do powstawania czegoś co można nazwać prawdziwą sztuką.

— Jak narodziło się „UFO"?

— Trzy lata temu założyłem się ze Spielbergiem, że nawet w kraju o niskim poziomie technicznym kinematografii można nakręcić film zbliżony do jego „Bliskich spotkań trzeciego stopnia". I nakręciłem go. Uważny widz mógł spostrzec, że fragment dialogu poświęcony jest właśnie Spielbergowi. W sumie zaś film posługując się sprawami UFO traktował o bardziej subtelnych sprawach ludzkiej egzystencji.

— „Kontekst" — spektakl sensacyjny Teatru TV to pana pomysł na jaki teatr na małym ekranie?

— „Kontekst" to pomysł na teatr intelektualno-psychologiczno-ideologiczny okraszony powłoką sensacji oraz dowcipnymi sytuacjami. Autor książki Leonardo Sciascia to włoski komunista-intelektualista. W książce i spektaklu istnieje pewien wątek polityczny, do którego trzeba podejść ze zrozumieniem ideologicznego światopoglądu włoskiego pisarza, a więc to, co w świecie Zachodu jest na lewym skrzydle władzy, u nas jest na prawym i na odwrót. Uzmysłowienie sobie tej ideologicznej roszady i jej konsekwencji pozwala na podniesienie społecznej i politycznej świadomości widza, co brzmi szalenie poważnie, ale w utworze jest przekazane w sposób lekki i pełen artystycznego wyrafinowania.

— Chciałby pan kręcić kolejne teatry telewizyjne czy ten pierwszy raczej przystopował pański zapał do pracy w TV?

— O ile odważyłbym się na zrobienie czegoś następnego, a w moich zapasach jest kilka scenariuszy, to musiałby to być utwór prostszy, bardziej kameralny, ponieważ robienie takich teatrów jak „Kontekst" jest ze względów technicznych bardzo wyczerpujące. Spektakl teatru kameralnego można bardziej wyszlifować i wypieścić od strony formalnej, a doskonałość formalna była zawsze ideałem prawdziwego artysty.

— Zgromadził pan na planie świetnych aktorów łódzkich, warszawskich, odkrycie filmowego sezonu z Gdyni, rektora, dziekana z PWSFTviT oraz samego Jana Himilsbacha. Jak to się panu udało i jak zaprocentowało?

— Obsadzając postacie „Kontekstu" kierowałem się niemalże prywatnym emploi aktora, stąd też moje propozycje były na tyle celne, że w 70 procentach aktorzy od razu przyjęli role. Rektor Henryk Kluba gra w filmie postać prezesa Sądu Najwyższego. Wyrafinowany intelektualnie język postaci prezesa stwarzał duże i interesujące możliwości interpretacyjne; jest to właśnie jedyny powód czysto z dziedziny sztuki, że jego magnificencja rektor przyjął tę rolę. Podobnie rzecz się miała z dziekanem, Janem Machulskim, który zrozumiał, że rola sekretarza Międzynarodowej Partii Rewolucyjnej stwarza dla niego świetne pole do popisu.

Marka Walczewskiego do zagrania głównej roli inspektora Rogasa zachęciła głównie możliwość zastosowania szerokich środków wyrazowych w grze aktorskiej. Kiedy zakończył pracę, podzielił się ze mną uwagą, że rola ta miała na niego tak duży wpływ, iż w spektaklach teatralnych, w których grał równocześnie, zaczął stosować nowe środki aktorskie, co ze zdziwieniem, a także pozytywnym zainteresowaniem odczuli jego współpartnerzy z Teatru „Studio" w Warszawie. W roli młodego Hrabiego obsadziłem młodego, świetnie zapowiadającego się aktora z Gdyni Janusza Borkowskiego, który ma bardzo wyraziste emploi, co pozwoliło scenie w salonie pałacu Narco przydać dodatkowych walorów atrakcyjności. Natomiast występ Jana Himilsbacha w roli właściciela warsztatu samochodowego to swoisty eksperyment zderzenia najpopularniejszego bodaj, że aktora naturszczyka z super profesjonalnym aktorem Markiem Walczewskim. Obaj artyści przyjęli tę propozycję z ogromnym zainteresowaniem, ponieważ było to dla nich coś zupełnie nowego. Ten sposób obsadzania zaprocentował mi nowymi wartościami emocjonalnymi, które pojawią się w poszczególnych scenach.

— Z kim pracowało się najlepiej?

— Z Markiem Walczewskim umówiłem się w następujący sposób, że jego rolę przedrążymy jak najwnikliwiej przed momentem uruchomienia kamery, natomiast w trakcie realizacji zdaję się na jego doświadczenie i rutynę, a zajęty będę głównie widzeniem fikcyjnego świata przez kamerę.

Początkowo Marek Walczewski był bardzo zaskoczony tą metodą, niemniej jednak potem poczuł się niesłychanie zdopingowany, że daję mu tak szerokie pole do popisu. Powiedział mi potem, że w podobny sposób pracował z nim Borowczyk w „Dziejach grzechu" i Schlöndorf w „Blaszanym bębenku".

— A najtrudniej?

— Najtrudniej z parą tancerek-kankanistek, które odkryłem przebierając się za swojego asystenta w nocnym lokalu, a potem ujawniwszy swą prawdziwą funkcję musiałem wyreżyserować ich numer od strony choreograficznej.

— Lubi pan takie plany zapełnione ludźmi czy raczej kameralne obrazy we dwoje?

— Nie lubię dużych planów, dlatego, że są trudne technicznie i trzeba je reżyserować długo i mozolnie. Bardzo lubię kameralne sceny o wyraźnej dramaturgii. Aktorzy po kilku uwagach grają wtedy najlepiej pierwsze ujęcie.

— Co teraz pan przygotowuje?

— Z moich osobistych planów myślę równolegle nad scenariuszem o śmierci Bruno Schulza, o postaci Niewiadomskiego, który dokonał zamachu na prezydenta Narutowicza, o polskim wygnańcu emigrancie politycznym w początkach wieku na podstawie powieści Perzyńskiego, o polskiej prostytutce. Z tematów, których nie przeznaczam dla siebie jestem pochłonięty „Panem Tadeuszem" Adama Mickiewicza, o którym rozmawiam z Januszem Majewskim, zainteresowanym tym dziełem.

— Obecny czas ponoć sprzyja młodym, nieznanym dyplomowanym reżyserom filmowym. Jak pan sądzi dlaczego właśnie teraz mogą coś robić i pokazać swoje pomysły i filmy?

— Polskie władze kinematografii dokonały posunięć organizacyjnych, na które obraziła się dość znaczna grupa reżyserów. Taka sytuacja automtycznie stwarza szanse młodym, gdyż trudno, aby na sytuację emigracji twórczej uznanych twórców taką samą emigracją reagowali reżyserzy którzy dotychczas nie mieli możliwości. I to jest z punktu widzenia moralnego sytuacja trudna, ale życie jest bezwzględne. Kompletnie zdezaktualizował się nurt kina moralnego niepokoju, twórcy tego prądu albo wyjechali za granicę szukać pracy, albo nie mogą przystosować się do nowych warunków myślenia. Uważam, że stwarza to szansę dla nowego nurtu kina intelektualnego i problemowego.

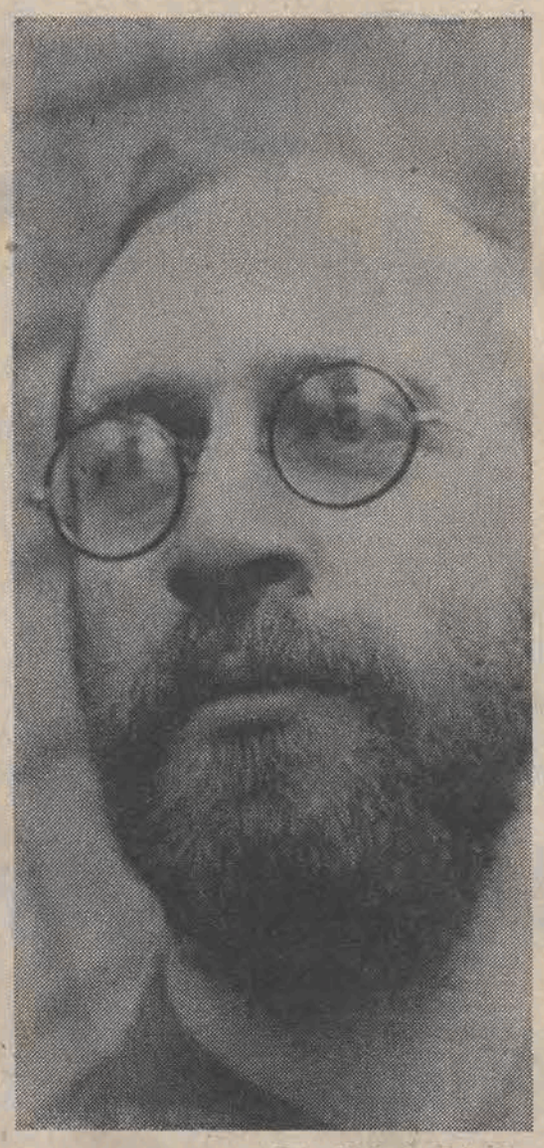

Foto: Tadeusz Kośmider

— Nie uważa pan, że sytuacja jest nietypowa, bo Wam artystom-twórcom kina zaczyna się lepiej powodzić, a kraj wciąż boryka się z trudnościami gospodarczymi?

— Optymizm młodych twórców dopuszczonych do kinematografii nie idzie w parze z ogólnym duchem czasu w naszym kraju, niemniej jednak procesy asymilacyjne trwają zawsze co najmniej kilka lat. Jestem przekonany, że właśnie po kilku latach dokona się dopasowanie ducha czasu i ducha młodych twórców, którzy rozpoczynają w sytuacji nietypowej.

— Jak więc zamierza pan korzystać z tego luksusu bycia twórcą filmowym?

— Uważam, że trzeba pracować jak najwięcej, gdyż kalkulacje z perspektywy czasu mogą okazać się wątpliwe, natomiast powstrzymywanie się od tworzenia jest podstawowym grzechem artysty.

— Kto panu pomaga, opiekuje się artystycznie?

— Mam kontakty koleżeńsko-przyjacielskie z takimi reżyserami jak: Jerzy Kawalerowicz, Grzegorz Królikiewicz, Ryszard Czekała, Henryk Dederko. Są to ludzie intelektualnie żywi i kontakt z każdym z nich daje mi odrębne korzyści — wszystkie bardzo wartościowe.

— Będąc blisko filmu poznał pan zapewne wszystkich wielkich twórców polskiego kina?

— W okresie pełnienia funkcji kierownika literackiego Zespołu Filmowego „Anex" spotykałem się przy jednym stole ze wszystkimi kierownikami artystycznymi zespołów. Są to osobowości bardzo różne. Podstawą rozmów była głównie — o zgrozo — walka o pieniądze, które rozdziela minister, a na których oparte jest funkcjonowanie jednostki programowej, tj. Zespołu Filmowego. W sytuacji nieuregulowania spraw organizacyjnych zawsze braknie czasu na podstawowe rozmowy o sztuce kina.

— A jaki pan jest w pracy?

— Jeżeli mam się o coś kłócić, to o dobre warunki pracy dla aktorów, scenografa, stolarzy, dekoratorów wnętrz itd. Co w sumie jest też przecież kłótnią o pieniądze. O ile kinematografia zaczęła rozwiązywać zasadniczy problem finansowy, o tyle w TV sprawy te są nieuregulowane i należałoby się domagać i spodziewać reformy. W przeciwnym razie nietypowe sfery działalności telewizyjnej jak Teatr TV czy film TV będą upośledzone.

— Urodził się pan i spędził dzieciństwo w miasteczku Kowal na Kujawach, skąd wyrosło kilku znanych ludzi. Są oni słynniejsi od pana, bo w swoim czasie było im łatwiej się przebić. Pan teraz będzie się starał im dorównać?

— Jeżeli chodzi o Kazimierza Wielkiego stoję z góry na pozycji straconej. Jan Nowicki jest uznanym aktorem w czołówce krajowej i nie mamy wobec siebie zazdrości prestiżowych. Chciałbym, aby kiedyś zagrał u mnie i wyraził na to ochotę. A nawiązując do ambicji uważam, że najpierw trzeba dużo pracować, a potem przyjdzie to, co się należy. Natomiast zajmowanie się ambicjami przed tworzeniem powoduje rozgorączkowanie umysłu nie na temat, co dla artysty jest wprost fatalne.

Leon Niemczyk, Janusz Borkowski i Mirosław Szonert w „Kontekście" — spektaklu TVP w reż. Krzysztofa Skudzińskiego
Foto: Tadeusz Kośmider

Polemiki • Listy • Opinie

SKANDAL W LEŚMIERZU

Z Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy prezydencie m. Łodzi otrzymaliśmy pismo następującej treści:

„Zgodnie z art. 26 ustawy z dnia 18 lipca 1950 r. o odpowiedzialności zawodowej fachowych pracowników służby zdrowia (Dz. U. Nr 36, poz. 332) oraz § 45 rozporządzenia ministra zdrowia z dnia 22 września 1950 r. w sprawie organów kontroli zawodowej oraz postępowania w zakresie odpowiedzialności zawodowej fachowych pracowników służby zdrowia (Dz. U. Nr 7, poz. 431) przesyłam w załączeniu prawomocne orzeczenie z dnia 12 marca 1984 roku Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy prezydencie m. Łodzi skazujące lek. Jerzego Krawczyka, zam. w Leśmierzu, zatrudnionego w Wiejskim Ośrodku Zdrowia w Leśmierzu — ZOZ w Zgierzu na karę nagany.

Kosztami postępowania w kwocie 2.527,80 zł należy obciążyć skazanego zgodnie z załączonym rachunkiem.

Zgodnie z art. 5 ust. 1 ustawy z dnia 18 lipca 1950 r. wymieniony:

1. powinien być odwołany ze stanowiska kierownika WOZ,
2. nie może zajmować samodzielnych stanowisk w społecznych zakładach służby zdrowia przez okres 3 lat.

prof. dr hab. med. ZOFIA OLSZEWSKA
Prezes OKKZ

ORZECZENIE

z dnia 12 marca 1984 r
Okręgowej Komisji Kontroli Zawodowej przy prezydencie m. Łodzi

Przewodniczący: dr n. med. Aleksander Lao.
Członkowie: dr n. med. Władysław Gos, lek. Romuald Kazimierski.

W obecności zastępcy Okręgowego Rzecznika Dobra Służby Zdrowia dr hab. n. med Tadeusza Górskiego, po rozpoznaniu dnia 12 marca 1984 r sprawy p-ko lek. Jerzemu Krawczykowi ur. 5 grudnia 1931 r., obwinionemu o nieprzestrzeganie przepisów orzeczniczych, niesumienne prowadzenie dokumentacji lekarskiej, wydawanie kart zgonu bez oględzin zwłok i złe kształtowanie stosunków międzypracowniczych w kierowanej przez niego placówce.

Na mocy art. 4 ustawy z dnia 18 lipca 1950 r. o odpowiedzialności zawodowej fachowych pracowników służby zdrowia (Dz. U. Nr 36, poz. 332), skazuje lek. Jerzego Krawczyka na karę nagany z równoczesnym zakazem zajmowania kierowniczych stanowisk na okres 3 lat.

Kosztami postępowania obciąża obwinionego.

UZASADNIENIE

Zespół Orzekający po wnikliwym zapoznaniu się z całością zebranego materiału dowodowego, po wysłuchaniu obwinionego, Rzecznika Dobra Służby Zdrowia i Wojewódzkiego Inspektora ds. Orzecznictwa o czasowej niezdolności do pracy uznał lekarza J. Krawczyka winnym wykroczeń zawodowych polegających na nieprzestrzeganiu przepisów orzeczniczych o czasowej niezdolności do pracy, niesumienności w prowadzeniu dokumentacji lekarskiej, wydawaniu kart zgonu bez oględzin zwłok oraz nieudzieleniu pomocy w nagłym zachorowaniu pracownicy cukrowni „Leśmierz" i postanowił ukarać naganą i zakazem zajmowania stanowisk kierowniczych na okres 3 lat.

W orzeczeniu wzięto pod uwagę że w/w zaniedbania niekorzystnie wpływały na kształtowanie stosunków pracowniczych w kierowanej przez lek. J. Krawczyka placówce.

Zespół Orzekający nie ustosunkował się do zarzutu pobierania wysokich opłat za udzielanie porad w godzinach etatowego zatrudnienia pozostawiając sprawę do rozstrzygnięcia przez Organa Wymiaru Sprawiedliwości.

Przewodniczący:
ALEKSANDER LAO
Członkowie:
WŁADYSŁAW GOS
ROMUALD KAZIMIERSKI

JEŚLI CHCESZ ZOSTAĆ SCENARZYSTĄ

Celem Zaocznego Studium Scenariuszowego jest zapoznanie młodych pisarzy, dramaturgów, reportażystów z problemami warsztatu filmowego oraz scenariopisarstwa. Studium działa jako wspólne przedsięwzięcie Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej i PRF „Zespoły Filmowe".

W czasie 4 semestrów studenci opracowują pod kierownictwem pedagogów adaptację opowiadania utworu powieściowego, scenariusz filmu nowelowego, scenariusz filmu fabularnego.

Część teoretyczna studiów obejmuje:

— podstawowe problemy teorii historii filmu, problematykę telewizji,

— projekcje filmów i przeglądy widowisk telewizyjnych.

Zajęcia odbywają się metodą miesięcznych zgrupowań (4 dni w miesiącu). W program studiów włączone są 2—3-tygodniowe praktyki na planie. Studentom umożliwione zostaną bezpośrednie kontakty z twórcami filmowymi i telewizyjnymi.

Kandydaci powinni posiadać wykształcenie co najmniej średnie oraz nie przekroczony 35 rok życia.

Osoby mające zamiar ubiegać się o przyjęcie na studium powinny złożyć:

a) oryginalne prace literackie w trzech egzemplarzach maszynopisu (powieść, nowela, opowiadanie, reportaż, scenariusz, utwór dramatyczny), publikowane lub nie publikowane. W wypadku form większych — 1 tekst, w formach mniejszych 2—3 teksty;

b) życiorys wraz z informacją o dotychczasowym dorobku twórczym:

c) podanie o przyjęcie na studium wraz z dokumentami wymaganymi od ubiegających się o przyjęcie na studia wyższe (kwestionariusz osobowy, świadectwo wykształcenia, trzy fotografie);

d) jeśli posiadają stałe miejsce pracy — zgodę zakładu pracy na podjęcie studiów zaocznych.

Dokumenty oraz prace należy nadsyłać pod adresem: Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna — Studia Zaoczne — ul Targowa 61/63 90-323 ŁÓDŹ — w terminie do dnia 15 lipca 1984 r.

Egzamin na studium składa się z dwóch eliminacji:

I. obejmuje ocenę prac twórczych złożonych przez kandydata (bez udziału kandydata),

II. obejmuje:

1. pisemne zadanie scenariuszowe sprawdzające m. in. umiejętność filmowego widzenia i konstruowania dialogu;

2. Egzamin ustny — sprawdzający ogólną orientację kandydata w problematyce filmowej.

Zajęcia dydaktyczne studium prowadzone będą w Warszawie i rozpoczną się w październiku 1984 r.

Szczegółowych informacji udziela sekretariat Studiów Zaocznych PWSFTviT w Łodzi, ul. Targowa 61/63, tel 36-39-44 wew 16 oraz sekretariat Studium Scenariuszowego PRF „Zespoły Filmowe" w Warszawie, ul. Puławska 61, tel. 45-53-24 lub 45-40-41 wew. 291.

WCZASOWICZE CHCĄ CZYTAĆ PRASĘ

Spała jest dużym ośrodkiem wczasowym. Posiada przeszło 600 miejsc stałych (w ciągu całego roku), zaś w okresie letnim co najmniej dwukrotnie więcej urlopowiczów zaludnia domki letniskowe. Tę pokaźną grupę (doliczyć trzeba pracowników FWP — przeszło 250 osób), obsługuje jeden kiosk „Ruchu".

Trzeba dodać, że jest on wcale dobrze zaopatrzony w papierosy, artykuły pamiątkarskie, podstawowe wyroby kosmetyczne, natomiast skandaliczne jest zaopatrzenie w prasę i czasopisma, które są dostarczane z Opoczna.

Kto chce nabyć gazetę i mieć przez 2 godziny nadzieję na zdobycie ulubionego tygodnika musi zająć miejsce przed kioskiem około godziny 9. Prasa jest dostarczana między 9 a 11, ale często gęsto dopiero o 12.

Skoro już „transport" przyszedł, okazuje się, że szczęśliwcami jest tylko część kolejkowiczów, gdyż przywiezionych egzemplarzy nie wystarcza dla cierpliwych.

W kiosku stali mieszkańcy Spały mają założone teczki. Nie dziwię się temu, gdyż w przeciwnym razie byliby w ogóle odcięci od prasy i czasopism.

W okresie turnusu świątecznego jako „kolejkowicz" zauważyłem dwukrotnie, ze na ladę trafiły dla przykładu 3 egz. „Odgłosów", 3 egz. „Szpilek", 5 „Przekrojów". Prasę codzienną otrzymywała tylko połowa kolejki.

Sprzedawczyni poinformowała mnie, jakoby w całym rejonie opoczyńskim brakowało prasy. Tymczasem w pobliżu Spały, w Konewce i Inowłodzu w godzinach popołudniowych widziałem w kioskach zarówno gazety, jak i poszukiwane tygodniki (właśnie „Odgłosy" i „Szpilki"). Dlatego ośmielam się twierdzić że opoczyński „Ruch" nie liczy się z faktycznym zapotrzebowaniem na prasę i czasopisma i świadomie czy nieświadomie dyskryminuje wczasowiczów w Spale.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI
Łódź

WALKA Z WIATRAKAMI

Mały sklepik z szyldem „Ponal". O dziesięć minut pieszo od umownego centrum miasta. Godzina 13'05. Z oddali widzę kilkanaście osób w kolejce, lecz wnętrze sklepu niewielkie, maksimum dziesięć osób. Decyduję się więc poczekać.

Nie bądźmy pruderyjni; na dwa dni przed kompleksem świąt jest to zapotrzebowanie. Nie każdy jest zaprzysięgłym abstynentem, a i co do nich, rozmaitych komitetów i stowarzyszeń nieodparcie nasuwają mi się znakomite spostrzeżenia złośliwego Haska, który ostatnie lata życia — pisząc — spędził w knajpie, a zatem coś niecoś zaobserwował. Nie jest jednak moją sprawą dzisiaj cytować i zajmować się postacią tego mistrza satyry...

Po dziesięciu minutach dostaję się do środka sklepu. Niewielkie półki, na których kilka tylko rodzajów wódek gatunkowych. Reszta sklepu oraz połowa miejsca za kontuarem — zastawiona pojemnikami z „Bałtycką".

Poprzedzająca mnie w kolejce Pani zaczyna sarkać, że coraz to do sklepu wchodzą różni osobnicy, jakoby chcąc zasięgnąć informacji. O czym? Czyżby interesował ich koniak i droższe wina?

Obserwuję procedurę zakupów.

Starszy Pan, który prosił kogoś przed sklepem, aby pomógł mu wejść na stopień schodów — wyjmuje obszerną torbę i kupuje 13 połówek „Bałtyckiej".

Babunia, około 80-tki, też nie jest zainteresowana detalem Dwóch Panów, koło 30-tki, zarośniętych, pryszczatych, a na pewno nie domytych — bierze 50 butelek wina marki „Białe Słodkie". Jeden z nich, wręczając ekspedientce plik banknotów mówi: „Pani... (tu imię) — niech Pani nie liczy! U mnie jak w banku!". A potem do kolegi: „...co mi tam stówka! Tu musi być w porządku...".

Inne zakupy: 11 butelek wina (równy rachunek?), 13 butelek plus jedna „Bałtycka" (na własny użytek?). Całe pojemniki. Wszyscy się znają. „Patrz Pan — kilka dni temu ich wybebeszyli, zabrali sporo butelek... i znów stoją, pewno muszą pokryć straty... A kto ich wsadzi, jak mają po 70 lat?"

Przed sklepem ktoś wykłada puszkę konserwowej szynki, z niemieckimi napisami. Poruszenie, ale po uzyskaniu informacji o cenie — śmiechy. Któryś z lepiej poinformowanych mówi: „w Peweksie po cztery dolce, przecież musi sobie zarobić...".

Dwóch Panów w zabrudzonych kombinezonach odlicza dwustuzłotówki i prosi kogoś z kolejki o kupienie dwóch połówek. To na pewno nie są hurtownicy! Ale im się spieszy! Jeden z czekających lituje się i bierze ponad swoje 13 połówek jeszcze te dwie. Serdeczne podziękowania.

Do Pani Ekspedientki podchodzi poza kolejką jakiś Pan w średnim wieku i ponad głowami innych podaje torbę załadowaną pustymi butelkami. Słyszę: „schowaj to — niedługo przyjdzie (tu: imię)...".

„Pan płaci siedem czterysta... pięć trzysta z groszami...".

Kolejka na ulicy wydłuża się.

Sześć win. Trzynaście win, pięćdziesiąt win...

Dziesięć „bałtyków", piętnaście „bałtyków"...

Pani przede mną bierze (fakt!) połówkę bałtyckiej. Ja proszę o małe „Starowiny" i o „Verę". Patrzą na mnie jak na głupka...

Od tyłu popycha mnie następny chromy i słaby — „posuń się Pan..." — słyszę zachrypnięty głos...

Wysłuchałem kiedyś wywiadu z kierownictwem „Ponalu". Niby dużo racji, lecz rozśmieszył mnie passus, że przedsiębiorstwo będzie uprawiało „pasywną sprzedaż alkoholu". To niby jak? Że ekspedientka będzie brała pieniądze z odrazą, wskazując przy tym na ściany, obwieszone ulotkami i afiszami typu „Alkohol szkodzi"?

„Pasywna sprzedaż" przy dzisiejszym braku zaopatrzenia w wiele towarów — to nic trudnego. Lecz t e g o towaru nie brakuje. A może te pseudoograniczenia — to kolejna okazja do wyróżnienia równych i „równiejszych", przed 13, po 800 zł za połówkę?

Tak więc, a nie jestem tu odkrywczy, kłębi się przed sklepami szczególnie w piątki — tłum oczekujący na godzinę „0" i dostawę „czystej". Potwierdzają się prześmiewki I. Rotacyjnego „kiedy ranne wstają zorze — razem z nimi meliniorze!", informacje o tym, że na targowiskach sprzedaje się piwko od samego rana, a wyszynk prowadzi się z teczek. Że MO na Śląsku nie jest w stanie w godzinach rannych (po szychcie) opanować sytuacji przed kopalniami (sprzedaż z toreb i koszyków).

Te wszystkie babunie, panie w sile wieku, okryte nieco zleżałymi futerkami, mające na głowach zawoje i turbany rodem z mody okresu II wojny, panowie, którym się spieszy, także — sądząc z rozmów — zasłużeni, a zapoznani, mający pretensje do wszystkiego i wszystkich — nie omijają okazji, stworzonej przez zakaz. I zarabiają. Nawet niewidomi (tak!), którzy miast zrozumiałego „pół litra" biorą „sześć połówek i jeden spirytus". **N i e k ł a m i ę, byłem świadkiem!**

Mam powody, no i głębokie przekonanie, by twierdzić, że z zupełnie nieracjonalnych przesłanek fetyszyzujemy przepisy prawne. Jak już będzie ustawa — to na pewno będzie dobrze. Tymczasem — jak świat światem istnieje naturalna tendencja do omijania zakazów i nakazów. Tego momentu nie chcieli przyjąć do wiadomości twórcy nowej ustawy „o trzeźwości". Jest bowiem alternatywa: albo określony sposób zachowania społeczeństwo przyjmuje i stosuje świadomie, albo należy go wymusić. W pierwszym przypadku przepis nie jest potrzebny. W drugim — potrzebna jest egzekucja, na którą nie możemy się zdecydować i której parktycznie nie ma. Jesteśmy bowiem humanitarni, a tym samym — bezsilni.

Tak więc zaliczenie piwka do napojów alkoholowych, stwarzanie barier godzinowych i innych — służy na razie kabzom cwaniaków. Co najwyżej także — poprawia samopoczucie różnych działaczy. Lecz nie zmienia realiów życia.

Poprawa samopoczucia to jednak słaba pociecha. Nie czuję się więc usatysfakcjonowany jako Obywatel Państwa, które miało i ma te problemy wzorowo rozwiązane. Na papierze.

WITOLD AFELT

II TYDZIEŃ GÓR W ŁODZI

W dniach 9—16 kwietnia 1984 roku po raz drugi odbył się w Łodzi TYDZIEŃ GÓR zorganizowany przez: Zakład Geografii Miast i Turyzmu Uniwersytetu Łódzkiego, Studenckie Koło Naukowe Geografów oraz Studenckie Koło Przewodników Beskidzkich, działające przy Oddziale Akademickim PTTK w Łodzi.

Tematem spotkania były problemy związane z powstaniem i funkcjonowaniem górskich Parków Narodowych w Polsce. Organizatorzy II TYGODNIA GÓR podejmując tę problematykę pragnęli zwrócić uwagę na coraz większą dewastację środowiska przyrodniczego, nawet w obszarach objętych prawną ochroną. Dążąc do ocalenia gór przed zbytnim „ucywilizowaniem" i zagospodarowaniem, chcąc pozostawić je jako oazę dziewiczej przyrody i ciszy starano się uwypuklić zagrożenia na jakie narażone są poszczególne górskie Parki Narodowe.

W TYGODNIU GÓR uczestniczyli pracownicy Parków Narodowych, którzy prezentowali piękno danego obszaru, podkreślając konieczność kontynuowania i podejmowania prac związanych z ochroną tych terenów.

Duże zainteresowanie uczestników II TYGODNIA GÓR wzbudziły plany działania Towarzystwa Ochrony Tatr Wiele osób zgłosiło swój akces do Towarzystwa, zebrano także ponad 1000 zł, które przekazano na cele dalszej działalności Towarzystwa Ochrony Tatr.

Wzorem roku ubiegłego, jeden z wieczorów przeznaczono na prezentację gór wysokich. Tym razem swoimi spostrzeżeniami z obozu wysokogórskiego w radzieckim Pamirze podzielił się członek Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego — Krzysztof Pankiewicz.

W czasie trwania II TYGODNIA GÓR zorganizowane były dwie wystawy prezentujące mapy, książki, publikacje, albumy, fotogramy oraz rysunki o tematyce górskiej. Zlokalizowano je w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. L. Waryńskiego, gdzie odbywała się sesja popularno-naukowa TYGODNIA GÓR oraz w Instytucie Geografii Ekonomicznej i Organizacji Przestrzeni Uniwersytetu Łódzkiego.

Dużym powodzeniem cieszył się też kiermasz sprzętu turystyczno-sportowego oraz wydawnictw górskich, na którym zgromadzono łącznie 46 różnych tytułów.

Po zakończeniu sesji popularno-naukowej, która miała na celu teoretyczne zapoznanie z różnorodnymi problemami ziem górskich, nastąpił wyjazd na rajd TYGODNIA GÓR. Tym razem 6 zróżnicowanych pod względem problematyki i skali trudności tras wiodło przez Beskid Wyspowy i Gorce. Podczas wędrówek członkowie Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich oraz pracownicy naukowi Uniwersytetu Łódzkiego udzielali licznych informacji z zakresu krajoznawstwa, terenoznawstwa oraz problemów przyrodniczych. Uroczyste zakończenie rajdu nastąpiło wieczorem 15 kwietnia w schronisku na Śnieżnicy.

W II TYGODNIU GÓR uczestniczyło ogółem ponad 400 osób, w tym wiele spoza Łodzi. Miło nam było gościć m.in. geografów z Krakowa, Lublina, Sosnowca, Gdańska, Torunia, Słupska, Wrocławia i Warszawy.

Podczas minionego spotkania podjęto wstępną decyzję co do przyszłorocznego TYGODNIA GÓR, który organizatorzy pragną w całości poświęcić problematyce tatrzańskiej.

JAROSŁAW FISCHBACH

„NADZMYSŁOWA FIZKULTURA"

Czytając tygodnik „Odgłosy" przeczytałem między innymi artykuł pani redaktor Jolanty Wrońskiej pt. „Nadzmysłowa fizkultura" z dnia 10.III.84 r. nr 10 i z dnia 7.IV.84 r. nr 14. Po przeczytaniu artykułu pierwszego i to dwukrotnie, ogarnęły mnie uczucia mieszane, bo i ja uczestniczyłem w tym seansie i w związku z tymi artykułami chciałem napisać o swojej chorobie, chociaż pani redaktor i tak nie uwierzy zabiegom bioterapii, bo nie będzie to poparte żadnymi dowodami, że choroba minęła. Moja choroba (...) zaczęła się od roku 1975. Przez te wszystkie lata choroby, leczenia w sanatorium oraz wszelkie lekarstwa przepisywane przez doktorów i profesorów miały to do siebie, że działały ubocznie na inne organy jak wątroba i nerki. W tym czasie radzono mi, abym zgłosił się do pana Clive Harrisa i innych bioenergoterapeutów. Nie bardzo wierzyłem tym uzdrowicielom, ale gdy profesor Gołąb powiedział, że ja z tej choroby się nie wyleczę, bo jest nieuleczalna, po drugie, że moja wątroba i nerki dokuczały bardzo mocno, a moja figura zbliżała się coraz bardziej ku ziemi a chód był podobny do chodu kaczuszki, podjąłem decyzję o biozabiegu u pana Clive Harrisa w dniu 28.XI.83 r. i u pana Fellmanna w dniu 18.II.84 r. Po tych zabiegach, po pewnym okresie czasu zauważyłem pewną poprawę na zdrowiu, kręgosłup się wyprostował, zmienił się chód kaczuszki w normalne zwykłe stąpanie. Chociaż profesor potwierdził mój wygląd, to jednak wzruszył ramionami i nie może mi uwierzyć, a ja nie mam na to żadnych dowodów na zmianę mojej choroby, prócz słowa przeciwko słowu, prócz tego, że odmieniłem recepty bo biorę zioła przeciwko bólom nerek i wątroby.

Wiadomo jest, że każdy nowy lek jest najpierw wypróbowany na zwierzętach, trzeba robić doświadczenia, ażeby można go było wcielić w praktykę, a to, że bioenergoterapia nie została udowodniona naukowo, nie dowodzi, że można krytykować i tych, co poddają się tym zabiegom. Akupunktura też przebijała się z wielkim trudem, aż weszła do lecznictwa z wielkim powodzeniem. A co może p. redaktor powiedzieć na artykuł, który ukazał się w „Expressie Ilustrowanym" (nie mogę podać numeru, bo zaginął mi egzemplarz) pt. „Po raz pierwszy w Łodzi telepatyczny seans bioterapii" podpisany przez red. W.H. Gdy już zawodzą wszelkie środki farmaceutyczne, to szuka się innych możliwych dróg leczenia, a za to, że ktoś sobie wybrał ten czy inny sposób leczenia, nie można go krytykować. Na koniec mego wywodu chciałbym przytoczyć przysłowie, że nigdy nie uwierzy syty głodnemu.

Pozostaję z poważaniem,
J.S. (Nazwisko i adres znane redakcji)

Korozja

Foto: Grzegorz Galasiński

Na początku było słowo...

ANNA KIESEWETTER

„Na początku było słowo" stanowi określenie może niezbyt ścisłe. Formy porozumiewania dźwiękowego istnieją również w świecie zwierzęcym, gdzie poszczególne sygnały odpowiadają konkretnym symbolom. Płynna różnica, jaka przebiega pomiędzy człowiekiem a innymi rozwiniętymi formami życia na ziemi, zawsze wywoływała najróżniejsze kontrowersje.

Niemniej dźwięki wydawane przez zwierzęta dotyczą jedynie przekazów o charakterze informacyjnym. Oznacza to, że „język" ten w swej prostocie przypomina nieco współczesne przepisy drogowe, określające co wolno, czego nie wolno i dlaczego nie wolno, przy czym sygnał „dlaczego nie wolno" równoznaczny jest z ostrzeżeniem „uwaga, niebezpieczeństwo", a nie wyjaśnieniem drobiazgowym skutków niedostosowania się do przepisów. Zbliża to bardzo system znaków drogowych do sygnalizacji świata zwierzęcego tak dalece, iż istnieje możliwość nauczenia np. psa dla niewidomych przestrzegania praw poruszania się na jezdni. Zwierzęta, dla których sygnalizacja ta nie oznacza zmiany struktur myślenia, uczą się szybko przepisów drogowych i stają się niezawodnym przewodnikiem dla człowieka pozbawionego jednego ze swych podstawowych zmysłów.

A jednak „na początku było słowo", choć może nie w takiej formie, z jaką spotykamy się dzisiaj, obarczeni wielowiekową tradycją językową, z jej wszystkimi normami gramatyki i stylistyki porozumienia.

Przypuszczać możemy, że człowiek, w początkach swej drogi do cywilizacji, zaczął od pułapu systemu dźwiękowego znanego w świecie zwierzęcym. A zatem od trzech podstawowych praw rządzących systemem prajęzyka: „jest", „nie ma", „uwaga, niebezpieczeństwo".

Szybko rozwijająca się kultura dodała do prymitywnego zakresu świadomości ludzkiej dwa następne określenia: „wolno", „nie wolno", niezbędne przy coraz bardziej skomplikowanych układach plemiennych.

Skąd tak dokładnie możemy prześledzić to stadium ewolucji. Otóż etnografia badająca kultury prymitywne we współczesnym świecie zanotowała występowanie takich właśnie form szczególnie tam, gdzie z powodu przyczyn obiektywnych (jak np. trudne warunki egzystencji, brak komunikowania się ze światem zewnętrznym, idealna zgodność życia człowieka z naturą itp.) zahamowane zostały procesy cywilizacyjne. Skoro znamy system porozumiewania się wśród zwierząt, znamy również jakby skamieniałe w swej prostocie formy życia ludów prymitywnych, wnioskować można, jak wyglądało przejście człowieka od jednych do drugich. I posiadając wiele danych wynikających z badań empirycznych, uważać możemy, że nie został tu popełniony jakiś poważny i podstawowy błąd.

Co wyniknęło z dodania do systemu porozumiewania się zwierzęcego określeń „wolno" i „nie wolno". Wszyscy znamy słowo „tabu" na oznaczenie jakiejś dziedziny egzystencji ludzkiej, gdzie pewne jej przejawy podlegają kontroli społecznej. „Wolno" to działanie korzystne dla zbiorowości, „nie wolno" (tabu) to zakaz pierwotnie mający na celu uregulowanie życia w społeczeństwie, które już zaczynało rządzić się własnymi, odrębnymi prawami.

I w tym momencie w rozwój człowieka wkraczają dwie doniosłe dziedziny: słowo i religia. Powstały równocześnie. Nikt nie jest w stanie określić, która z nich poprzedziła którą. Dźwięk sygnalizacyjny zmienił się w cząstkę ludzkiego języka z wszystkimi prawami, jakie do dziś w nim występują. Religia określiła życie w społeczności rządzącej się teraz odrębnymi regułami: nie ślepo zależnej od przyrody, ale już potrafiącej wyrazić swój lęk, przyczyny i skutki działania. Religia bowiem nauczyła człowieka myślenia abstrakcyjnego, które znalazło swój wyraz w tworzącym się, w nowoczesnym tego słowa znaczeniu, systemie językowym.

Oczywiście prymitywnej religii daleko było do dzisiejszych mistycznych form tego zjawiska. Była równie prosta i równie zgodna z otaczającą przyrodą, jak sam człowiek tego okresu. Na tym etapie rozwoju religia miała działania kulturotwórcze i pozytywne w stosunku do rozwoju cywilizacyjnego. Ale też i religia przez wieki ulegała ciągłej ewolucji, dostosowując swe prawa i symbole do poziomu intelektualnego człowieka. W pewnych momentach anachroniczne już formy religii w stosunku do rozwoju cywilizacji zastępowane były przez następne, odpowiadające otaczającej rzeczywistości. Aż po współczesność.

Wróćmy jednak do czasów, gdy człowiek, zamieszkujący jaskinie, kreślił na ich ścianach pierwsze świadectwa swego istnienia.

Otoczony był wrogą mu, ciągle atakującą go przyrodą; zdany na jej łaskę i niełaskę, musiał staczać codzienną walkę o najprymitywniejsze przetrwanie. Posiadał już jednak cechy homo sapiens — człowieka myślącego. Zakres jego wiadomości o otaczającym go świecie pochodził jedynie z własnych doznań zebranych w ciągu całego życia. Ale te nie wystarczały. Bowiem, gdy silny i młody mógł toczyć nierówną walkę o byt, z biegiem lat, posiadając już doświadczenie, tracił siły i możliwości adaptacji. Tak zrodziła się instytucja „świętych starców", tych, którzy osobiście nie mogli już brać udziału w codziennej pracy plemienia, ale którzy przekazywać mogli następnym pokoleniom umiejętności zdobyte w ciągu swego życia. Byli to pierwsi nauczyciele. Otaczano ich szacunkiem i opieką bynajmniej nie z powodów altruistycznych. Stanowili źródło wiedzy, tak potrzebnej młodym do coraz to lepszego korzystania z doświadczenia w walce z otaczającą przyrodą. Stali się pierwszymi kapłanami w ceremonii nadawania rangi symbolu zjawiskom korzystnym lub niekorzystnym dla przetrwania. Dlaczego?

I znów. Na początku było słowo. Doświadczenia swoje ludzie ci musieli jakoś przekazać. Nie wystarczały dźwięki i gesty. Nie wystarczało nazwanie otaczającej rzeczywistości. Potrzebny był symbol do uniwersalnego określenia zjawiska, które mogło stać się źródłem dobrobytu lub zagłady dla innych.

Czym dysponował prymitywny człowiek w swoim archaicznym języku. Niewielkim zasobem słów-dźwięków dotyczących aktualnego stanu, bycia, działania. Natomiast chcąc przekazać przeszłość, musiał zdobyć się na tworzenie symbolu. I tak powstała religia.

Jeśli prześledzimy teraz najprymitywniejsze formy wierzeń, dostrzegamy w nich określenia dla wszystkich zjawisk przyrody, jakie warunkowały byt człowieka: piorun, burza, deszcz, susza, ogień, słońce, dzień, noc — oto pierwsze bóstwa zamieszkujące panteon naszych przodków.

Patrząc z perspektywy współczesnego człowieka, zbyt często zapominamy, jak daleko odeszliśmy od plemion jaskiniowych. Od urodzenia przyzwyczajeni i zaadoptowani w zastanej już cywilizacji, nie zawsze jesteśmy w stanie uświadomić sobie, że przybywamy na świat w konkretnym momencie rozwoju kultury, która nie zawsze miała taką postać, jaką ma obecnie. I psychika człowieka uzależniona była od stadium, w jakim się znajdował, a nie od dzisiejszego poziomu życia.

Żeby cofnąć się wstecz i zrozumieć, trzeba najpierw odrzucić wszystko to, co zastaliśmy w momencie narodzin, nie dziwiąc się niczemu, na nic się nie oburzając, nie gardząc niczym. Bo wystarczyłoby, aby czas był dla nas mniej łaskawy i cofnął chwilę naszego poczęcia, abyśmy posiadali jedynie takie cechy, jakie dane by nam były w naszym stadium rozwoju.

I jeśli zgłębimy tajemnice symboli religii sprzed tysiącleci, odkrywając je w takim świecie, w jakim powstały, a nie w takim, jaki zastaliśmy przy naszym urodzeniu, wówczas nie czas i nie miejsce byłoby na wyrażanie swojej pogardy dla wierzeń, które dały podstawy naszego myślenia intelektualnego, rozpoczynającego swoją drogę od świętego drzewa, poprzez coraz to nowe formy abstrakcyjnego myślenia, aż po współczesne pojęcie filozofii, logiki i matematyki. Bez religii ich rozwój stałby się niemożliwy. Religie rozpoczęły je w swoim rozwoju.

Ale na początku było słowo.

Czy dzisiejsza młodzież jest pokoleniem rozczarowanych?

Wielu młodych Amerykanów jest przekonanych, że mimo stopniowego przezwyciężania recesji gospodarczej, uzyskają jedynie znikomy udział we wzrastającym dobrobycie, a może nawet nie będą w nim mieli żadnego udziału.

Jest to generacja rozczarowanych, generacja 20- i 30-latków, którzy zastanawiają się, gdzie przepadły sny o wspaniałej Ameryce. W przeszłości każdy obywatel miał niemal z tytułu urodzenia się w USA prawo do tego, aby móc się spodziewać lepszego życia — większego mieszkania, atrakcyjniejszego samochodu i większej ilości pieniędzy na przyjemności. Dzisiaj jednak dla wielu ludzi młodych marzenie to stało się po prostu złudnym mirażem.

Wielu spośród nich — nawet ci, którzy ukończyli wyższe studia — ma trudności ze znalezieniem jakiejkolwiek pracy, nie mówiąc już o pracy dobrej. Przeciętny dochód w tej grupie wieku znacznie spadł w porównaniu z poziomem sprzed 10 lat. Ceny mieszkań wydają się im astronomiczne, a nowe samochody dostępne tylko dla bogatych.

Ci poszkodowani, to wcale niemała część narodu. Wywodzą się z grupy, która reprezentuje niemal 1/4 całej ludności i ponad 40 proc. ludności w wieku produkcyjnym. Jest to grupa ludzi urodzonych w okresie wielkiego wyżu demograficznego po drugiej wojnie światowej. Oni to właśnie współzawodniczą obecnie o miejsce na zatłoczonym rynku pracy.

Chociaż niektórzy krytycy twierdzą, że niedostateczna liczba miejsc pracy wynika z samej istoty systemu prywatnej inicjatywy, los tych młodych ludzi niekoniecznie jest oskarżeniem ustroju amerykańskiego. Wielu młodych ludzi jakoś sobie radzi, a niektórzy radzą sobie nawet bardzo dobrze, zwłaszcza ci, którzy posiadają wysokie kwalifikacje techniczne.

Dla tych przedwcześnie zgorzkniałych młodych ludzi pewną pociechą mogłyby być prognozy ekspertów, którzy twierdzą, że najbliższa dekada nie będzie powtórzeniem dekady ostatniej, kiedy to nastąpiły trzy kolejne recesje. Oto co mówi Larry Kimbell, dyrektor Business Forecasting Project na uniwersytecie kalifornijskim w Los Angeles: „W ciągu tej dekady musieliśmy zapewnić pracę wchodzącemu do produkcji powojennemu wyżowi demograficznemu, a także coraz większej liczbie kobiet. Przeżyliśmy wstrząs po podwyżce cen ropy naftowej. Inflacja i stopa procentowa wzrosły ogromnie, a bezrobocie osiągnęło szczyt. Mogę powiedzieć, że przeżyliśmy bardzo złe dziesięciolecie, a obecnie dostrzegamy poprawę praktycznie na wszystkich frontach".

Na razie jednak uczucie rozczarowania dominuje wśród wielu młodych ludzi, którzy nadal odczuwają skutki tych niekorzystnych wydarzeń. Typowy pod tym względem jest przykład Davida Estesa z Louisville w stanie Kentucky, który w czerwcu ubiegłego roku skończył wydział rachunkowości na uniwersytecie w Tennessee. Dotychczas nie znalazł odpowiedniej pracy, pomimo, że obniżył wymagania. „Początkowo ubiegałem się o pracę w wielkich przedsiębiorstwach, ale teraz pragnąłbym pracować w małej firmie" — mówi David.

Estes jest kawalerem, mieszka z rodzicami w komfortowym domu o trzech sypialniach. Jego ojciec, inżynier z zawodu, opowiadał mu, że on też w młodości długo szukał pracy po ukończeniu studiów. „Ale teraz jest inna sytuacja — argumentuje 22-letni Estes. — Kiedy ojciec był w moim wieku, nie było tylu absolwentów wyższych uczelni".

Tego rodzaju uczucia są bardzo rozpowszechnione wśród wielu spośród 965.000 młodych ludzi, którzy wiosną ubiegłego roku skończyli studia. Według niektórych ocen, prawie jedna trzecia z nich opuściła akademickie ośrodki nie mając pracy, a kilkadziesiąt tysięcy szuka posady lub chwyta się zajęć dorywczych.

22-letni David Goldsmith, absolwent wydziału ekologii uniwersytetu waszyngtońskiego, mówi: „Moje pokolenie musiało zrewidować swe marzenia o wspaniałej Ameryce i ich wpływie na środowisko, a także na gospodarkę. Doszliśmy do wniosku, że to co większe niekoniecznie musi być lepsze i wielu z nas odrzuca obecnie marzenie amerykańskie". Goldsmith, który wiele miesięcy szukał pracy zanim wreszcie znalazł posadę w niewielkim tygodniku, dodaje: „Odnosi się wrażenie, że potencjalne możliwości tego, co chce zrobić, są ograniczone".

Ten sam akcent frustracji odnajdujemy w wypowiedzi młodej kobiety, która zarabia 21 000 dolarów rocznie jako dyrektor chińskiej organizacji w San Francisco. „To okropne — mówi owa pani. — Skończyłam doskonałą uczelnię w Cornell. Opłacałam regularnie czesne i wszelkie opłaty. Ale nie widzę możliwości, abym w niedalekiej przyszłości mogła kupić dom'".

Młoda kobieta uważa, że w najlepszym razie urządzi się w życiu tak, jak jej ojciec, emerytowany metalowiec i matka, nauczycielka muzyki. „Ale mój standard życiowy będzie inny — mówi. — Bardziej interesują mnie podróże aniżeli spokojne życie w domu na przedmieściu".

Inni młodzi ludzie nie są bynajmniej pewni, że urządzą się tak jak rodzice, a niektórzy w ogóle się tym nie przejmują. Do tych ostatnich należy m. in. 28-letni Chet Anderson, syn chirurga, pracujący w sklepie z nieskażonymi artykułami żywnościowymi w Boulder w Stanie Kolorado. Obecnie kończy on pracę doktorską na temat konserwacji ziemi uprawnej. Niedawno kupił fermę i zamierza sprzedawać warzywa na użytek restauracji i targowisk. Jego żona Kristy jest prawniczką w niewielkim przedsiębiorstwie. Mieszkają we wspólnym domu z rodzicami, nie płacą komornego.

Anderson mówi, że ani on, ani jego żona „nie troszczą się o to, gdzie mieszkają, ani jakim jeżdżą samochodem. Nie usiłuję — mówi Chet — wspinać się na cudzą drabinę, ani imponować komukolwiek mymi zabawkami".

To uczucie akceptacji nie jest typowe dla jednej tylko grupy młodych ludzi lub dla jednego regionu. Llyod Johnson z Instytutu Badań Społecznych uniwersytetu w Michigan stwierdza na podstawie badań opinii publicznej z lat 1979—1982, że „wielu młodych ludzi ma mniejsze wymagania niż dawni absolwenci szkół wyższych".

W 1982 roku 53 proc. absolwentów szkół wyższych stwierdziło w ankiecie, że zamierzają żyć lepiej niż rodzice. Gdy zapytano przedstawicieli grupy wieku od 19 do 21 lat, czy podzielają ten pogląd, procent odpowiedzi twierdzących zmniejszył się o około 8 punktów.

Od 1980 roku absolwenci szkół wyższych przejawiają również większe zaniepokojenie perspektywami znalezienia stałej pracy. W 1980 roku 35 proc. ankietowanych stwierdzało, iż „zawsze byli pewni", że znajdą pracę odpowiadającą ich wymaganiom i przyzwoicie płatną. W 1982 roku przekonanie to wyrażało już tylko 25 proc. ankietowanych. W sumie, jak stwierdza socjolog z Denver, Charles Cartese, „wiara w postęp pokoleń została znacznie podważona w ostatnim dziesięcioleciu".

TRUDNIEJ NIŻ RODZICOM

Przyczyną tego wzrastającego niepokoju jest niedawne pogorszenie sytuacji ekonomicznej, które najbardziej dotknęło ludzi młodych. I tak np. w kategorii wieku od 20 do 24 lat bezrobocie jest najwyższe i wynosi 12,2 procent.

W dochodach realnych również nastąpił spadek. W przypadku rodziny, której głową jest człowiek w wieku od 25 do 34 lat przeciętny dochód (jeszcze bez podatku dochodowego) wynosi około 23.350 dolarów, co stanowi 14,5 proc. spadku w kategoriach realnych w porównaniu z rokiem 1973 r.

Statystyki wykazują, dlaczego wielu młodych ludzi nie będzie mogło w najbliższej przyszłości pozwolić sobie na nowy samochód. Przeciętny koszt takiego samochodu wynosi prawie 11.000 dolarów, co równa się 22-tygodniowemu przeciętnemu dochodowi rodzinnemu, czyli o 5 tygodni więcej niż przed 10 laty. Nic dziwnego, że samochody, jakie dzisiaj spotyka się na drogach, mają przeciętnie 7 lat, podczas gdy w roku 1973 miały około 6 lat.

Liczby wykazują również jak kształtują się ceny domów — głównego przedmiotu marzeń większości Amerykanów. Stopa procentowa wprawdzie ostatnio się obniżyła, ale nadal wynosi około 13,5 procent, a przeciętna cena nowych domów kształtuje się nieco poniżej 76.000 dolarów. Oznacza to, iż miesięcznie trzeba spłacać około 870 dolarów — czyli ponad 40 proc. średniego dochodu rodzinnego. Przed 10 laty taki dom kosztował 32.500 dolarów, a miesięczne oprocentowanie wynosiło 238 dolarów, czyli około 23,7 procent średniego dochodu rodzinnego.

25-letni Glen Hall, urzędnik wydziału pożyczek w instytucji kredytowej w Irvine w Kalifornii, wątpi, czy będzie mógł kiedyś kupić dom o pięciu sypialniach, podobny do tego, jaki mają jego rodzice.

Inni po prostu przeprowadzają się z powrotem do rodziców, 24-letnia Myrna Gutierrez, kierowniczka wydziału informacji w ośrodku zdrowia psychicznego w Los Angeles, mieszkała sama dopóki nie ukończyła studiów na uniwersytecie Południowej Kalifornii w 1981 roku. Gdy znalazła się w obliczu silnej konkurencji na załoczonym rynku pracy, wróciła do domu rodziców, ponieważ uznała, że pomoże jej to w uzyskaniu stabilizacji finansowej.

Wszystko to nie oznacza, że młodzi ludzie kapitulują wobec trudności. Wielu z nich, mając na uwadze przyszłą pracę, wybiera sobie takie praktyczne dziedziny jak inżynieria, handel, informatyka, elektronika, rachunkowość i medycyna. Ci, którzy te dziedziny wybrali, zapatrują się optymistycznie na przyszłość. W ankiecie przeprowadzonej w 1982 roku 69,6 proc. absolwentów stwierdziło, że „mają duże szanse" znalezienia pracy w obranym zawodzie. W 1973 roku podobną opinię wyraziło 57 proc. ankietowanych.

Optymizm znika jednak, gdy ci młodzi ludzie wchodzą na rynek pracy. Badania przeprowadzone niedawno w 160 uczelniach wykazały, że w ubiegłym roku liczba oferowanych miejsc pracy spadła o 1/3 w porównaniu z rokiem 1982. Zdaniem niektórych ekspertów, w ciągu najbliższych kilkunastu lat absolwentów wyższych uczelni będzie o 300.000 więcej niż potrzeba.

Tak więc wielu młodych ludzi podejmuje pracę poniżej swych kwalifikacji. Jak mówi dyrektor jednego z wydziałów urzędu zatrudnienia, Alyson Taylor, w Nowym Jorku, połowę klientów urzędu stanowią absolwenci uczelni.

Niektórzy z nich próbują szukać bezpiecznego schronienia w wielkich przedsiębiorstwach z przyszłością. Robert Shasta z urzędu Taylora stwierdza, że młodzi klienci jego biura częściej interesują się stabilnością instytucji, w której zamierzają pracować, aniżeli stanowiskiem, jakie tam będą zajmować.

Młodzi ludzie decydują się mieszkać w małych lokalach i nie chcą mieć dużej rodziny. Tak właśnie postanowili Kevin i Liz Knobloch z Waszyngtonu. Kevin jest sekretarzem prasowym jednego z kongresmanów, Liz zaś jest radcą prawnym innego z kolei kongresmana. 26-letni Kevin twierdzi, że on i jego żona lepiej radzą sobie niż ich rodzice, kiedy byli w ich wieku. „Ojciec mój był sprzedawcą w magazynie drewna i nadal pełni tę funkcję. Matka w moim wieku miała już troje małych dzieci. Była dyplomowaną pielęgniarką, ale musiała rzucić pracę, aby zająć się dziećmi. Sądzę, że my osiągniemy lepszy standard życiowy, ponieważ nie planujemy siedmiorga dzieci".

Kevin i Liz Knobloch są typowi, także dlatego, że oboje pracują. „Dzisiaj zakłada się, że zarówno mąż jak i żona będą zarabiać na utrzymanie domu — mówi Joseph Turner, kierownik wydziału badań nad rodziną na uniwersytecie w Kolorado. Wspólny zarobek traktuje się jako niezbędny warunek kupna domu i samochodu, a także utrzymania rodziny".

NIEKTÓRYM SIĘ UDAJE

Są także młodzi ludzie, którym się udaje coś osiągnąć. Oto np. małżeństwo Perrymanów z Houston — 27-letni prawnik James Perryman i jego żona, 25-letnia Sheila, laborantka medyczna. W ubiegłym roku ze wspólnych zarobków kupili dom. James Perryman uważa, że lepiej się urządził w życiu niż to zrobił w jego wieku jego ojciec, pracownik gazowni. „Mnie było łatwiej" — stwierdza James.

27-letnia Theresa Grygorcewicz z Chicago zarabia około 30.000 dolarów miesięcznie jako ilustratorka literatury medycznej. Niedawno kupiła domek-bliźniak w eleganckiej dzielnicy, spędziła święta Bożego Narodzenia w Bimini i na Florydzie, a obecnie zastanawia się gdzie spędzić letnie wakacje — w Egipcie czy Anglii. Theresa, najmłodsza z trojga dzieci polskiego emigranta, ze zdumieniem dowiedziała się niedawno, że zarabia więcej niż jej ojciec, który jest zastępcą majstra w fabryce.

Najlepiej urządzają się młodzi ludzie, którzy zdobyli wysokie kwalifikacje techniczne. „Często się zdarza, że ludzie w wieku od 20 do 30 lat prowadzą przedsiębiorstwa komputerowe — mówi Franklin Johnson, kierownik firmy Asset Management w Palo Alto w Kalifornii. W końcu są to ludzie, którzy wychowali się na mikrokomputerach". Johnson odnotowuje, że wielu młodych techników i inżynierów komputerowych dobrze zarabia w nowych przedsiębiorstwach.

Wielu ekspertów uważa, że małe firmy oferują młodym ludziom lepsze możliwości niż wielkie przedsiębiorstwa. Jak mówi Wilson Kendall z ośrodka prognozowania handlowego i gospodarczego na uniwersytecie w Denver, „mnóstwo ludzi w wieku 30 lat występuje z dużych przedsiębiorstw i zakłada własne firmy".

JAKA PRZYSZŁOŚĆ, JASNA CZY CIEMNA?

Wielu ekonomistów przepowiada, że ludzie liczący obecnie 20—30 lat będą przeżywać znaczne trudności przez większą część zawodowego życia. Wielkie deficyty federalne będą nieuchronnie wymagać znacznego podniesienia podatków, a to oznacza, że stopa procentowa będzie nadal względnie wysoka i że wzrost liczby miejsc pracy nie będzie nadążał za wzrostem zapotrzebowania.

„Nie sądzę, aby gospodarka mogła zaoferować dostateczną ilość wysokich stanowisk — mówi ekonomista ze Stanfordu, Russel Rumberger. — Sądzę, że młodzi ludzie będą musieli zadowalać się mniej odpowiedzialnymi i niżej płatnymi zajęciami niż się spodziewali".

Według opinii Jaquelyne Jackson, socjologa z uniwersytetu Duke, szczególnie trudna będzie sytuacja studentów reprezentujących mniejszości narodowe, ponieważ często nie mają oni pieniędzy ani odpowiednich stosunków, aby móc uczęszczać na wyższe uczelnie. Ci, którzy studiują w murzyńskich przeważnie college'ach, często nie mogą później dostać się na bardziej specjalistyczne kursy z zakresu komputeryzacji czy innego rodzaju wysokiej technologii. Zdaniem pani Jackson, ci, którym nie uda się dostać do college'ów „będą straconym pokoleniem".

W obecnym stanie rzeczy wydaje się, że największe możliwości istnieją w dziedzinie pracy nisko kwalifikowanej. Jak wynika z badań przeprowadzonych przez Henry Levina, dyrektora instytutu naukowo-badawczego w Stanford, w 1990 roku w Stanach Zjednoczonych potrzeba będzie o 93.000 więcej mechaników specjalistów od urządzeń przetwarzających dane, o 199.000 więcej analityków komputerowych i o 148.000 operatorów komputerowych. Ale liczba posad płatnych — jak np. posady instruktorów, sprzedawców i kelnerów — wzrastać będzie szybciej, w niektórych przypadkach pięcio- lub sześciokrotnie.

Nie są to zajęcia, których poszukiwać będą młodzi absolwenci wyższych studiów, ani też pracownicy przemysłu samochodowego czy stalowego, którzy na skutek konkurencji zagranicznej i postępów technologii będą się musieli przestawić na inne tory. Wielu z nich jednak będzie, być może, musiało na tym poprzestać.

Są jednak i bardziej pogodne prognozy. Ekonomista Irving Leveson z Instytutu Hudson twierdzi, że w nadchodzącym dziesięcioleciu płace realne wzrastać będą przeciętnie o 2,5 proc. rocznie — czyli znacznie szybciej niż w ciągu minionej dekady. Leveson uparcie twierdzi, że minął już okres największych trudności dla ludzi młodych. „W ubiegłym roku — mówi — nastąpił znaczny wzrost wydajności pracy. Młodzi ludzie, którzy teraz zaczynają pracować, będą mieli duże pole do popisu".

Leveson dostrzega również perspektywę lepszego wynagradzania pracy w takich dziedzinach jak kontrola jakości, systemy kontrolne, naprawa sprzętu technicznego wysokiej jakości, praca techniczna w szpitalach i instytucjach naukowych, rachunkowość, reklama oraz porady prawne i finansowe.

Jak mówi Martin Duffy z Data Resources Inc. w Lexington w stanie Massachusetts, we wczesnych latach 90-tych ludzie wchodzący na rynek pracy będą mieli więcej możliwości wyboru. „Ludzie urodzeni po 1970 roku — mówi Duffy — pochodzą z mniejszych rodzin i będą startowali we wspaniałych warunkach — z dużym bagażem wykształcenia i przy zmniejszonej konkurencji".

Nie jest to jednak wielka pociecha dla ludzi z powojennego wyżu demograficznego. Aby móc osiągnąć sukces i dobrobyt, będą musieli uzbroić się w wyższe kwalifikacje, zwłaszcza w dziedzinie technicznej i finansowej. Będą też musieli walczyć zaciekle o swój udział w lepszym życiu, jak to czynili młodzi ludzie w okresie Wielkiego Kryzysu.

(„U. S. NEWS AND WORLD REPORT")

W kręgu fantastyki

Zamach stanu

ANDRZEJ MERCIK

Dregner cisnął w kąt łazienki kamizelkę ratunkową, zdjął mokry lepiący się do ciała kombinezon i zerwał z czoła pokrwawiony opatrunek. Słona morska woda, która przesiąkł bandaż, drażniła świeżą ranę, potęgując ból. Zajrzał do szafki z przyborami toaletowymi, ale wszystko tam było pokryte grubą warstwą piany, bo podczas wstrząsów, jakie targały statkiem, rozbiła się butelka szamponu. Zamknął szafkę i odkręcił kran — w rurach tylko zasyczało. W normalnych warunkach zacząłby kląć, lecz teraz jedynie westchnął z rezygnacją. Poślinił kawałek gazy, zatamował nim krwawienie i owinięty ręcznikiem poszedł do kabiny.

Fotele, stolik, książki, części garderoby — wszystko, co nie było przymocowane do ścian czy podłogi, tworzyło skłębioną rozrzuconą po kątach masę. Przy wezgłowiu koi wisiała na sznurze pęknięta słuchawka telefonu. Machinalnie chciał ją położyć na widełkach, ale przypomniał sobie, że centrali też dosięgły płomienie. Podszedł do iluminatora. Pierścień obudowy z jednej strony był wgnieciony, farba odprysnęła tak, że powstał promienisty ślad po uderzeniu. Kawałki pogruchotanej popielniczki wbiły się we włochatą, imitującą dywan wykładzinę. Dregner spojrzał na swoje bose stopy i cofnął się o krok.

Sztorm przycichł. Dzikie spienione fale pognały na północny wschód w kierunku norweskich wybrzeży, deszcz jeszcze padał, ale i on osłabł, przemienił się w marznącą mżawkę. Na pokładzie sytuacja została już opanowana. Statek głęboko zanurzony nie zwiększał przechyłu, pożar w maszynowni dogasał. Szef ekipy ratunkowej ryczał jak trąba jerychońska, wydając rozkazy ludziom i automatom, co było najlepszym dowodem, że wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Jeszcze godzinę temu inżynier mówił prawie szeptem, podając Dregnerowi przez radiotelefon informacje o aktualnej sytuacji na górze, a Dregner cztery kondygnacje niżej miotał się między ogniem a wodą. Nawet nie zauważył, kiedy jego walka o uratowanie statku zamieniła się w walkę o własne życie. Zszedł na dół z sześcioma automatami — wrócił sam. Cóż, mogło być gorzej; czasem z podobnych akcji tylko automaty wracały.

Przez chwilę grzebał w szafie szukając ubrania. Algravez, główny mechanik, który poprzednio zajmował tę kabinę, a którego pierwszy wybuch rozerwał na strzępy, był niższy od Dregnera, więc ratownik z trudem wbił się w jego kombinezon. Kiedy nożem odciął rękaw powyżej łokcia, aby materiał nie drażnił poparzonej ręki pomyślał, że postępuje jak barbarzyńca, panosząc się w mieszkaniu nieboszczyka, ale był zbyt zmęczony, zziębnięty i otępiały, aby się tym przejmować. Otworzył barek. Z kieliszków pozostała szklana kasza zalana mieszaniną koniaku i rumu. W jednej z rozbitych butelek na dnie było jeszcze trochę trunku. Ostrożnie, aby nie pokaleczyć warg o ostre krawędzie, wypił kilka łyków palącego płynu. Usiadł w fotelu. Jego rola w tej akcji była już zakończona; wykonał najgorszą robotę, teraz chciał odpocząć, lecz przeszkodził mu technik łączności. Wszedł do kabiny i powiedział:

— Panie ras, za dziesięć minut przyleci po pana helikopter. Ma pan natychmiast wracać na ląd.

Dregner zaklął pod nosem.

— O co chodzi?

— Nie wiem. Radiogram z Centrali był bardzo lakoniczny.

Tak zwykle wyglądały wezwania do najtrudniejszych akcji, ale w Centrali dyżurowało w tej chwili jeszcze kilkunastu innych ratowników tej samej klasy co Dregner i wszyscy naraz byliby potrzebni chyba tylko w obliczaniu totalnego zagrożenia co najmniej kontynentu. Pełen najgorszych przeczuć Dregner dopił resztkę koniaku.

— Wiesz, chłopie, co znaczą słowo „ras"? — zapytał technika.

Ten spojrzał na niego zdziwiony niespodziewanym pytaniem.

— Ratownik klasy specjalnej; tak was wszyscy nazywają.

Dregner skinął głową.

— Tak nas nazywają, ale kiedyś tak tytułowano wielkich feudałów abisyńskich. Takich, co siedzieli w swoich pałacach na aksamitnych poduszkach, a niewolnicy wachlowali ich strusimi piórami. Ale czasy się zmieniły.

Narzucił na ramiona kurtkę z dystynkcjami głównego mechanika i wyszedł na pokład.

Bregstein, dyspozytor Centrali, przywitał Dregnera grobową miną.

— Bardzo mi przykro, Seb — powiedział unikając wzroku ratownika. — Otrzymałeś nakaz izolacji. Masz się stawić w najbliższym ośrodku odosobnienia w ciągu trzech godzin.

Dregner bezwiednie usiadł w fotelu na wprost biurka. Wolałby z powrotem znaleźć się w piekle maszynowni płonącego, na wpół zatopionego zbiornikowca.

— Breg, na litość boską, musicie mnie reklamować. Przecież to jakaś pomyłka!

Dyspozytor rozłożył bezradnie ręce.

— Dobrze wiesz, że od tego nie ma reklamacji.

— Chcę rozmawiać z szefem.

— Nie przyjmie cię. Nie jesteś już pracownikiem Ceratu.

— Breg! — Dregner zerwał się z fotela i z zaciśniętymi pięściami stanął nad dyspozytorem. — Przecież wiesz, że za miesiąc kończę służbę, wygrałem konkurs na stanowisko, o którym marzyłem przez całe życie. Jeżeli teraz mnie izolują, chociażby na jeden dzień, kierownikiem sekcji operacyjnej zostanie ktoś inny, ten z drugim wynikiem w konkursie. Już dwa razy lekarze chcieli odebrać mi klasę i przy następnych badaniach z pewnością mi ją odbiorą. I co ja wtedy będę robił? Po stu akcjach, w których ryzykowałem życiem, zostanę tu u ciebie woźnym?!

— Uspokój się. Przyrzekam, że znajdę dla ciebie jakąś dobrą pracę — Bregstein powiedział to na pozór stanowczym tonem, ale w gruncie rzeczy bez przekonania.

Dregner zdjął z przegubu dłoni złotą bransoletkę, oznakę ratownika najwyższej klasy i rzucił ją na biurko.

— Znajdziesz mi pracę — rzekł z goryczą. — A jeżeli mnie tam przytrzymają kilkanaście lat? To się już zdarzało. Człowieku! Ja mam czterdziestkę na karku i wreszcie chciałbym rozpocząć normalne życie. Mam chyba do tego prawo!

Ruszył w stronę drzwi.

— Seb! — krzyknął za nim dyspozytor — gdzie idziesz?

— Jeśli chcą mnie zamknąć, najpierw muszą mnie złapać, a to nie będzie takie proste — powiedział ratownik zatrzymując się na moment. — I mam do ciebie tylko jedną prośbę: nie zawiadamiaj policji o moim zamiarze.

Bregstein z troską pokiwał głową.

— Przecież wiesz, że w końcu cię złapią, a wtedy dostaniesz wyrok. No dobrze — westchnął, widząc zimny błysk w oczach Dregnera — to twoja sprawa. W moim domku nad jeziorem zawsze będzie trochę pieniędzy i żywności, ale nie nocuj tam.

Dregner na wpół leżąc, oparty o pień drzewa, patrzył na dogasające ognisko. Jego ucieczka przed policją trwała już ponad miesiąc. Kluczył po całej Europie od Uralu po Hiszpanię tropiony przez ociężałą, ale uparta jak automat machinę sprawiedliwości. Gdyby popełnił jakąś zbrodnię, postawiono by na nogi oddziały bezpieczeństwa publicznego i wtedy zostałby schwytany w ciągu kilkunastu godzin, ale on jedynie nie usłuchał administracyjnego nakazu, więc szukali go stróże porządku, ci sami, którzy pilnowali, żeby młodzi wandale nie niszczyli ławek w parkach. Z przeciętnymi obywatelami radzili sobie zupełnie dobrze, ale ujęcie rasa przekraczało ich możliwości. Zarówno Dregner jak i inspektor policji, który kierował poszukiwaniami, wiedzieli o tym doskonale od samego początku, ale też obaj równie dobrze wiedzieli, że ucieczka zmęczy w końcu ratownika i pewnego dnia się podda. Dregner dojrzał już do tego. Jego rozżalenie i złość wypaliły się; miał dosyć tułaczki, ale nie żałował, że uciekł. Przynajmniej wiedział, co go czeka: rok, najwyżej dwa lata zakładu karnego. Paradoksem było to, że mógł wyjść z więzienia wcześniej niż z ośrodka odosobnienia, gdyby bez protestu usłuchał nakazu.

Rzucił na kupkę popiołu naręcz suchych gałęzi i dmuchnął w żar. Czuł, że tyraliera z psami jest gdzieś niedaleko i chciał inspektorowi ułatwić zadanie. Jeszcze raz, teraz już bez emocji, próbował dojść, dlaczego właśnie on i to w najbardziej pechowym dla niego momencie otrzymał nakaz izolacji.

Wszystko zaczęło się od momentu, gdy światowy system ewidencji ludności sprzężono z kartoteką policyjną, rejestrem prac naukowych, bankiem danych urzędu statystycznego, systemem badania opinii publicznej i diabli wiedzą z czym jeszcze. W efekcie scentralizowano całą wiedzę o wszystkim, co się dzieje na świecie. Ale komputer sterujący tym systemem, dysponując kompleksową informacją nie tylko wiedział, co się dzieje; miał wystarczającą ilość danych, aby przewidywać, co może się wydarzyć, a to otwierało zupełnie nowe możliwości kierowania społeczeństwem. Dla przykładu — gdyby taki system istniał w pierwszej połowie dwudziestego wieku, komputer przewidując, na co się zanosi, mógłby zarządzić izolację na kilkanaście lat głównych protektorów Hitlera i führer, być może, do końca życia sprzedawałby pocztówki na ulicach Wiednia, albo włóczył się po monachijskich piwiarniach, a idei narodowego socjalizmu skręciliby kark przeciwnicy faszyzmu, których przecież było niemało. Jest to oczywiście przykład uproszczony, ale obrazuje istotę problemu. Sieć związków przyczynowo-skutkowych jest nie tylko szalenie skomplikowana, ale czasami kluczowe jej ogniwa są na pozór błahe jak przysłowiowy nos Kleopatry, dlatego rzadko kiedy człowiek zdaje sobie sprawę, że wkracza na niebezpieczną ścieżkę. Najczęściej zaczyna rozumieć, co się święci, gdy lawina, w której on jest jednym z kamieni, już ruszyła i nic jej nie powstrzyma, aż wyczerpie się skumulowana w niej energia, ale stok górski, po którym się toczyła, będzie już wtedy inaczej wyglądał.

Dregner niby to wszystko rozumiał i akceptował, dopóki sam nie dostał nakazu izolacji.

Warunki w ośrodkach odosobnienia były niemal luksusowe. Najczęściej w górach lub nad morzem, z dobrym wyżywieniem, rozrywkami, ale nikt z izolowanych nie wiedział, za co siedzi i — co najgorsze — jak długo będzie siedział. Jednych wypuszczano po paru dniach, innych po latach, a podobno zdarzały się przypadki dożywocia. Nic więc dziwnego, że Dregner stojąc u progu życiowego awansu, który mógł stać się szczeblem do dalszej kariery, zbuntował się przeciwko tej krzywdzącej go, bezdusznej decyzji. W tej chwili karierę i tak miał złamaną, ale przynajmniej wiedział, za co i jak długo będzie siedział; potem przyjaciele z Ceratu pomogą mu jakoś się urządzić.

W ciemności usłyszał szczekanie psa i trzask gałęzi. Po chwili w kręgu światła ogniska pojawiło się kilka umundurowanych sylwetek.

— No cóż, Dregner, spotkaliśmy się wreszcie — powiedział inspektor.

Ratownik wstał.

— Proszę tylko, inspektorze, zaznaczyć w raporcie, że w chwili ujęcia nie stawiałem oporu.

Zakład karny, w którym Dregner odsiadywał swój wyrok, znajdował się na jednej z wysepek Archipelagu Franciszka Józefa. Budynek więzienia był ponurym gmachem z surowego kamienia bez krat w oknach, nawet bez muru oddzielającego go od świata. Samo położenie wyspy wykluczało możliwość ucieczki, a ponadto każdy więzień miał swojego „cerbera" — metalową bransoletkę ciasno opasającą ramię. Poza dozwoloną strefą trzystu metrów od budynku bransoleta sprawiała ból aż do utraty przytomności. Każda próba manipulowania przy niej też kończyła się bólem.

Dregner nie zamierzał uciekać. Szef Ceratu ujął się za nim, wystawił mu znakomitą opinię. Inspektor przyznał, że ratownik poddał się bez oporu, resztę załatwił zręczny adwokat i w efekcie Dregner został skazany tylko na pół roku. W dodatku trafił na okres polarnego lata, więc musiał uznać, że za bunt spotkała go bardzo łagodna kara.

Siedział na zimnym głazie i patrzył na ołowiane fale Morza Barentsa. Z hukiem rozbijały się o skalisty brzeg, a słone rozbryzgi podmuchy wiatru unosiły w głąb wyspy. Nadchodził okres jesiennych sztormów, ale Dregnera już to nie obchodziło; za dwa tygodnie miał wyjść na wolność. Usłyszał za sobą chrobot kamieni. Od strony budynku zbliżał się do niego Winter. Był to prawnik z zawodu, który nie usłuchał nakazu izolacji, bo, jak twierdził, zamykanie ludzi bez wyroku sądowego jest sprzeczne z zasadą praworządności, mimo że w Konstytucji był paragraf sankcjonujący takie postępowanie. Winter nie uciekał, nie chował się przed policją; siedział w domu i czekał na aresztowanie, ale sam do ośrodka odosobnienia się nie zgłosił. Dostał za to półtora roku i tego Dregner nie mógł zrozumieć. W porównaniu z jego wyrokiem Winter został zbyt surowo ukarany.

— Przyszedłem się z tobą pożegnać — powiedział prawnik, siadając obok Dregnera na kamieniu.

— Miałeś wyjść dopiero jutro.

— Skrócono mi wyrok o jeden dzień — Winter uśmiechnął się ironicznie. — Dzisiaj odlatuje samolot transportowy, który może mnie stąd zabrać, a następny lot będzie dopiero za trzy dni. Specjalnego kursu dla jednego więźnia nie warto uruchamiać, a przytrzymać mnie o dwa dni dłużej też nie można, bo to sprzeczne z prawem. Znowu podniósłbym krzyk, więc nasze władze wolą wypuścić mnie wcześniej.

— Nienawidzisz ich.

— A ty ich kochasz? Nigdy cię o to nie pytałem, ale teraz przy pożegnaniu chciałbym wiedzieć, co sądzisz o izolacji?

Dregner milczał przez chwilę; chciał odpowiedzieć uczciwie, ale w miarę ostrożnie.

— Wydaje mi się, że izolacja ludzi stanowiących potencjalne zagrożenie dla społeczeństwa ma swoje uzasadnienie, lecz mam poważne wątpliwości, czy decyzje o odosobnieniu w każdym wypadku są słuszne.

Winter podał ratownikowi kawałek papieru.

— Tu jest zapisany mój adres. Gdy wyjdziesz stąd, przyjedź do mnie.

— To nie ma sensu — rzekł Dregner, niechętnie przyjmując kartkę. — Chcesz wspominać pobyt w więzieniu?

— Nie. Chcę z tobą poważnie porozmawiać.

Wstał i nie czekając na to, co powie Dregner, ruszył w kierunku odległego o ponad kilometr pasa startowego.

c.d.n.

Cena ręki

„Już dawno powinienem był tu przyjść" — przemknęło mi przez głowę, gdy mijałem jaśniejące tablice informacyjne, błyszczące niklem poręcze i szeregi białych drzwi. Korytarz tonął w sinym półmroku, w którym jednak każdy szczegół rozróżnialny był nad wyraz dobrze.

W głowie szumiało mi morze, a prawa ręka zwisała bezwładnie. Nie bolała już — ostatni skurcz przebiegł przez nią dziś rano.

Z otwartych drzwi chwiejnym krokiem wyszedł mężczyzna w białym fartuchu i omal nie zderzył się ze mną w korytarzu. Tablica mówiła:

HODOWLA TKANEK I NARZĄDÓW

Wszedłem.

Po sali oprowadzał mnie pielęgniarz o załzawionych, czerwonych oczach i opuchniętej twarzy. Nawet ja wyczuwałem bijący od niego zapach alkoholu, choć przy śniadaniu łyknąłem już trochę dla dodania sobie odwagi.

Ściany sali składały się z szeregów okien akwaryjnych, za którymi unosiły się w solach fizjologicznych wszelkie możliwe narządy. Widać więc było serca, płuca, nerki, trzustki, mózgi, nogi, ręce, piersi, a nawet całe głowy, patrzące beznamiętnym wzrokiem gdzieś w dal.

— One śpią — wyjaśnił pielęgniarz. — Przebudzą się dopiero na nowym właścicielu. A może pan chciałby zmienić sobie na sztukę z krótszym nosem? — dodał bełkotliwie. Lecz żadne docinki nie były w stanie poruszyć mnie tego dnia.

Zatrzymaliśmy się przed wielką, już nieco porysowaną szybą, za którą w zielonkawej cieczy rosły różnej wielkości i maści ręce. Lekki ruch płynu powodował powolne przesuwanie się narządów tak, aby ich dłuższe zetknięcie wzajemne lub ze ścianami naczynia nie wywołało deformacji.

Zbliżyłem się i starannie oglądałem kolejne egzemplarze, podsuwane do szyby przez mechaniczną mackę. Najbardziej podobała mi się mała, dziecięca rączka w piegi, o delikatnej cerze.

— Za mała — autorytatywnie stwierdził pielęgniarz. — Szukaj pan innej. Zresztą — dodał po chwili namysłu — za dwa, trzy dni będzie dobra, może pan dostać coś zastępczego na ten czas.

Ponieważ nie chciałem czekać, grzebaliśmy dalej w akwarium. W końcu byłem już tak zrezygnowany (a czułem, że zaczyna sztywnieć mi prawy bark i język), że omal nie wziąłem delikatnej, kobiecej rączki o długiej dłoni, wysmukłych palcach i modnie lakierowanych paznokciach. Ale w końcu pielęgniarz, widząc moją bezradność, zlitował się i przyholował piękną, muskularną męską prawicę. Obaj byliśmy tak zadowoleni, że po bratersku wychyliliśmy wprost z syfonu po ćwiartce sodowego spirytusu.

Udałem się do sali zabiegowej. Nad wejściem świecił wielki napis:

ZABRANIA SIĘ PRZEBYWANIA W SALI OSOBOM W STANIE UPOJENIA

Na stoliku stał syfon ze zwykłą wodą, szklanka i pudełko pigułek. Po zażyciu dwóch w jednej chwili wyostrzyły się kontury okolicznych sprzętów, dostrzegłem niedopałki papierosów pod ścianą, poczułem nieprzyjemny przeciąg w korytarzu i dzikie ssanie w żołądku. Westchnąłem tęsknie, ale oczekiwałem przecież na zabieg!

Lekarz był podejrzanie trzeźwy, nie zażył ani jednej tabletki przed operacją. Zbadał mnie dokładnie i westchnął:

— Ależ pan ma wspaniałą wątrobę! Można się na niej wzorować przy hodowli, tylko kiedy wreszcie będziemy to potrafili?

Głowa mnie bolała i czułem się fatalnie trzeźwo, więc nie reagowałem na żadne próby konwersacji. Byle szybciej — to było moją jedyną myślą aż do chwili pełnego uśpienia.

Po zabiegu ręka sprawowała się świetnie. Skórę naświetlono kwarcówką, tak że nawet linia zrostu była niewidoczna. Wymachiwałem nią zadowolony, a przy pożegnaniu uścisnąłem prawicę lekarza tak silnie, że zasyczał.

Zbiegłem po trzy stopnie ze schodów szpitala i popędziłem wprost do jednego z dwóch saturatorów spirytusowych, stojących opodal wejścia. Po trzech szklankach poczułem się wspaniale — lekki jak balonik poszybowałem w stronę domu. Po drodze kupiłem nawet gazetę, żeby zaimponować żonie. Już widziałem w jej oczach niemy podziw: wyleczony, pełen zapału i zainteresowań! Od dziś zacznę nowe życie!

Lecz już przy wejściu poczułem się osłabiony. Wstrząsały mną dreszcze, narastał ból w prawym boku. Po kolacji objawy te wzmogły się, było zupełnie źle. Wielokrotnie oglądana prawa ręka sprawowała się jednak świetnie. Na próbę wyrżnąłem nią nawet w stół z całej siły, lecz odezwał się tylko ból w boku. „Powinno przejść przez noc" — pomyślałem, rozpiliśmy z żoną i dziećmi litra i poszliśmy spać.

Na drugi dzień czułem się tak fatalnie, że poszedłem do szpitala na przebadanie. Skierowano mnie do działu reklamacji — wszak reklamowałem jakość usługi. Stanąłem w długiej kolejce. Jak to zwykle pod drzwiami gabinetu opowiadano sobie najrozmaitsze okropności. Znawcy, niepodobni już zwykle do swoich pierwowzorów z powodu szeregu przeszczepów, wyjaśniali niewtajemniczonym wiele wątpliwości.

— Nie ma po co pani tam iść — perorował jakiś facet z małą, rudą główką na potężnym tułowiu. Jeśli obie piersi funkcjonują prawidłowo, to nic nie szkodzi, że są różnej maści! Oni takich drobiazgów nie biorą pod uwagę. Że krzywo zszyli? Trudno mi powiedzieć, musiałbym zobaczyć...

— Już drugi raz przeszczepiają mi jądra — jęknął młodzieniec w kraciastej koszuli.

Dalszy ciąg umknął mojej uwadze, gdyż wszedłem do gabinetu. Wylewnie przywitał mnie ów lekarz, który dokonywał zabiegu.

— Jak pan się czuje? — zagadnął melodyjnym głosem, uśmiechając się szeroko i mrugając do mnie załzawionym okiem. Ten sam wczoraj smutny, diablo trzeźwy lekarz...

Straszne podejrzenie zamieniło się w pewność. Mimo bólu zerwałem się i wrzasnąłem z całych sił:

— ODDAJ PAN MOJĄ WĄTROBĘ!

Lekarz wstał i spytał chłodno: — O czym pan mówi? Przeszczepialiśmy rękę, o ile pamiętam, to drobiazg...

— Pan mi ukradł wątrobę, a dał swój zużyty ochłap, panie, ty! — zacząłem się pienić.

— Dosyć — rzekł lekarz. — Pan bredzi, za dużo pan dziś wypił. A nawet, gdyby pan chciał mnie o coś oskarżać — dodał ze złośliwym uśmiechem — nic pan nie wskóra, ponieważ po podaniu odpowiednich specyfików białko zmieniłoby już dawno strukturę na swoistą. Musi pan przestać pić, cóż, są tacy wśród nas, biedacy, póki hodowla wątroby jest niemożliwa...

To mówiąc wypchnął mnie na korytarz i wpuścił następnego, młodzieńca w kraciastej koszuli. Wściekłość stopniowo wygasła, szedłem ze spuszczoną głową, mijając bezużyteczne już dla mnie saturatory. Usiłowałem nie zwracać uwagi na kryształowe, ale rozdęte pustką wystawowe gabloty.

Mam złamane życie — myślałem na trzeźwo, o chłodzie i głodzie. Jak grzyby po deszczu wyrosną bzdurne potrzeby odżywiania się, ubierania, a nawet spania w czystej pościeli! No i rozwód, a potem kawalerski los, bo która zechce żyć z takim sztywniakiem i malkontentem. Pozostały mi już tylko nędzne słomki haszyszowe. I to wszystko za jedną głupią rękę!

ANDRZEJ ZIMNIAK

1

Lewym okiem

Co by było...

Dzień urodzin Adolfa Hitlera — 24 kwietnia — był w Trzeciej Rzeszy świętem państwowym. W tym dniu w roku 1939 paryski dziennik „Figaro" zamieścił następującą depeszę gratulacyjną: „Adolf Hitler. Berchtesgaden. Niemcy. Grupa pisarzy francuskich życzy Panu szczęśliwych urodzin, pod warunkiem żeby to były urodziny ostatnie. Pierre Benoit. Francis Carco. Roland Dorgeles".

Los nie spełnił — jak wiemy — tego warunku. Mimo paru zamachów na jego życie, führer zawsze wychodził cało i kontynuował swe złowieszcze dzieło, dopóki nie popełnił makabrycznego samobójstwa w tydzień po swych kolejnych urodzinach, 30 kwietnia 1945 roku.

Ciekawym może być w związku z tym przypomnienie nigdy prawie nie omawianego incydentu, o jakim pisał Jerzy Rawicz w swej książce „Doktor Lokietek i Tata Tasiemka — dzieje gangu." (Warszawa, 1968 r.). Otóż powołując się na wydane w Paryżu w 1964 roku wspomnienia pierwszego dowódcy Armii Krajowej (nie noszącej jeszcze wówczas tej nazwy), generała Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, oraz na wspomnienia pułkownika Emila Kumora, informuje Rawicz o tym, że polscy konspiratorzy przygotowywali zamach na Hitlera w dniu, w którym odbierał on defiladę zwycięstwa w tylko co zdobytej Warszawie, a więc już 10 października 1939 roku. Trasa przejazdu wodza po defiladzie miała przebiegać wzdłuż Nowego Światu do Alei Jerozolimskich, obok gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego. W tym miejscu pod jezdnią zgromadzono duże ilości materiałów wybuchowych, które miały być odpalone przez oficera saperów ukrytego w piwnicach Banku. Założono lonty i wszystko co potrzeba, najwyżsi rangą konspiratorzy zeszli się w mieszkaniu adwokata Leona Nowodworskiego przy ulicy Smolnej i czekali na wielki huk. Huku jednak nie było, gdyż — jak się okazało — nie można było odnaleźć sapera, który miał spowodować wybuch. Gdzieś się zapodział, a potem ponoć — w obawie przed konsekwencjami — ukrył się gdzieś i nikt go więcej nigdy nie spotkał...

Rawicz lubował się w takich niedomówionych sensacyjkach, obstawiał je tysiącem zastrzeżeń, czytelnikom pozostawiał sprawę wierzenia w te informacje czy też uznania ich za niesprawdzalną plotkę. Być może jednak, że generał Tokarzewski rzeczywiście taki zamach usiłował zorganizować — pozostaje nam więc tylko powyobrażać sobie, co by to było, gdyby zamach się udał?

Z całą pewnością wiele spraw potoczyłoby się inaczej, ale nie od rzeczy będzie odnotować opinię znanego pisarza i filozofa prawicowego, Karola Ludwika Konińskiego, zamieszczoną w przedwojennym tygodniku „Zwrot" (z 14 maja 1939 r.): „Wszystko, co naród starych najezdników a pobity mógł w swych tradycjach umysłowych znaleźć, co by mu służyło do podniesienia się z depresji i do musztrowania nowych najeźdźców — to wszystko bije z każdego słowa tej osobistości; jego własna jest ta jakaś mgiełka obłąkania, co wisi na jego oczach (ale wiadomo — nie ma prawdziwej wielkości bez żyły szaleństwa.) jest to genialny przeciętniak niemiecki, monumentalny Durchschnittsmensch; i dlatego nie jest przypadkowy, a nie będąc przypadkowym, nie jest niezastąpiony; nic by nie pomogło sąsiadom, gdyby się zapodział: na miejsce po Hitlerze Adolfie wskoczy teraz Hitler — Goering, Hitler — Himmler i ilu ich tam jest hitlerów; „Hitler" — to typ; stąd „hitleryzm".

Takie rozpamiętywania w trybie „co by było, gdyby..." oczywiście do niczego konkretnego nie prowadzą, ale stanowią ciekawe etiudy, wprawki historyczne, coś podobnego do gier wojennych, odbywanych na stołach aplikacyjnych. Czasem są to etiudy o ogromnym ładunku ostrzegawczym, jak świetna książka Mariana Podkowińskiego „Gdyby Hitler wygrał wojnę". I tylko z felietonistycznej przekory przypomnę tu jeszcze kapitalną Zieloną Gęś Konstantego Ildefonsa:

„Wąż (podaje Ewie jabłko na tacy): Ugryź i daj Adamowi.

Adam (ryczy): Daj ugryźć! Daj ugryźć!

Ewa (zjada całe jabłko).

Wąż (przerażony). Co teraz będzie?

Adam: Niedobrze. Cała Biblia na nic..."

Inaczej mówiąc: co by było, gdyby Adam nie skosztował zakazanego owocu...

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Hydraulik contra zwykły inżynier

Widziałem niedawno taki rysunek: kobieta w ślubnym welonie zwierza się przyjaciółce:

— Wiesz, dopiero teraz przyznał się że nie jest hydraulikiem, a zwykłym inżynierem!

W ten lapidarny sposób została zawarta prawda, że hydraulika u nas ceni się wyżej niż inżyniera. Można się z tego śmiać, ale — tak naprawdę — to trzeba siąść i zapłakać. A powodów do płaczu jest wiele.

Oto w nr 4 „Nowych Dróg" ukazał się bardzo interesujący, i bez wątpienia kontrowersyjny, artykuł trzech autorów Eugeniusza Gajewskiego, Wiesława Iwanickiego i Ludwika Maźnickiego pt. „O pewnych mitach i mistyfikacjach". W artykule tym autorzy powiadają, że mitem jest ciągły krzyk o braku ludzi do pracy. Najpierw straszono nas bezrobociem, więc ludzie poszli na wcześniejsze emerytury, a teraz znów straszy się nas brakiem ludzi do pracy.

Dlaczego ma to być mistyfikacja?

„Zapewne w niejednym przypadku rzeczywiście występuje brak ludzi, — piszą autorzy. — Ale od spraw jednostkowych do ogólnych droga jest jeszcze daleka. W każdym razie te jednostkowe przypadki nie stanowią jeszcze uzasadnienia dla powszechnego alarmu o brak ludzi. Tym bardziej zaś, gdy wołanie o braku ludzi zaczyna się rozlegać z przemysłów i przedsiębiorstw, gdzie zła organizacja pracy, marnotrawstwo czasu ludzkiego i przerosty administracyjne stały się widoczne gołym okiem".

W końcu marca 1984 roku do pracy poszukiwano 254,2 tys. osób, a w tym 193,7 tys. mężczyzn i 60,5 tys. kobiet. Temu popytowi na ludzi do pracy urzędy zatrudnienia mogły przeciwstawić oferty 5,5 tysiąca osób poszukujących pracy. A było to zapotrzebowanie niższe o 2,2 proc., niż w lutym 1984 roku i o 1 proc. niższe niż w marcu 1983 roku. A więc — jak wynika z tych danych — brakuje ludzi do pracy. Czyż zatem trzej autorzy z „Nowych Dróg" mają rację?

Otóż mają! Im chodzi o to, że w tych samych przedsiębiorstwach, które narzekają na brak ludzi do pracy łażą po halach produkcyjnych różne obiboki, lenie i kombinatorzy. O wydajności pracy i poprawie organizacji pracy nikt nie myśli. Wszyscy wołają tylko: — dajcie nam więcej ludzi, to wam zrobimy...

Ale to jest jedna strona zagadnienia. Od dawna bowiem wiadomo, że jak nie ma ludzi, to trzeba zastąpić ich pracę pracą maszyn. Musi nastąpić postęp w technice i technologii. Innej drogi nie ma. A co się dzieje?

Proszę sięgnąć do ogłoszeń w gazetach. Wszyscy poszukują ludzi do pracy. Bywa. Ale nie o samo poszukiwanie mi chodzi, a o treść ofert. Ponoć powinna u nas obowiązywać zasada, że płaci się za pracę. No, to proszę sobie poczytać ogłoszenia, a zobaczymy, za co się właściwie ludziom płaci. Przykłady? Proszę bardzo!

Oto Huta Stalowa Wola poszukuje ludzi do pracy. Wykaz poszukiwanych zawodów jest długi. I nie w tym rzecz. Ogłoszenie Huty Stalowa Wola najbardziej interesujące jest w tej części, co Huta zapewnia pracownikowi. A więc wynagrodzenie za pracę, co jest oczywiste. Praca jest w systemie czterobrygadowym, a więc za każdy miesiąc dodatkowy dzień urlopu oraz dodatek za pracę w uciążliwych warunkach. Wiadomo, praca w hucie nie jest łatwa. I to się ludziom należy. Ale teraz idą dalsze kuszące propozycje. Po roku pracy 400 zł miesięcznie dla samotnych za deputat węglowy i 933 zł miesięcznie dla obarczonych rodziną. Po 2 latach pracy premia za wysługę lat od 5 do 25 proc. a po 5 latach dodatek z „Karty Hutnika" — od 5 do 20 proc. płacy. Nagrody jubileuszowe od 100 do 200 proc. płacy. W kopalniach na przykład takie nagrody płaci się co 5 lat począwszy od 15 lat pracy. Ponadto: „każdy podejmujący pracę w HSW ma prawo do 15 000 zł pożyczki na zagospodarowanie i 25 000 zł pożyczki po zawarciu związku małżeńskiego. Pożyczki te zostają umorzone po 5 latach nienagannej pracy w HSW".

Stocznia im. Komuny Paryskiej w Gdyni oferuje zatrudnionym bezpośrednio w produkcji w zawodach deficytowych „nagrody stabilizacyjne wyliczone z godzin efektywnie przepracowanych przez pracownika w okresie 24 miesięcy w wysokości ok. 100 000 złotych wypłacane po przepracowaniu 30 miesięcy w formie wkładu na imienną książeczkę mieszkaniową". Ale Sieradzki Kombinat Budowlany w Sieradzu już tylko „zapewnia wynagrodzenie wg uchwały nr 60/82 RM, nagrody i przywileje wg karty pracowników budownictwa, szeroki zakres świadczeń socjalnych". A Ośrodek Sanatoryjno-Wczasowy „Solinka" poszukiwanemu lekarzowi oferuje jedynie „korzystne warunki płacowe i mieszkanie służbowe na terenie ośrodka".

Wszystko można usprawiedliwić. Rynek czeka na towary. Na towary czeka handel zagraniczny — chociaż już mniej, ale eksportować trzeba. Huty i kopalnie nie mogą stać. To wszystko prawda, ale nie mogę się nadal przekonać, że nieustannie musi być nakręcana spirala licytacji na rynku pracy. To przecież nie jest metoda! To przecież nie ma nic wspólnego z płacą za pracę. No i wreszcie, jeśli hydraulik będzie nadal bardziej ceniony od zwykłego inżyniera, to kto nam zrobi postęp techniczny? Obaj muszą być jednakowo cenieni! Oto, w czym rzecz. Ale, jak to dziś zrobić?

LUCJAN BOGUSZ

3

Szczęśliwy posiadacz?

Od pięciu miesięcy jestem posiadaczem nowego mieszkania w blokach — zwierzył mi się znajomy. Pierwsze samodzielne po długich latach wyczekiwania, beznadziejnej tułaczki! Ogromnej radości nie mogą nawet przytłumić wcale nie takie drobne usterki — krzywe, popękane ściany, wypaczone okna, strach je otwierać, wypadają razem z futrynami, ani też wielce niepraktyczny sposób zamontowania zlewozmywaka i kuchni gazowej, pokaźna wiącha rur, zapaskudzająca całą ścianę tak dokładnie, iż nie można na niej zawiesić szafki, czy czegokolwiek innego.

— Wszystko wykonano zgodnie z planem, oświadczył indagowany majster budowy. Ponieważ lokatorzy próbują umieszczać wszystkie te urządzenia we właściwych miejscach, a niektórzy słono płacą za usługę „fachowcom", już dziś wiadomo, że wszyscy mieszkańcy mają po kilka metrów rur za dużo. Marnotrawstwo — tyle deficytowych materiałów na szmelc!

W ciągu dwóch dni odwiedziło mnie aż kilkunastu speców. W każdym nowym bloku roi się od nich. Najwięcej jest wstrzeliwaczy kołków — starszych panów dorabiających do emerytury. Cena kołeczka waha się od 50 do 80 złotych. Bagatela, jeśli potrzeba ich dwadzieścia, albo i więcej. Półtora tysiąca złotych za piętnaście minut roboty!

Ale prawdziwe kłopoty i nie do przebycia zaczęły się razem z wędrówką po sklepach w poszukiwaniu przedmiotów codziennego użytku. Niestety, nigdy nie miałem żadnych możliwości gromadzenia ich na lepsze czasy, kiedy to już będę szczęśliwym posiadaczem własnego M — mówił znajomy. Odprawiano mnie z kwitkiem, choć legitymowałem się wymaganym dokumentem, że chcę nabyć sprzęt do pierwszego samodzielnego mieszkania. Wychodziłem z niczym. Tu i ówdzie odpowiadano, że na zapisy już nie przyjmują, gdzie indziej ekspedient znacząco postukał się w czoło. Dla kogo więc ustanawia się przepisy, których nikt nie honoruje, których nie można honorować!

Zrozpaczony zadzwoniłem pod numer 36-06-29, gdzie w Wydziale Handlu i Usług Urzędu Miasta sympatyczna pani stwierdziła, że widocznie jestem za mało operatywny. „Dziwię się bardzo, kłopoty z zakupem żelazka czy odkurzacza, firanek, zasłon! Ludzie sobie jakoś radzą, a pan co? Pieczone gołąbki nie wpadają same do gąbki!"

Dała mi się we znaki ta nieporadność. Gdyby nie osiem szklanek, co mi przyniósł przyjaciel, nie miałbym ani jednej! I co robić dalej? Nie mogę sobie pozwolić na wystawanie całymi tygodniami w różnych kolejkach, podpisywanie list obecności — po prostu brakuje mi czasu, delegacje, wyjazdy! Stoję więc na pozycji przegranej. Wiadomo, że nieobecność — to skreślenie z listy. Tutaj ani blankiet delegacyjny, ani druk L-4, nie są honorowane. Szans na wynajęcie „stacza" czy „okazyjne" kupno też nie mam. Koszty tych manipulacji są zbyt wielkie jak na moją kieszeń. Chociaż, prawdziwa okazja trafiła mi się kilka tygodni temu w „Uniwersalu", przed stoiskiem ze zmechanizowanym sprzętem domowym. Zostałem dyskretnie zagadnięty przez młodą kobietę. — Czy może interesuje pana kupno lodówki produkcji radzieckiej „Mińsk". Doskonała — szeptała nieznajoma — nie da się porównać z krajowymi. Tylko pięćdziesiąt tysięcy i jest pan właścicielem. Płatne natychmiast, do ręki! „Odstępne" wynosiło wtedy osiemnaście tysięcy złotych. Byłem tak oburzony, że nawet nie próbowałem się targować. Idiota! Skomentowała również szeptem posiadaczka lodówki. I rzeczywiście kilka dni później, ku swojej ogromnej rozpaczy, dowiedziałem się, że miała rację. Lodówka tej marki zakwalifikowana jako sprzęt luksusowy (?) kosztuje, bagatela, pięćdziesiąt osiem tysięcy złotych.

Stwierdzam otwarcie, że nie wnoszę żadnych pretensji do swej niedoszłej kontrahentki z „Uniwersalu" za ten niepochlebny epitet pod moim adresem, tym bardziej, że mam poważne wątpliwości, czy to akurat ona zrobiła ze mnie idiotę — zakończył opowiadanie mój niezaradny znajomy.

Nie martw się, pocieszałem go, szukaj innego wyjścia — ożeń się. Kobiety są dużo obrotniejsze, praktyczniejsze, dużo jest takich, które mają wszystko, co ci potrzebne uskładane „na kupę".

Być może, nawet po ukazaniu się mojego felietonu, znajdziemy odpowiednią kandydatkę. Już nieraz tak bywało, że ludzie reagują podobnymi ofertami, nie tylko na ogłoszenia matrymonialne. Chyba wejdzie znowu w modę małżeństwo z rozsądku, ściślej z konieczności.

EDWARD BRYL

4

Sport

Wspomnień niezapomniany czar

Będzie to — proszę mi wybaczyć — trochę inny felieton niż bywa zawsze. Poszłam bowiem na spotkanie Olimpijczyków do Klubu Sportowego „Społem" i znalazłam się w kręgu dalszych i bliższych wspomnień. Mamy przecież rok olimpijski, już niedługo otwarcie letnich igrzysk w Los Angeles. Nawet politycy zaczęli interesować się Olimpiadą. A jak już politycy biorą się za sport, to może to się dla sportu fatalnie skończyć. Już niejeden raz politycy popsuli sportowcom plany i zamierzenia. Ale nie zapeszajmy.

Na razie Olimpijczycy spotkali się w KS „Społem", aby założyć Klub Olimpijczyka. Spotkali się starzy i młodzi Olimpijczycy. Ci, którzy startowali jeszcze przed wojną i ci, którzy startowali na ostatnich Olimpiadach.

Przypomnienie naszych Olimpijczyków zacznę po starszeństwie, choć to nie wypada, bowiem startowała kobieta. Ale nic na to nie poradzę. Pierwszeństwo jej się należy. Jadwiga Wajsówna zdobyła bowiem brązowy medal za rzut dyskiem w 1932 roku w Los Angeles. Gospodarze obecnej Olimpiady nie zapomnieli o niej i już przysłali zaproszenie. Jadwiga Wajsówna będzie honorowym gościem w Los Angeles.

Startowała też w 1936 roku w Berlinie i zdobyła tam srebrny medal, również za rzut dyskiem. Po wojnie startowała jeszcze w 1948 roku w Londynie i zajęła czwarte miejsce.

Władysław Król — piłkarz, tenisista i hokeista — był członkiem polskiego zespołu hokejowego na Igrzyskach Zimowych w 1936 roku w Garmisch-Partenkirchen. Józef Pisarski w 1936 roku walczył w składzie polskiej ekipy bokserskiej. Była to Olimpiada w Berlinie. Jan Kudra — kolarz szosowiec i Lucjan Józefowicz — kolarz torowiec — brali udział w 1964 roku w Olimpiadzie w Tokio. Andrzej Bek — kolarz torowiec — w 1972 roku przywiózł brązowy medal z Monachium. Grażyna Osmańska-Kostrzewińska i Adam Brodecki tańczyli na lodzie w Sapporo w 1972 roku. Mieczysław Nowicki wywalczył w Montrealu srebrny medal wraz z drużyną polskich kolarzy i indywidualnie medal brązowy. Był to rok 1976. Erwin Matelski strzelec startował w Moskwie, na Olimpiadzie w 1980 roku, a Grzegorz Filipowski — to jeszcze mamy świeżo w pamięci — w Sarajewie.

Ale wśród Olimpijczyków była też Stanisława Zatke. Brała ona udział w II Olimpiadzie Robotniczej w Wiedniu, w 1931 roku. Warto przy okazji przypomnieć, że I Olimpiada Robotnicza odbyła się we Frankfurcie nad Menem w 1925 roku, a konkurencje zimowe rozegrano w Szklarskiej Porębie w Karkonoszach. Olimpiada robotnicza miała charakter kontrmanifestacji w stosunku do VIII Olimpiady z 1924 roku, która odbyła się w Paryżu. Jej organizatorem była Lucerneńska Międzynarodówka Sportowa, będąca pod wpływem Międzynarodówki Socjalistycznej. Idea ta znalazła nawet poparcie Czerwonej Międzynarodówki Sportowej, ale do współdziałania nie doszło. Na przeszkodzie stanęły różnice ideologiczne.

Wspominanie jest czymś pięknym. To jakby wracał miniony czas, wracała młodość. Przed oczyma wyobraźni stają ludzie, których często już nie ma, stają obrazy, minione zdarzenia. Więc wspominano. Że dawniej było inaczej niż dziś, co jest aż nadto oczywiste. Ale już starożytni Grecy zrozumieli, że obraz przeszłości zaciera kontury, że łagodnieją sprzeczności, zanika wszystko, co było złe. I wymyślili złoty wiek. I do dziś każde pokolenie gloryfikuje swój „złoty wiek", czyli czas miniony. A jak myśmy byli młodzi — mówi się zazwyczaj w takich okolicznościach — to wtedy było zupełnie inaczej. I my byliśmy inni. Prawda. Tylko, że te prawdę głosi każde pokolenie dla siebie. Każdy z nas ma swój złoty wiek.

Niegdyś było trudniej, bo wszystko, także sprzęt i ubiór trzeba było samemu zdobywać. Dziś pomagają kluby. Ale też dziś trudniej o rekordy. Rosną wymagania. Dla wielu wystarczy — być na olimpiadzie, brać w niej udział. Ale ludzie domagają się sukcesów. Czy można się im dziwić? Uważam, że nie, bo dziś ludzie utożsamiają się z bohaterami stadionów i boisk i chcą, aby ci bohaterzy byli najlepsi, wtedy i kibice też będą mieli lepsze samopoczucie.

To piękna idea — liczy się tylko sam fakt bycia na igrzyskach olimpijskich, samo uczestnictwo. Ale to dziś ludziom już nie wystarcza. Wszak dzięki telewizji oni też niejako w olimpiadzie uczestniczą. Oni — po prostu — chcą przeżywać razem ze swoimi zawodnikami. Oni widzą ich walkę, irytują się, cieszą. Czasem nawet krzykiem pomagają swoim, choć od prawdziwego stadionu dzielą ich tysiące kilometrów i szklana szyba telewizyjnego ekranu. Ale chcą pomóc, chcą, żeby ich człowiek zwyciężył, żeby był najlepszy. I trudno kibicowi wytłumaczyć, że liczy się także samo uczestnictwo To już inny czas, inne wymagania.

Ot, takie refleksje nasunęły mi się w czasie słuchania wspomnień o minionych olimpiadach. A co przyniesie nam najbliższa?

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji), Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki (kier. działu literackiego), Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc (grafik), Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny), Jolanta Wrońska.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Garda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. Mickiewicza 11, kod. 90-432 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-92-44, sekretarz redakcji 36-80-69. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153 201043 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca na przedzielający okres prenumeraty rok bieżący. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 38. Nr indeksu: 36762.

Zam. 1291. E-5.

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 17

O nocy, która nadejść miała

Po całej pracowni walały się też kule pomiętych kartek maszynopisów, niektóre twardo zwinięte, inne zaledwie zmiętoszone w dłoni, w chwili desperackiej rezygnacji z jakiegoś gorzej napisanego fragmentu powieści. Owo papierowe pobojowisko było nie tylko dowodem wytężonej pracy pisarza, lecz także dawało obraz niezwykłych zmagań, jakie niemal codziennie do południa odbywały się w tym miejscu, mąk twórczych męża, jego klęsk i zwycięstw — nic więc dziwnego, że traktowała je pani Basieńka w sposób specjalny. Starannie zbierała każdą pomiętą kartkę, niemal miłosnym gestem rozprostowywała ją, a następnie jedną na drugą układała w stos na pulpicie. Nie mogła się pogodzić z myślą, aby owe kartki miały być wyrzucone do kosza lub do ognia. Spodziewała się, że mąż kiedyś jednak zechce do którejś z nich zajrzeć, wykorzystać jakąś dobrze napisaną frazę, przywrócić do życia strzępek dialogu. Niekiedy też z uwagą pochylała się nad pomiętą stroniczką, ciekawa, jaką treść zawiera i dlaczego nie mogła się ona znaleźć w maszynopisie powieści zbójeckiej. Po takiej lekturze na ogół jeszcze staranniej rozprostowywała pogniecioną kartkę, pagórki jej piersi unosiły się ciężkim westchnieniem, ponieważ to co w nich znajdowała, wydawało się jej o wiele lepsze i ciekawsze niż to, co ocalało przed stłamszeniem i wzgardą. Pani Basieńka odnosiła wrażenie, że opowiadając o dziejach miłości pięknej Luizy i stażysty leśnego, na stronicach starannie włożonych w tekturowe okładki, Lubiński kroczył po przetartych i dobrze utwardzonych gościńcach, natomiast na odrzuconych kartkach zbaczał na boczne ścieżki, przedzierał się przez dzikie gęstwiny i tam, tu i ówdzie, przyczajał się na czytelnika z ogromną maczugą w dłoni. Tak naprawdę, zdaniem pani Basieńki, Nepomucen swój zbójecki proceder uprawiał jedynie na stroniczkach pomiętych i odrzuconych, które nigdy nie miały znaleźć się w druku. Potrafił być śmiały i okrutny, bywał bezwzględny wobec złudzeń i fałszywych wyobrażeń ludzkich, rozbijał maczugą literacką skamieniałe czerepy tradycyjnych form. Ale potem — nie wiedzieć czemu — nagle tracił odwagę, cofał się na ubity gościniec i mnąc kartki, zarazem starannie zacierał ślady swych zbójeckich poczynań. Na odrzuconych stroniczkach odkrywała Basieńka zupełnie innego Nepomucena, takiego, który jej imponował, zachwycał i zarazem przerażał — godnego największej kobiecej miłości i oddania. W rzeczywistości był jednak zupełnie inny, taki, jakim go znała i kochała, choć nie tak mocno, jak mogłaby pokochać tamtego.

Istnieli nie tylko dwaj Nepomucenowie, ale także dwie różne piękne Luizy, dwaj różni stażyści, dwie odmienne wsie, w których żyli bohaterowie — ci ze stroniczek w tekturowej okładce i ci z kartek pomiętych i odrzuconych. Przyjmując do pierwszej klasy małego Darka (ósme nieślubne dziecko Porowej) piękna Luiza z zachwytem obserwowała dumnie wyprostowaną sylwetkę chłopca i, jak wszyscy we wsi, myślała, że z całej jedenastki nieślubnych dzieci Porowej to jedno, być może, wyrośnie kiedyś na porządnego i mądrego człowieka, ponieważ już od dzieciństwa nosi się dumnie, chodzi z podniesioną do góry głową. Na wzgardzonych kartkach inna piękna Luiza odsyła małego Darka do lekarza i szyderczo oświadcza mieszkańcom wioski, że Pora ma krzywy kręgosłup z powodu nadmiernej lordosy. Po jakich drogach szła myśl Nepomucena, że odrzucił tę drugą historię na rzecz pierwszej? Czy zależało mu na tym, aby utwierdzić w czytelnikach przekonanie, że człowiek tylko sam decyduje o swoim losie, mały Pora wyrośnie na dumnego i szlachetnego człowieka, mimo że jest ósmym nieślubnym dzieckiem kobiety takiej jak Porowa? Być może chciał ukołysać podobnymi poglądami sumienia ludzkie, wiedział, że właśnie taka wersja, a nie ta z pomiętej kartki — spodoba się czytelnikom, jak wszystko, co odurza radością i optymizmem.

Na wzgardzonych stroniczkach piękna Luiza, nauczycielka, nie była niewinną i nieskalaną, gdy poznała młodego stażystę, ale przeszła przez łóżko pewnego wiejskiego lekarza. Prawdziwy Nepomucen, z którym Basieńka noc w noc leżała w łóżku, nigdy nie potrafił jej powiedzieć, w jaki sposób doktor Niegłowicz upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie, ba, unikał w ogóle rozmów na ten temat, opędzał się od pytań żony. Na pomiętych kartkach lekarz wiejski zabawia się w przedziwny sposób z młodą i piękną nauczycielką, pozostawia ją dziewicą, przyzwyczajając do wyszukanych praktyk miłosnych, a wreszcie odbywa z nią stosunek analny. Na kartkach w tekturowej teczce piękna Luiza nigdy nie spotkała wyuzdanego doktora, czysta i niewinna oddała się w ręce stażysty.

Pieszczotliwym gestem swoich małych dłoni wygładziła Basieńka wzgardzone stroniczki. Wiedziała, że tej nocy nie da jej spokoju myśl, jakim jest naprawdę doktor Niegłowicz i piękna Luiza, nauczycielka wiejska. Jaka też jest prawda o małym Dariuszu Porze — jest dumny czy ma nadmierną lordosę? Poznać i zgłębić prawdę nie było sprawą łatwą — rozumiała to i nie spieszyła się do niej. Ale czuła, że kiedyś należy uczynić początek, skromny, a nawet nieśmiały; wstąpić na drogę poznania w taki sposób, żeby nie skomplikować swego życia, nie spowodować zamieszania w świecie ładu, który tak lubiła. Przetarła więc mokrą szmatą podłogę w pracowni męża, wyczyściła futrzany dywan na podłodze, ustawiła sprzęty. Potem przyrządziła obiad, w swej pracowni krawieckiej obmierzyła talię, biodra i biust sklepowej Smugoniowej, która chciała mieć nową, czerwoną sukienkę, aby się młodszą i ładniejszą wydać pewnemu właścicielowi warsztatu zduńskiego w Bartach. A kiedy przyszedł wieczór — wykąpana i ubrana w czarną spódnicę i wełniany żółty blezer — zrobiony przez siebie na drutach — pomaszerowała z wizytą do doktora Niegłowicza, do jego domu na półwyspie.

Był ciepły wieczór, rdzawa kula słońca już dotykała wierzchołków drzew leśnych, tu i ówdzie na łąkach koło leśniczówki Blesy oraz na mokradłach nad zatoką podnosiły się mgły. Psy doktora powitały ją merdaniem ogonów i zaprowadziły za dom, na taras, gdzie doktor stał nieruchomo i paląc papierosa spoglądał na jezioro. O czym myślał w ten cichy wieczór tuż przed nadejściem bezksiężycowej nocy? — zapytała siebie i pomyślała, że być może podobnie jak i ona tęskni za nieznanym. Podeszła do niego w milczeniu, nawet bez zdawkowego powitania i stanęła tuż obok, starając się spojrzeć w tę stronę, gdzie i on patrzył. Obydwie dłonie położyła na swoich stromych piersiach, żeby uspokoić gwałtowne bicie serca. Nie cierpiała papierosowego dymu, ale teraz cieszyła się, że doktor jest zajęty paleniem i nawet z przyjemnością przyjęła nozdrzami smużkę białego dymu. Doktor palił dużo — jego włosy, swetry, koszule przesiąknięte były zawsze wonią papierosów. Nigdy to jej jednak nie raziło, bo to był jednocześnie zapach mężczyzny, którego lubiła. Przytulając się do Nepomucena czuła zawsze zagraniczną wodę kolońską — cedrową. Kochając się z nim wmawiała sobie kiedyś, że kocha się wśród libańskich cedrów, takie śmieszne, romantyczne kobiece wyobrażenia. Raził ją oddech mężczyzny palącego papierosy, ale, o dziwo, podstawiała twarz pod przesycony nikotyną oddech doktora i czuła podniecenie. A gdy kiedyś doktor zdjął w ich mieszkaniu sweter, bo mu się zrobiło gorąco, wzięła na chwilę ów sweter w ręce i wtuliła weń twarz, głęboko wdychając woń papierosów, połączoną z zapachem potu — ale potu mężczyzny, o którym często myślała. Reagowała na mężczyznę przede wszystkim nozdrzami, może dlatego, że lubiła kochać się w ciemnościach. Najpierw obwąchiwała mężczyznę, a jeśli woń jego ją raziła, nie godziła się nawet na najdrobniejszą pieszczotę. Czemu jednak jakiś zapach odstraszał ją, a inny pociągał i podniecał? Czy gdyby Turlej skropił się cedrową wodą — mógłby ją choćby odrobinę zainteresować? Wątpiła o tym, odkąd zdała sobie sprawę, że budzą w niej wstręt przesycone nikotyną oddechy mężczyzn, ale pociąga ją pachnący papierosami oddech doktora. Dziewczyną będąc, zasypiając wyobrażała sobie, że w jakimś mrocznym pomieszczeniu dotyka jej ciała wielu mężczyzn, ale ona poddaje swoje ciało tylko dotknięciu tego, od którego zalatuje suszonymi śliwkami; ten zapach prześladował ją przez całą młodość, podniecał, budził zawroty głowy. Może więc pot Nepomucena i pot doktora przypominały odrobinę zapachem suszone śliwki, dlatego czymkolwiek by nie były przesycone ich ubrania i włosy, pozostawali dla niej pociągający i bliscy?

I znowu cienka smuga tytoniowego dymu owinęła się wokół jej szyi. Bliskość doktora sprawiała jednak, że poczuła zapach suszonych śliwek — przymknęła oczy i zdawało jej się, że kołysze się w wagonie pociągu pędzącego przez mrok nocy. Mężczyzna, który obok siedzi, ma przy sobie torbę z suszonymi śliwkami, jego palce nieśmiało i delikatnie dotykają jej szczupłych kolan, ją zaś w podbrzuszu ogarnia rozkoszne ciepło.

— To będzie dziś, tej nocy — powiedziała zdławionym głosem.

Przeraziły ją własne słowa. Szeroko otworzyła oczy i zdziwiła się, że tak długo znajdowała się w owym pędzącym pociągu. Mgła już podniosła się nie tylko nad bagnami, lecz delikatnym woalem pokrywała całą zatokę, rozmazując kontury Czaplej Wyspy. Doktor zgasił papierosa, lewą rękę miał w kieszeni, prawą wspierał się o poręcz tarasu. Spoglądał na dom Justyny Wasilczuk — niewidoczny we mgle. Basieńka bała się milczenia doktora, nie chciała jednak, aby potwierdził jej słowa lub im zaprzeczył — bo wówczas prawda, którą teraz tak wyraźnie przed sobą widziała, mogła się ulotnić lub zmienić w kłamstwo. A jej przecież chodziło tylko o tę odrobinę prawdy, której była ciekawa i której chciała dotknąć po kobiecemu, swoim ciałem.

Jeszcze raz popatrzyła na jezioro, modląc się w duchu, żeby mgła szybciej zgęstniała i wypełniła zatokę, gdzie jeszcze pozostawały resztki zgasłego słońca i czyniły ją podobną do ogromnej muszli otwartej ku nim swoją konchą.

— Na Czaplej Wyspie ktoś rozpalił ogień — powiedziała cicho i swoją dłoń położyła na ręce doktora wspartej na poręczy.

Dłoń mężczyzny była ciepła, a jej zimna. Zapragnęła, aby ją objął ramieniem, ale wtedy musiałby zdjąć swoją rękę z poręczy, wyjąć ją spod jej dłoni, a tego nie chciała. Zerknęła na niego ukradkiem — dokąd odszedł myślami? Zdawało jej się, że wędruje po łące nad brzegiem jeziora i znika we mgle okrywającej warzywniki. Zacisnęła palce na jego dłoni.

— Ktoś rozpalił ogień na wyspie. Niebieskawy płomień, czy to nie dziwne? To ognisko pali się jak jakaś niesamowita pochodnia. To będzie dzisiaj, tej nocy, prawda, doktorze?

Najwyraźniej widziała ów niebieskawy płomień mimo zapadającego mroku i mgły. On też musiał go zauważyć i zrozumiał, że został im dany znak. Przez mgłę przedzierała się ku nim niebieskawa iskierka, coraz większa i większa. Od jeziora napływał zapach palonych ziół i woń suszonych śliwek, bała się, że zemdleje i jeszcze mocniej zacisnęła palce na dłoni doktora.

— Noc będzie ciemna — szepnęła. — Wszyscy pójdą do starego młyna. Pan także, doktorze. I ja, i Nepomucen, i Gertruda, piękna Luiza i stażysta. Tak, wszyscy bez wyjątku. Nawet pani Halinka i malarz Porwąsz. Ten niebieski płomień to przeznaczenie. To jakiś przymus, którego nie powinno się rozumieć, ale należy mu się poddać, bo inaczej żyje się wbrew sobie i przeciw sobie. Tak pan kiedyś mówił do mnie, a ja zrozumiałam, że to prawda. Nie może się nie spełnić to, czego się bardzo pragnie. Choćby na chwilę, na jedną noc. Nie warto żyć przeciw sobie, przeciw własnym pragnieniom, przeciw własnej duszy. Ktoś, kogo nie znamy, rozpala ognisko na wyspie. Ktoś, kogo nie znamy, rozpala ogień w nas samych i każe iść ku sobie, aby, jak to pan powiedział, żywić się wzajemnie własnym ciałem. Ten ktoś oczyszcza nas z grzechu, gdyż grzechem jest żyć ciągle wbrew własnej woli i własnemu pragnieniu, zatykać uszy na krzyk, który się w nas rozlega. Ogień i miłość wszystko czynią czystym, czyż nie tak? Co jest na świecie większą zbrodnią? Co godzina i co dzień mordować w sobie własne pragnienia, czy raz jeden nakarmić głodne usta? Bo czy to nie jest prawda, że nasza istota pozostaje wolną i może pójść tam, gdzie zechce?

Zdjęła swoją zimną dłoń z jego ręki i odeszła bezszelestnie, aby jeszcze przed zapadnięciem nocy zdążyć do swego domu. Stąpała na palcach, chciała zniknąć jak duch, żeby pomyślał — śniła się tylko.

Położyła się w mroku na łóżku — w ubraniu i w butach. Gotowa była przysiąc, że nigdzie z domu nie wychodziła. W południe pożegnała Nepomucena, potem sprzątała, gotowała, mierzyła talię, biodra i biust Smugoniowej. Aż przysnęła na łóżku tak zmęczona, że nie zdjęła butów i ubrania. Jeszcze do tej pory czuła się dziwnie zmęczona, miała w sobie omdlałość i senność, którą poprzedzały wspomnienia.

Prostokątne okna sypialni powoli zamazywała czerń nocy. Lubiła ją, bo stała się dla niej kiedyś anonimowym dawcą grzesznej rozkoszy. Ile wtedy miała lat — jedenaście czy dwanaście? Dwa razy w tygodniu z prywatnych lekcji niemieckiego powracała samotnie podmiejskim pociągiem do ich małej osady. Wiosną i latem — za dnia; jesienią — już o zmroku lub nocą. Podmiejski pociąg bywał zatłoczony, przedziały wypełniali śpiący robotnicy, powracający z popołudniowej zmiany w fabrykach. Tu i ówdzie żarówki były rozbite albo przepalone, na korytarzach piło piwo i robiono awantury. Wchodziła więc zawsze do przedziałów i w ciemnościach stała między kolanami śpiących na ławkach ludzi. Wysoka, szczupła, jedenastoletnia, a może już dwunastoletnia, w krótkim płaszczyku, grubych pończochach i z teczką pod pachą. Pewnego razu, późną jesienią, w ciemnym przedziale zaleciał ją zapach suszonych śliwek, a potem czyjaś dłoń musnęła jej kolano. Było to muśnięcie, jak gdyby przypadkowe, ale jej sprawiło dziwną przyjemność. Naparła kościstymi, dziewczęcymi kolanami na grube męskie kolana i wtedy owa ręka, która przed chwilą cofnęła się, znowu ją musnęła, tym razem po udzie. Po chwili zawędrowała pod sukienkę, na pośladek, cofnęła się — i znowu po udach przeniosła się ku miejscu, gdzie kończyły się pończochy i skrawek nagiego ciała dzielił je od nogawek wełnianych majteczek. Palce niewidocznego w ciemnościach mężczyzny wsunęły się między jej uda i lekko ucisnęły krocze, jakby przez gruby materiał chciały wyczuć to, co znajdowało się pod nimi. Nie wiedziała, czy bardziej oszałamia ją i budzi przedziwną rozkosz zapach suszonych śliwek, czy owe dotknięcia, których udawała, że nie czuje i są jej obojętne, ale przecież stała nieruchomo w przedziale i starała się nawet nie drgnąć, szczęśliwa, że jej przyśpieszony oddech zagłusza czyjeś donośne chrapanie.

Wysiadła na przystanku w swojej osadzie, zapamiętując jednak wagon, w którym jechała. W drodze do domu kręciło jej się w głowie i, nawet nie zjadłszy kolacji, od razu poszła do łóżka, tak była senna. Następnym razem znowu wsiadła do tego samego wagonu i tego samego przedziału, wcisnęła się między kolana śpiących na ławkach ludzi. Mimo chłodu na dworze założyła cieńsze majteczki. Obca, a właściwie już znajoma dłoń męska zrozumiała ten gest i stała się śmielsza. Palce wślizgiwały się w nogawkę. Ów człowiek nie wiózł już ze sobą suszonych śliwek, ale ona wciąż czuła ten zapach i przeżywała niewysłowioną rozkosz. Tak, nigdy czegoś tak słodkiego i upajającego nie przeżywała, ani przed tym, ani potem — nawet gdy stała się już kobietą. Ile razy doznała wówczas tej wielkiej rozkoszy, tych pieszczot tak mocnych, że omdlewała na dygocących nogach w kołyszącym się wagonie podmiejskiego pociągu? Może dziesięć, może piętnaście długich chwil. Tak, to trwało chyba do Bożego Narodzenia. Bo potem wkręcono wszędzie nowe żarówki. Także i w tym przedziale, gdzie spotykała tajemną rozkosz, paliło się teraz jasne światło i odtąd jeździła na korytarzu, nawet nie śmiejąc popatrzeć jak wygląda człowiek, który ją dotykał w ciemnościach.

To smutne, ale nigdy już nie spotkała tej dłoni, choć w następnym roku znowu tu i ówdzie w przedziałach były rozbite żarówki, a ciemność kryła opowieść rozkoszy. Z żadnego przedziału nie zaleciał jej również zapach suszonych śliwek. Lecz gdziekolwiek i kiedykolwiek go czuła — w sklepie lub w czyimś mieszkaniu — zawsze ogarniało ją podniecenie i pragnienie przeżycia rozkoszy. Ten zapach budził w niej udrękę — sama ją zresztą wywoływała, podbierając matce kilkanaście suszonych śliwek i, jak coś grzesznego, kryjąc w szufladzie nocnej szafki. Co wieczór, gdy gaszono światło, uchylała tę szufladę i wdychała ich woń, jednocześnie dotykając palcami swoich narządów i wyobrażając sobie, że to robi tamten z ciemnego przedziału. Nauczyła się osiągać rozkosz podobną do tamtej, lecz już nie tak mocną, nie tak upajającą. Zresztą, może nawet i owa rozkosz była jeszcze większa, brakowało jej jednak tajemniczości i świeżości pierwszego odkrycia.

Cnotę straciła z kolegą z liceum na dwa dni przed Bożym Narodzeniem, w pustym mieszkaniu jego rodziców. Na stole w kuchni stał tam talerzyk z suszonymi śliwkami, przygotowanymi do wigilijnego kompotu. Od tamtych dni także lubiła mrok, jazdę w zatłoczonych tramwajach i autobusach. Kochała przypadkowe muśnięcia męskich dłoni na pośladkach, udach, piersiach, raptowne napieranie na siebie ciał przy hamowaniach lub zakrętach. Nepomucen zaproponował jej i Elwirze wspólny rejs po jeziorze. Nocą leżeli w trójkę w ciasnej kabinie jachtu, on w środku, a one po obu jego bokach. Jacht kołysał się na fali i było w tym coś z pędzącego pociągu. Poza tym panował mrok i czuła wędrującą po swym ciele dłoń mężczyzny. Z powodu obecności Elwiry nie mogli pozwolić sobie na nic więcej, więc tylko ją dotykał i pieścił w ciemnościach. Być może to właśnie dlatego zakochała się w nim i została jego żoną. Być może to także dlatego jego pot miał dla niej coś z woni suszonych śliwek. Od Nepomucena zażądała, aby brał ją w ciemnościach, a przedtem długo w mroku dotykał jej nagiego ciała swoją dłonią. Doktor też dotknął kiedyś w ciemnościach jej piersi — przypadkiem czy celowo. Ale odtąd lubiła przesycony nikotyną jego oddech i tak bardzo chciała wiedzieć, w jaki sposób upokarza kobietę zanim w nią wejdzie. Zapewne czynił to w mroku, w gęstych ciemnościach. Owszem, później dotykał jej piersi nawet i za dnia, w swoim gabinecie, gdy do niego niekiedy wpadała na plotki czy krótką pogawędkę. Też lubiła te dotknięcia, podobnie jak zapach jego włosów przesyconych wonią dymu papierosowego. Najczęściej jednak i najpełniej jej nocne marzenia wypełniał obraz, który ktoś jej przypadkowo podsunął — może doktor, może Nepomucen, może Renata Turoń. O tej ciemnej nocy, gdy wszyscy w wiosce idą do młyna i tam na sianie Szulca, w mroku, w szmerze przyśpieszonych oddechów, sycą wzajemnie głód swej miłości. Znają się, a przecież ciemność czyni ich nieznajomymi, odgradza od siebie a zarazem pozwala na zbliżenie. Była pewna, że wśród wielu mężczyzn rozpoznałaby swoimi nozdrzami ciało doktora i jego oddech, a on — może nawet nieświadom z kim to czyni — upokorzyłby ją bez wstydu.

...Prostokąty okien w sypialni przestały być widoczne. Pani Basieńka zadarła spódnicę i dotknęła dłonią swego łona. Promieniował stamtąd rozkoszny ból podniecenia. Był tak silny, że aż jęknęła cichutko. Zdecydowanym gestem ściągnęła figi, wstała z łóżka, narzuciła na plecy wełnianą chustkę i wyszła z domu. Zaskoczyła ją głęboka ciemność, nie widziała furtki ani nawet własnych rąk. Mówiono, że nie wolno brać z sobą latarki i żadnego światła, trzeba iść jak ślepiec, obijając się o drzewa, potykając o kamienie, kierując się odgłosem kroków innych ludzi. Za furtką na szosie przystanęła więc i zaczęła nadsłuchiwać. W nocy zerwał się zachodni wiatr, rozpędził mgły i owiał ziemię wilgotnym podmuchem. Rozszumiały się klony obrastające drogę, w sąsiadującej z domem pisarza zagrodzie Galembków od czasu do czasu postukiwała o ścianę źle przytwierdzona okiennica. Z początku sądziła, że to echo czyichś kroków, ale gdy ucichł wiatr, zrozumiała, że jest na szosie zupełnie sama. Nagle ogarnęło ją przerażenie, że się spóźni, nie zdąży, minie ją szczęście. Ruszyła z rękami wystawionymi przed siebie, aby nie wpaść na pień przydrożnego klonu, wyczuwając twardość asfaltu pod cienkimi podeszwami pantofelków. Nigdzie nie paliło się żadne światełko, ale coraz głośniejszy szum drzew powiedział jej, że zbliżyła się do cmentarza. Dojrzała nikły blask z okienka w kurniku Wątrucha i wiedziała już dokładnie, gdzie się znajduje. Zaraz za płotem okalającym zagrodę sołtysa należało skręcić w polną drogę do młyna.

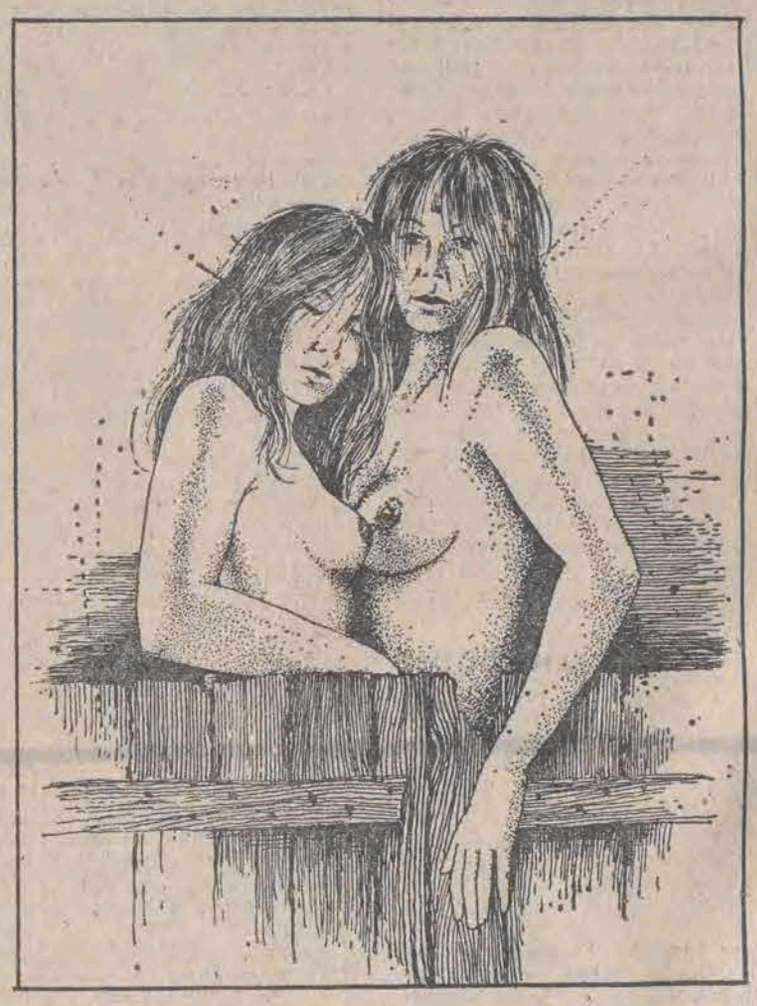

Rys. Janusz Szymański-Glanc

c.d.n.